

De II 1

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 154.

[BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

9w, 5-6 1879. 1 maj

SERYA V.

Maj.

TOM II. — ZESZYT V.

WARSZAWA.

Skład i Eksp. Główn. w Księg. GEBETHNERA i WOLFFA.

Ukończono druk dnia 2 maja 1879 roku.

T R E Ś Ć.

	stron.
I. Przegląd literatury hiszpańskiej. Przez Juliana Adolfa Świącickiego.	185
II. Cnota i występki. Rzecz o rozwoju dziejowym wyobrażeń o cnocie. Przez Wojciecha hr. Dzieduszyckiego. (Ciąg dalszy). . .	225
III. Z dziedziny przyrodoznawstwa. Przez T. Skomorowskiego.	234
IV. Kronika paryzka, literacka, naukowa i artystyczna.—Kurs profesora Chodźki w kolegium francuzkiem: <i>Historja i pieśni Bułgarów</i> .—Odczyt p. Michała Żmigrodzkiego w Towarzystwie historyczno-literackiem: <i>Historja cywilizacji Polski w pierwszej epoce jej istnienia</i> .—Przekład <i>Boskiej komedji</i> na francuzki język średnich wieków, przez Littrego.—Nowe poezye Wiktora Hugo: <i>La pitié suprême</i> .— <i>Méthode Téléologique de H. Wronski</i> , przez Bukatego.— <i>Yamato</i> dramat japoński p. Maeda.—Artysta dramatyczny Dutertre (Bolesław Pluciński).—Przygody Władysława Bolskiego, dramat Cherbulier'a.— <i>L'ennemi des femmes</i> , powieść osnuta na tle życia społeczeństwa pseudo-galicyjskiego.— <i>Fryderyk Chopin</i> , monografia przez p. Karasowskiego.—Dwie uroczystości w Towarzystwie Geograficznem: jubileusz Cooka, przyjęcie podróżnika p. Savorgnan de Brazza.—Odczyt Legouwego w Towarzystwie francuzkiej młodzieży.—Mowa Renana, z powodu przyjęcia do Akademii francuzkiej; odpowiedź Meziera.—Koncerta pannień Buleskich, p. Alberta Sowińskiego.	249
V. Przegląd literatury polskiej. 1. Compendium politicum, seu brevis Dissertatio de variis Poloni Imperii Vicibus etc. Varsoviae, 1760, str. XII i 169. Scripsit Pyrrhus à Varillaco, Eques Gallus.	
2. Dzieje Polski w zarysie, p. M. Bobrzyńskiego. Warszawa 1879, str. V i 457, w 8-ce. Przez F. K.	280
VI. PRZEGLĄD PIŚMIENICTWA KRAJOWEGO I ZAGRANICZNEGO.	
Infanty polskie, poprzędzone ogólnym rzutem oka na siodmiowiekową przeszłość całych Infant. Skreślił Gustaw Baron Mauteuffel, przedmowę napisał J. I. Kraszewski. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego, 1879 r. (w wielkiej 4-ce, str. 167 z wielką drzeworytami). Przez K. Wł. W.	298
Wykład arytmetyki handlowej. Część ogólna obejmująca zastosowanie zasad arytmetyki do potrzeb i zwyczajów kupieckich, przez Stanisława Kramsztyka, magistra nauk fizyczno-matematycznych, urzędnika Banku polskiego i nauczyciela Szkoły handlowej prywatnej w Warszawie. Warszawa, nakładem Szkoły handlowej 1879 r. str. 258, w 8-ce. Przez Władysława Gosiewskiego.	304
(Dalszy ciąg patrz na trzeciej stronie okładki).	



De. II. 1.
PRZEGLĄD

LITERATURY HISZPAŃSKIEJ.

PRZEZ

Juliana Adolfa Świącickiego.

I.

Literatura hiszpańska należy niewątpliwie do najbogatszych w Europie. Epepea, liryka, nowele, powieści, a nadewszystko dramat, mają tu bardzo wielu utalentowanych a niemało i genialnych przedstawicieli. Wiadomo, jaki wpływ potężny wywierała literatura hiszpańska w XVI i XVII wieku na intelektualny rozwój innych narodów, a przedewszystkiemi Francji. Gdyby Lope de Vega, Calderon, Tirso de Molina, Alarcon i inni komedyopisarze hiszpańscy nie napisali swoich utworów, arcydzieła Corneille'a, Racine'a a w części i Moliere'a, nie istniałyby wcale.

To też duchowe skarby tego narodu dostarczają oddawna francuzkim, angielskim i niemieckim pisarzom niewyczerpanego wątku do rozlicznych badań, naśladownictwa i studyów, których owocem są mniej lub więcej gruntowne dzieła krytyczne i pokaźna porcja... literackich plagiatów.

Niemcom zawdzięcza Europa pierwsze dzieło, przedstawiające poważny całokształt literatury hiszpańskiej. W 1804 r. wydał Bouterwek *Historję poczty i wymowy* tego narodu (*Geschichte der spanischen Poesie und Beredsamkeit*), która pomimo rażącej niedokładności, potrafiła utrzymać się bardzo długo na stanowisku wyroczeni dla późniejszych historyków literatury. Eichhorn, Wachler, Sismondi trzymali się niewolniczo Bouterweka, a i u nas F. H. Lewestam, idąc za Scherrem, przy układzie swego dzieła o literaturze powszechniej, czerpał jedynie z tego źródła.

Dopiero po wyjściu znakomitej pracy amerykańskiego pisarza, Bouterwek poszedł w zapomnienie. W 1849 r. ukazała się w New-Yorku i Londynie historia literatury hiszpańskiej Ticknora (*History of spanisch Literature*) w trzech tomach, które to dzieło, doczekawszy się wkrótce wielu wydań we wszystkich prawie europejskich językach, nie straciło i dotychczas jeszcze swęj źródłowej wartości i powagi.

Francya nie zdobyła się dotąd na obszerniejszą pracę o literaturze hiszpańskiej. Dzieło Sismondiego albo jest powtórzeniem Bou-



terweka, albo zdrazca bardzo powierzchowne i błędne traktowanie przedmiotu, co mu też na podstawie gruntownej krytyki Chasles zarzucano; praca Puibusque'a (*Histoire comparée des littér. esp. et fran.*) ma tam jedynie większą wartość, gdzie autor przeprowadza ciekawą paralełę, zestawiając pisarzy hiszpańskich z francuzkimi; książka Loise'a (*Histoire de la poesie espagnole 1867*) nie świadczy bynajmniej o samodzielnych studiach autora, który widocznie czerpie tylko z drugiej ręki; Baret wreszcie (*Hist. de la littér. espagnole*), gruntowny znawca literatury hiszpańskiej, wydał niewielką, wprawdzie rozmiarami, ale jasno i systematycznie napisaną książkę, którą też p. Bougeaut ¹⁾ najnowszy historyk literatury powszechniej, dość niedyskretnie przepisuje. Nie wspominamy tu naturalnie o znakomitych rozprawach Chasles'a, Vie Castella, Viardot'a, Latoura, Schacka, Ferd. Wolffa, Schmidta i wielu innych, gdyż pisarze ci, obrabiając pojedyncze epoki lub utwory, albo też jedną tylko gałąź piśmiennictwa, dostarczyli jedynie wyborych monografii o literaturze hiszpańskiej.

Rzeczą jest podziwienia godną, że gdy, jak to widzimy, Francuzi, Niemcy i Anglicy zajmowali się oddawna *con amore* badaniem duchowych zabytków Hiszpanii, ta ostatnia bardzo długo zdawała się nie widzieć nagromadzonych u siebie skarbów i bliższe o nich wiadomości prawie wyłącznie od cudzoziemców czerpała. Pierwszy Velasquez drukował w połowie XVIII wieku historią literatury hiszpańskiej, tłómaczoną przez Diez'a na język niemiecki, które to dziełko bardzo pobieżne i stronnością klasycznych uprzedzeń rażąco napiętnowane, niema dziś żadnej wartości. Po wystąpieniu Velasquez'a nikt inny nie pokusił się przez czas bardzo długi o naśladowanie jego przykładu, gdyż prace Sarmiente'a i Sancheza, jakkolwiek napisane ze znajomością rzeczy i z talentem, ograniczają się tylko na najdawniejszych epokach literatury. Jak daleko pod tym względem zaszła apatya czy nieudolność miejscowych pisarzy, świadczy wymownie ta okoliczność, że nawet wzmiankowane wyżej dzieła Bouterweka i Sismondiego, jakkolwiek bardzo niedokładne i wadliwe, znalazły przecież tłómaczów nawet na język hiszpański i szerokie koło czytelników.

Drugą z kolei historią literatury hiszpańskiej napisał znakomity pisarz Gil y Zarate (*Resumen historico de la literatura espanola*). Rzecz tej pracy ujęta jest w ramy niezmiernie szczupłe jednego tomu, ale w każdym razie spotyka już czytelnik w tym dziele studia źródłowe, sąd niepodległy i gruntowny, język prześliczny, które to zalety spowodowały aż ośm wydań tej książki. W ostatnich dopióro czasach walczące tak długo trudne i ważne stanowisko krytycznego historyka literatury hiszpańskiej zajął wreszcie z chwałą dla siebie i narodu znakomity pisarz, któremu ze względu na olbrzymią a wybitną jego działalność, pomieścimy w tym miejscu obszerniejszą, cokolwiek wzmiankę.

¹⁾ Histoire des littératures étrangères, Paris 1876, t. III.

Don José Amador de los Ríos urodził się 1 maja 1818 r. w starożytném miasteczku Baena, o ośm mil od Korduby odległym. Ojciec jego don José de los Ríos y Serrana, dzielny żołnierz, po złożeniu dowodów mężstwa w walce o niepodległość ojczyzny 1808 roku, wrócił do rodzinnego ogniska, gdzie, oddawszy się pracy artystycznej, zasłynął jako niepospolity rzeźbiarz. Dzieciństwo swoje spędzał Amador w rodzinném mieście, gdzie téż i odebrał pierwsze elementarne podstawy wykształcenia i rozpoczął studyować z wielką korzyścią nauki humanitarne, które ukończył następnie w kolegium Korduby. Ztamtąd udał się do Madrytu dla słuchania wykładów filozofii, które jednak wkrótce zaniechał, jakkolwiek przerwa ta w nauce nie była w rzeczywistości czasem straconym w wykształceniu przyszłego estetyka i historyka sztuki.

Ojciec Amadora jużto powodowany troską o przyszłość swoich dzieci, już téż niemniej działając pod wpływem zamiłowania do sztuki i żądy wrażeń artystycznych, przeniósł się do Madrytu, w nadziei wytknięcia dwom najstarszym synom umiłowanego przez siebie artystycznego kierunku. Pomimo skończonych lat 40, ucześniezał on niezmiordowanie na rozmaite wykłady estetyczne, prowadząc z sobą swych synów, których odznaczające się zdolności przepełniały serce ojca nadziejami. Skoro tedy don José Amador robił niepospolite postępy w malarstwie, ojciec, wróżąc synowi świetną przyszłość, nalegał nań, aby porzuciwszy karierę literacką, poświęcił się wyłącznie téj sztuce. Nie bez wahanja i oporu poszedł Amador za radą ojca, odkładając *ad feliciora tempora* uzupełnienie akademickich studyów, nie zaniedbując wszakże wzbogacania jednocześnie swego umysłu coraz nowemi zdobyczami.

Po pewnym czasie nabył Amador takiej biegłości w malarstwie, że płodami swego pędzla niósł materyalną pomoc cierpiącej niedostatek rodzinie. Spodziewając się, że w Sewilli będzie można znaleźć bardziej rozwinięte artystyczne życie niż w stolicy, przeniósł się tam don José de los Ríos wraz z żoną, gdzie towarzyszył ojcu i Amador. Skoro jednak nadzieje w tym względzie zostały w zupełności zawiedzione, Amador poświęcił się musiał kopiowaniu arcydzieł najskynniejszych mistrzów Sewilli, a w szczególności Murilla, tworząc przytém i własne kompozycje wyższej wartości.

Jeżeli wszystkie te prace nie były dostateczne do wyrobienia mu niezależnego stanowiska, to zachęciły go przynajmniej do skorzystania ze studyów archeologicznych nad świątyniami, w których wykonywał swoje kopie. Na drodze téj był mu światłym przewodnikiem ojciec. Powziąwszy zamiar napisania *Sewilli malowniczej*, wrócił do przerwanych akademickich studyów, rozkładając tym sposobem działalność swoją na pędzel, pióro i książkę. Słuchał bowiem wykładów, był współpracownikiem pism literackich, robił archeologiczne poszukiwania, nie zaniebując malarstwa, a wreszcie poświęcał się muzom.

Próbką jego zdolności poetyckich był tom poezyi, które wydał w Sewilli 1839 r. w 21 roku życia. Po téj pracy, skorzystawszy z rad

Alberta Lista, Saavedry i księcia de Rivas, znakomitych pisarzów, drukował i inne utwory wyższej wartości.

W 1841 r. przetłumaczył tę część literatury Sismondiego (*De la litterature du midi de l'Europe 1819*), która mówi o Hiszpanii, w trzy lata później wydał swoją *Sevilla pintoresca*, a w r. 1845, t. j. po powrocie do Madrytu, wydrukował: *Toledo pintoresca*. Jednocześnie pisał także i poezye, dość pochlebnie przez krytyków ocenione. Nie na tej wszakże drodze miał Amador wywalczyć sobie niepospolite w literaturze stanowisko.

Dzieło Sismondiego, jakkolwiek poprawione i uzupełnione przez Amadora, nie mogło już zadowolić nikogo, od czasu, kiedy głębokie pragnienie gruntownego poznania literatury ojczystej, dotąd odłogiem leżącej, przenikało szerokie koła żadnych wiedzy Hiszpanów; kiedy historia literatury krajowej weszła w stały program uniwersyteckich studyów i kiedy tacy uczeni, jak: Alcała Galiano, Alberto Lista i José de la Revilla, roztwierali prelekcjami swemi podwoje tej świątyni, która we wnętrzu swoim ukrywała drogocenne a dziewicze jeszcze literackie skarby Hiszpanii. I w tymto właśnie czasie zrodziła się w głowie Amadora myśl szczęśliwa napisania krytycznej historii literatury, na jakiej właśnie narodowi temu zbywało.

Tego rodzaju olbrzymia praca nie mogła powstać tak łatwo, wymagała ona długich i mozolnych studyów, oraz zupełnego opanowania niezmiernie obfitym materiałem, albo wcale dotąd nietkniętym, albo niedość krytycznie przez poprzedników jego traktowanym. Nie tracąc tedy z oczu głównego celu, odbywał wytrwale przygotowawcze studia, których pierwszym owocem, po zdobyciu języka hebrajskiego, była znakomita monografia p. t.: *Studia historyczne, polityczne i literackie o żydach hiszpańskich (Estudios historicos, politicos y literarios sobre los judios de Espana)* wydana w 1848 roku. W dziele tém popularyzuje autor wiadomości dotychczas dla szerszego ogółu niedostępne i zaledwie kilku specjalistom znane; to też książka ta miała tak olbrzymi rozgłos, że całkowita edycja była nadzwyczaj szybko wyczerpana, z powodu licznych zapotrzebowań ze wszystkich stron Europy, Ameryki, a nawet afrykańskich wybrzeży. Winszowali uczonemu hiszpańskiemu tej pracy, zarówno izraelici niemieccy, jak i pisma francuzkie (*la France, Journal des debats*); znakomity pisarz Philarete Chasles poświęcił tej rozprawie pełną słów pochlebnych krytykę, a najuczciwsi rabini Amsterdamu i Londynu przesyłali autorowi gorące powinszowania. I Hiszpania nie zaniedbała złożyć hołdu uznania swemu synowi.

Królewska Akademia historyczna zrobiła go swoim członkiem, a rada wychowania publicznego ofiarowała Amadorowi katedrę literatury hiszpańskiej, wakującą w uniwersytecie Madryckim 1848 roku.

Zająwszy tak zaszczytne stanowisko, Amador de los Rios poświęcił się jeszcze gorliwiej wykonaniu wielkiego planu i zaczął skrzętnie odkrywać i gromadzić nieznane dotąd materiały do swego dzieła.

Aby usunąć bardzo ważny niedostatek starożytniej historii literatury i przywrócić jednemu z najwybitniejszych pisarzy XV wieku to stanowisko, jakie mu się z prawa należy w całości kształcie historycznymi intelektualnych dziejów Hiszpanii, wydał w 1852 r. dzieła Santillany (*Obras del marques de Santillana*), powiększając tym sposobem skarby poezyi kastylskiej z epoki Jana II o jeden więcej zabytek bardzo ważnych utworów, zarówno ze względu na ich wartość rzeczywistą, jak i z powodu wywieranego przez nie wpływu na ruch literacki owej epoki. Wydanie to, wzbogacone biografią autora i bardzo licznymi objaśnieniami, stanowi między innymi poważny tytuł do zasługi Amadora.

W dalszym ciągu swych poszukiwań robi de los Rios bardzo ciekawe studia nad formami sztuki symbolicznej, którą w średnich wiekach wprowadziły na grunt hiszpański pisma izraelskie i mahometańskie, jak również nad sztuką alegoryczną, która jako spuścizna Rzymu miała tak niesłychane powodzenie w XIV i XV wieku, dzięki wpływowi wielkich poetów Italii. Śledził także wpływ Żydów i Maurów na kulturę przechowaną w Toledo, Murcyi i Sewilli, a rozbierając i inne składowe elementy tej kultury, złożył dowody niepospolitej erudycji w dziele p. t.: *Memoria del arte latino y byzantino en Espana y las coronas de Guarrazar*, wydaném przez królewską akademię św. Ferdynanda w 1861 r., gdzie wykazuje niezaprzeczone ślady wpływu bizantyjskich Greków na cywilizacyą Wizygotów iberyjskiego półwyspu.

Wreszcie w tym samym roku ukazał się w Madrycie tom pierwszy historii literatury (*Historia critica de la literatura espanola*), którego to dzieła wyszło do roku 1865 siedm wielkich tomów w ćwiartce.

Pomnikowa ta praca powitana była w całej Europie jako niepospolitej doniosłości fakt literacki i wywołała uczone krytyki najznakomitszych pisarzy. Circourt, Puibusque, Puimaigre, La Guardia, Magnabal i Tourtoulon we Francyi, Lembke i Wolff w Niemczech poświęcili uczonemu dziełu Amadora obszernie sprawozdania. Ten ostatni uczony, jeden z najznakomitszych romanistów w Europie, po każdym wyjściu tomu literatury, przedstawiał obszerną jego recenzję Cesarskiej akademii w Wiedniu, które drukował następnie w aktach posiedzeń tej instytucyi. Szereg ocen Wolffa złożyły się na obszerną i bardzo ciekawą książkę.

Pierwszy tom historii literatury dedykował autor Izabeli II, która hojną ręką poparła to cenne dla Hiszpani wydawnictwo. Skoro jednak później, dzięki politycznym zawieruchom, subsydyja te urwały się nagle, ósmy tom nie wyszedł już z druku, a cenne to dzieło zostało w połowie zaledwie ukończone, gdyż autor doprowadził je tylko do końca XV wieku. Bądź co bądź praca to olbrzymia, podług najszerszego planu wykonana, obejmująca niezmiernie bogate, świeże i krytycznie obrobione materyały.

W tym samym czasie zostało właśnie założone w Madrycie narodowe muzeum archeologiczne, którego dyrektorem mianowano Amadora de los Rios. Nie ograniczając swęj pracy na samęj tylko historii

literatury, drukował on jeszcze oprócz tego: „Historią miasta Madrytu i jego dworu” (*Historia de la villa y corte de Madrid*), i pisał mnóstwo artykułów do poważniejszych pism hiszpańskich, jak do: *Revista de Espana*, *Revista de la Universidad de Madrid*, *Ilustracion espanola y americana* i innych ¹⁾ wydawał poważne monografie o stanie i oświacie klas społecznych Hiszpanii w wiekach średnich, rozprawy archeologiczne, a wreszcie wydał trzytomowe dzieło p. t. *Historia social, politica y religiosa de los Judios en Espana y Portugal*, ukończone w 1876 roku.

Niez mordowana ta działalność literacka i nauczycielska podkopała zdrowie Amadora i skróciła dni jego życia. Bolesne straty rodzinne, jakie poniósł w 1871 r., zrujnowały jeszcze bardziej nadwężone pracą siły fizyczne tego wytrwałego zapaśnika wiedzy. Śmierć dwu najstarszych synów była strasznym ciosem dla ojca, który, przebywszy czas jakiś na Maladze, bez żadnej ulgi w swém cierpieniu, udał się do Sewilli z tą nadzieją, że na łonie rodziny i przyjaciół odzyska stracone siły. Lecz tutaj zamiast zdrowia śmierć znalazł, która nastąpiła w skutek choroby piersiowej 17 lutego 1878 r., a prochy Amadora de los Rios spoczęły w Sewilli obok popiołów Reinosa, Listy i Alavy, znakomitych profesorów i przyjaciół zmarłego.

„Życie tego znakomitego pisarza, mówi Francisco Gonzalez, autor biografii Amadora, było dlań gorzkie i boleści pełne, krajowi drogic i pożyteczne; egzystencya jego, będąca przykładem niezmordowanej pracy i wytrwałości, wydaje się dla nas, którzyśmy go przeżyli, krótką czasem, długą pracami i szeroką uznaniem powszechném.”

Don Pedro Alcantara Garcia, profesor szkół publicznych w Madrycie, pragnąc przysłużyć się młodszemu pokoleniu treściwym podręcznikiem do literatury hiszpańskiej, wydał w 1877 roku jednotomową książkę p. t. *Historia de la literatura espanola* (Madrid). Dzieło to widocznie z dążnościami pedagogicznymi napisane, dzieli się na 58 lekcyj, które obejmują dzieje literatury od najdawniejszych czasów, lecz tylko do końca XVIII wieku. Jestto przeważnie kompilacya, lecz na podstawie najlepszych źródeł opracowana. Pierwsze epoki literatury aż do XV w. oparte powiększej części na Amadorze; przy opracowaniu późniejszych wieków, ma autor nieustannie Schacka i Ticknora przed oczyma, chociaż w wielu razach prostuje ich i uzupełnia. Gil y Zarate, Lista i Canalejas składają się także na wypełnienie książki Alcantary Garcii, który zużytkowawszy umiejętnie bogaty materiał poprzedników swoich, zdradza przytém niejednokrotnie samodzielność krytyczną, wszędzie zaś gruntowną znajomość przedmiotu. Jasność formy i systematyczność wykładu stanowią także dodatnią stronę dzieła, które obok powyższych

¹⁾ Artykuły Amadora spotykamy nawet w czasopiśmie Eberta: *Jahrbuch für romanische und englische Literatur*. Berlin, 1859, 1860 i 1861 r. Są to sprawozdania z ruchu umysłowego w Hiszpanii, umieszczone albo w oryginalne, albo w niemieckim tłumaczeniu.

zalet ma ten wielki niedostatek, że nie posiada ani jednego ustępu z najznakomitszych nawet poetów, co też znacznie obniża i pedagogiczną wartość książki. Mówiąc o *autosach* Calderona (str. 611), które odzwierciedlają w sobie teologiczny metafizycyzm epoki, obleczone w artystyczną szatę chrześcijańskiego symbolizmu, Alcantara Garcia robi uwagę, że mistrzem w tym kierunku był obok Calderona tylko Dante, jakkolwiek później tacy geniusze jak: Byron, Goethe, Musset, Hugo, *Mikiewitz* i inni usiłowali w dramacie i poematach symbolicznych naśladować formę *del auto sacramental* Calderona. Nazwisko naszego Adama wyszło, jak widzimy w tej wzmiance skaleczone.

Najnowsza: *Historia de la literatura espanola* wyszła z pod pióra Valery, o którym niżej jeszcze mówić będziemy.

Całokształt dziejów literatury wtedy dopiero może być krytycznie i gruntownie przedstawiony, kiedy do tej budowy olbrzymiej pokolenia całe przygotowywały odpowiedni zapas materiałów, źródłowo i sumiennie opracowanych. Bez wyczerpujących monografij, dzieje literatury będą zawsze mniej lub więcej konwencyonalnym zbiorem bibliograficzno-biograficznych notatek, opatrzonych stereotypowymi komunałami, które żądni łatwo zdobytych laurów historycy sakramentalnie jedni po drugich przeżuwiają. Ta martwota *sui generis*, z której i my podobno otrząsać się nie możemy, przejawia się także i w Hiszpanii, której gruntowne monografie na palcach prawie policzyć można. Największemu stosunkowo szczęściem cieszy się dotąd Cerwantes, który od czasu wyjścia pierwszej krytycznej pracy Navarrete'a, wydanej w 1819 r. przez królewską akademię hiszpańską, doczekał się już pokażnej liczby studyów, rozpraw i życiorysów. Przed pięciu laty D. Leon Roman Mainez zawiązał w Kadyksie Towarzystwo Cerwantesowe i dał początek porywocznemu czasopismu (*Cronica de los Cervantistas*), które wyłącznie studia nad Cerwantesem publikuje. Amerykanie wznoszą ku czci Cerwantesa wspaniałe pomniki. Najnowszą książkę o Cerwantesie, napisał w końcu roku zeszłego Don Nicolas, Diaz de Benjumea (*La Verdad sobre el Quijote, novisima historia critica de la vida de Cervantes, Madrid 1878*), która to praca zasługuje na uwagę.

Jakkolwiek autor prowadzi Cerwantesa od kołyski aż do grobu, to jednakże widoczną jest rzeczą, że chodziło mu głównie o genezę wspólności, jaka istnieje między charakterem i czynami Cerwantesa a duchową treścią najszlachetniejszej postaci w pomnikowym jego utworze. *Quijote* jest punktem atrakcyjnym, w którym p. Benjumea zogniskował przeważnie interes swojej pracy.

To też nie zapuszczając się wcale w labirynt szczegółów, rozbierających takie np. kwestye sporne, czy Cerwantes ujrzał po raz pierwszy światło dzienne w Alcala de Henares, czy w Alcazar de San Juan, czy odbywał w Salamance uniwersyteckie studia, czy też chwilowo tylko bawił w tém mieście; postaramy się przedstawić wybitniejsze jedynie rysy krytycznych spostrzeżeń Benjumey.

Od najwcześniejszych lat życia miał Cerwantes szczególne zamiłowanie do poezyi, które potęgowało się jeszcze w młodym chłopcu czytaniem romansów rycerskich, składających bibliotekę jego ojca. Spotkanie z Lope de Rueda, który, zebrawszy towarzystwo aktorów, rozbudzał przedstawieniami swemi entuzjazm widzów, przejęło duszę Cerwantesa pierwszym pragnieniem sławy, którą chciał zdobyć na niwie dramatycznej działalności. Pierwsza praca poety, epitafrum na śmierć królowy Izabeli de Valois, napisana *redondillami* w formie sonetu jest niejako posepnym wykładnikiem ciernistej drogi jego życia.

Pierwszą miłość okupił poeta pojedynkiem, który go zmusił do emigracyi pod włoskie niebo. Żądza sławy wojennej zawiodła go pod sztandary don Juana austriackiego, z którym odbył kampanię pod Lepanto, zdobywając dzielnością swoją nadzwyczajną miłość swych kolegów a nawet i uznanie wodza. Przed zabliźnieniem jeszcze ran otrzymanych uczestniczył w zdobyciu Tunisu, do którego wszedł z markizem de Santa Cruz i aż do r. 1575 zostawał na lądzie i morzu pod rozkazami księcia de Sessa i Marcelego Doria, mając sposobność pozwania rozmaitych stron Italii, której obyczaje tak dobrze później charakteryzował w swych pracach. Odbywszy krwawy chrzest wojenny, pod wpływem tęsknoty silnej śpieszy do kraju i... wpada w ręce Maurów. Pomimo pouawianych nieustannie i z narażeniem swęj głowy, prób ucieczki, musiał Cerwantes spędzić w ciężkiej niewoli pięć lat rozpacznych najpiękniejszego wieku swego życia. Współtowarzysz tęg niewoli dominikanin Blanco de Paz, którego szpetną postać spotykamy w drugiej części Quijota (Carasco), był czarnym demonem Cerwantesa, paraliżującym zdradą najenergiczniejsze usiłowania ucieczki. Duch poety, w czasach oddalenia tego od ojczyzny, zachował filozoficzny spokój i pogodę; owszem cieszy się jeszcze biędny niewolnik, że przeszedł szkołę, z której wyniósł naukę cierpliwości w przeciwnościach (*paciencia en los adversidades*).

Wszystkie męczarnie, jakie wycierpiał, wszystkie bole tęsknoty za ojczyzną, które mu serce krwawiły; jedném słowem ta Kalwarya jego w Argel w połączeniu z podniosłością jego ducha, wytworzyła pierwsze zarody szczytnego malowidła, wytrwałych zapasów człowieka z losem, nieustannęj walki ze złemi, która jest treścią nieśmiertelnego *Don Quijote'a*. Usunąć z życia Cerwantesa te pięć lat cierpień, jestto poderwać jeden z najgłówniejszych korzeni, dostarczających życia, barwy i soków tęg nieśmiertelnęj kreacyi. Wypadki w Argel zaczynają tworzyć w szlachetném sercu i poetycznej wyobraźni Cerwantesa ową cudowną optykę, ów sposób obserwowania rzeczy i ludzi, obejmujący świat kontrastów nadzwyczajnych, jakie istnieją między poetycznemi iluzjami a rzeczywistością smutną, między zuchwalstwem i wielkością pragnień a karlemi rozmiarami środków.

Kto sądzi, że *Quijote* poczęty i napisany został pod wpływem dążności ośmieszenia wybryków szlachty i ksiąg rycerskich, tęg nie zna

szczytnęj tajemnicy cierpień, nurtujących we wnętrzu istot, uprzywilejowanych potęgą ducha i podniosłością uczuć.

Wykupiony wreszcie z niewoli osiadł w Sewilli, gdzie rozwinięty działalność pisarską, stworzył dwadzieścia kilka komedyj, przyjmowanych na scenie oklaskami. Jakkolwiek dramatopisarstwo nie jest wcale najpiękniejszym klejnotem w koronie zasług Cerwantesa, miał przecież i autor *Numancyi* swoje epokę sławy i teatralnych tryumfów, dopóki w szrankach scenicznych nie zjawił się tytan komedyi hiszpańskiej, Lope de Vega... *el monstruo de naturaleza*.

Niezasobny w środki materyalne, musiał Cerwantes, obarczony już rodziną, wziąć się do pierwszej lepszej pracy, któraby mu utrzymanie zapewniła, i terażto właśnie rozpoczyna się dwudziestoletni okres jego życia, w którym poeta, zajęty interesami *komisowemi* (la agencia de negocios y comisiones) zdawał się być ofiarą najzupełniejszej martwoty ducha.

A przecież w tej pozorniej beczynności umysł poety nie próżnuje. Rodzaj zajęć jego daje mu sposobność studyowania ludzi w ich zwykłym życiu, przyjrzenia się charakterowi, obyczajom i występkom ludu, wniknięcia w zawikłany labirynt interesów drobnych, walk nędznych, ambicij niskich i poziomych sprężyn nienawiści i uczuć. Te lat dwadzieścia uważnych studyów nad człowiekiem, w wieku bystrzej przenikliwości i poważnego nastroju ducha, nie były wcale czasem przesnionym, lecz ustawiczną działalnością, w której przed badawczym wzrokiem Cerwantesa przesuwały się wcielone obrazy wszystkich instynktów i namiętności, wszystkich stron ujemnych i występków nurtujących w łonie tego społeczeństwa, które później geniusz poety z takim mistrzostwem odtworzył. W pośród tedy najprozaiczniejszych zajęć i *en el silencio del olvido*, jak mawiał później, kształtował się utwór Cerwantesa, który genialnością swoją miał zadziwić świat cały.

Tytaniczna walka człowieka z przeciwnościami życia i z uraganem namiętności, szalejących we własnej jego piersi, była dotąd a i będzie zawsze najszczytniejszą treścią dla geniuszów. Lecz malować ten sam przedmiot, wyracając porządek jego i granice, umiał tylko jeden Cerwantes, którego oryginalność zasadza się właśnie na owym subiektywnym żywiole i na owym indywidualnym przymacie, przez który spoglądał ten poeta na wielką treść życia ludzkiego. Treść ta jest przedstawiona w *Don Quijocie* zgodnie z wypadkami życia jego twórcy, który pomimo całej energii swego ducha i niepospolitych zalet umysłu, żadnego z pragnień swęj duszy urzeczywistnić nie zdołał. W tej genialnej pracy uderzyć nas musi ów *espíritu cervantico*, świadczący wymownie, że była ona *sentida antes de ser escrita*. Aby stworzyć takie dzieło, musiał poeta zamalgamować najszczytniejszy idealizm z najbrutalniejszym realizmem, najczystsza kontemplacją ducha z najbrudniejszym cynizmem namiętności, ułudę świetlanych iluzyj z gorzkim doświadczeniem życia, gorące pragnienie dobra ze skalaną dążnością do występków; musiał poeta bratać i kojarzyć nieustannie szczerłość

z obłudą, interes z abnegacją, chciwość z marnotrawstwem, czystość ze zmysłowością, odwagę z tchórzostwem, szlachetność z podłością, energią z lenistwem: jedném słowem wszystkie sprzeczności w walce, najskrajniejsze żywioły w opozycji; ponieważ z téj opozycji i z téj walki miał wytrysnąć komizm w akcji, bez uszczerbku dla podniosłego charakteru przewodniej myśli. A coto za mistrzostwo w tém zestawieniu towarzyszył Sancho. Oba stoją na odwrotnych krańcach natury i usposobień, oba nieustannie walczą z sobą jak duch z materją, a przecież jeden bez drugiego żyć nie może. I kochają się ciągle, kłócą i szukają bezustanku; każda z tych dwu istot zdaje się być integralną częścią drugiej: jestto najwierniejsze malowidło połączenia i opozycji dwu naturalnych składowych elementów człowieka. A ten Quijote, to szaleniec, teoretyk, ideolog, który jednak, biorąc łatwo karczmy za warownie, służące za księżniczki, młyny za olbrzymów i stada za wojsko, nie myli się nigdy w swych dążnościach, nie frymarczy prawdą i nie działa wbrew sumieniu. Dzieło Cerwantesa dotyka kwestyj, tworzących szereg problemów, które wypływają odwiecznie na powierzchnię wieków, stanowiąc interes całej ludzkości, przedmiot nieustannych zaciekań, stałą materją filozofii. Nikt nie przewyższył Cerwantesa w malowaniu charakterów, w mistrzostwie języka, w łatwości dyalogu, w prawdzie opisów, w trafności epitetów, w jasności wyrażenia, w bogactwie imaginy, w sile inwencji, w ruchliwym blasku fantazyi. Holland nazywa *Quijota* pierwszym romansem w świecie i najlepszą księgą Hiszpanów; Irving objawieniem natury; Sydenham podziwia w Cerwantesie wielkiego fizyka; Morejon—światło hiszpańskiej medycyny; Lista—wielkiego poetę; słynny Calderon nazywa go królem romantyzmu, światem całym, księciem geniuszów. Cerwantes był także mistrzem i w nowelach, których trzynaście w ciągu lat trzydziestu utworzył. Same tylko *Novelas ejemplares*, wydrukowane w 1613 r., zapewniłyby autorowi nieśmiertelność. Tirso de Molina nazywa go *Bocacio de Espana*, a Walter Scott mistrzem swoim, którego noweli nie przestawał czytać bard szkocki do końca życia.

La Verdad sobre el Quijote miałyby większą wartość, gdyby jój autor nie z tak bałwochwalczym zaślepieniem na Cerwantesa spoglądał; jestto raczej dytyramb ku czci wieszczka, niż analityczne studjum krytyka. P. Benjumea nie widzi na słońcu swoim żadnej plamy.

Zasługuje także na wzmiankę rozprawa o jednym z najdawniejszych pomników poezyi kastylskiej (1360 r.), t. j. o *Tańcu śmierci*, napisana przez Angel Lasso de la Vega y Argualles p. t.: *La danza de la muerte en la poesía castellana* (Madrid, 1878).

Historja jest w Hiszpanii przy bezgranicznej miłości ludu dla ojczyzny najpopularniejszą nauką, a znajomość dziejów ojczystych poczytują sobie za obowiązek i najniższe sfery społeczne. W skutek tego Hiszpania cieszy się bardzo okazałym zastępem historyków, którzy co-roczenie dostarczają swemu narodowi dość znaczną ilość dzieł nowych.

Ponieważ jednak badania historyczne są tu ściśle związane z polityką, a najwybitniejsi mężowie stanu są historykami z profesyi, historia przeto, hołdując prawie zawsze celom stronnictw, przybiera charakter tendencyjny, który świadczy, że nauka jest na usługach polityki.

Do wybitniejszych dzieł historycznych z lat ostatnich, zaliczyć można: *Historia de Cataluna y de la corona de Aragon* i *La libertad constitucional*, por Balaguer; *Estudios historicos y politicos* przez tegoż; *Datos para la historia de la revolucion de la Internidad y del Advenimiento de la Restauracion*, przez Andres Vorrego; *Los Borbones ante la revolucion*, przez Jenao y Munoz; *Naturaleza y Civilizacion de la grandiosa Isla de Cuba*, przez Ferrer; *Historia general*, por Castro; *Campanas del emperador Napoleon en Prussia y Polonia* (1806—1807 r.) descritas, por D. Morquecho y Montojo; *Estudios sobre el engrandecimiento y la decadencia de Espana*, przez M. Pedregal y Canedo i wiele innych.

Jako osobliwość w XIX wieku, zasługuje na szczególną uwagę dzieło p. Orti y Lara, profesora metafizyki na uniwersytecie Madryckim, p. t.: *La Inquisicion* (Madrid, 1877), świadczące najwymowniej o umysłowych pisarza tego aberracyach. Uczony mąż ten, uderzywszy na wstępie czołem przed inkwizycją, jako najszczytniejszą z instytucyj świata, konkluduje wreszcie, że najpewniejszym a jedynym środkiem, który mógłby społeczeństwo chrześcijańskie poprawić i jedność religijnych podstaw zabezpieczyć jest inkwizycya. Dla poparcia swych poglądów, autor powołuje się na mowę senatora Silveli, który także jest tego zdania, aby stopy zapalić, a wreszcie przytacza również poglądy w tym względzie pierwszego ministra Canowy del Castillo, które dośłownie tak wyglądają:

„Bez inkwizycyi, mówi minister, doszliśmy do stanu, w jakim się dzisiaj hiszpański naród znajduje...” „Bez inkwizycyi staliśmy się w rzeczach religii najobojetniejszym narodem...”

Przedstawivszy następnie historyczną kolę inkwizycyi, przechodzi autor do *auto da fé*, „wspaniałego widowiska, w którym prawda tryumfowała nad zbrodnią!...”

Filozoficzną niwę Hiszpanie bardzo słabo uprawiają, a miejscowi adepci téj nauki przezuwają zagranicznych filozofów, a w szczególności Krausego. W roku zeszłym ukazała się *Coleccion de filosofos modernos*, w którym to zbiorze znajdujemy w tłumaczeniu znakomitszych filozofów od Bakona i Dekarta, aż do najnowszych czasów. Z oryginalnych prac zasługują na wzmiankę: *Analisis del Pensamiento racional*, por D. Julian Sanz del Rio (Madrid, 1878 r.) i *Discusiones sobre la metafisica*, por Armesto (1878 r.).

Juryści hiszpańscy nie próżnują.

Oto najnowsze prace: *La defensa del derecho de propiedad*, przez Santamaria de Paredes, która to książka została premiiowaną przez akademią nauk na konkursie nadzwyczajnym. *Estudios sobre los clasicos*

latinos, aplicados al derecho civil romano, por Benech (prof. prawa w Tolozie); *Duelos*, przez de Sierra; jestto rozprawa o pojedynkach ze stanowiska filozoficzno-prawnego: *Tratado de derecho civil germanico o aleman*, przez Alcade y Prieto; *Constituciones de Espana y de los demas naciones de Europa*, przez Rodriguezza i wiele innych.

Oprócz tego wychodzi już przez lat 27 *Revista de legislacion y Jurisprudencia*, redagowany przez R. Jose Reus y Garcia. Tenże sam prawnik stanął obecnie na czele nowego wydawnictwa, które prasa madrycka najsympatyczniej popiera, a które w tym roku dopiero żyć zaczęło. Jestto *Biblioteca juridica de autores espanoles*, mająca wydawać corocznie od 6 do 10 tomów o 400 stronicach druku prac oryginalnych. Tom jeden kosztuje 24 reale (12 złp.). W wydawnictwie tém przyjęli udział najpierwsi prawnicy hiszpańscy.

Kwestya emancypacyi jest tu także na porządku dziennym, jak i wszędzie, więc téż literatura w tym przedmiocie jest dość obfita. *La mujer en nuestros dias*, przez M. Sinnes; *Cuatro palabras sobre la emancipacion de la mujer*, przez dr. Galdieri; *La mujer defendida por la historia, la ciencia y moral*, por Solis; *Un libro para las damas*, por Pilar Sinues. Wszystkie te prace wyszły w Madrycie w roku zeszłym.

Nie obracając się jedynie w kole teoretycznych postulatów, lecz sprowadzając kwestyą na praktyczny grunt rzeczywistości, Hiszpanie otworzyli przed kilku miesiącami w swój stolicy szkołę handlową dla kobiet, które, w przekonaniu założycieli tego zakładu, posiadają w wysokim stopniu wszystkie zalety, niezbędne do zajęcia bardzo pożytecznego stanowiska przy boku swych mężów lub ojców handlowi poświęconych, a wyręczających się z konieczności obcemi pomocnikami.

Krytyka w Hiszpanii ma obecnie kilku niepospolitych zapaśników, jak: Revilla, Canete, Valera, Canalejas Valdes i inni.

Don Juan Valera wydał w roku zeszłym: *Disertaciones y juicios literarios*, w których między innémi spotykamy rozprawy o Quichocie, o nauce języka, o wpływie inkwizycyi i fanatyzmu religijnego na upadek literatury hiszpańskiej i t. p.

Jeszcze wyżej od tego pisarza, stoi pod względem bystrości krytycznej i gruntownego wykształcenia Canalejas, który wydał przed rokiem ciekawą książkę p. t.: *La poesia moderna discursos criticos* (Madrid, 1877). Praca ta zawiera rozprawy o charakterze namiętności w tragedyi i dramacie; o poezyi dramatycznej w Hiszpanii; o dzisiejszym stanie poezyi lirycznej w Hiszpanii i o poezyi religijnej. We wstępie stara się autor umotywować swoje niezależne stanowisko jako krytyka, który bez względu na dążności polityczne lub religijne, na sztabary filozoficznych obozów, powinien przedewszystkiem kryterium piękna mieć na względzie, gdyż jeżeli najistotniejszą własnością sztuki jest absolutna niezależność jej i swoboda; tenże sam żywioł i dla tych samych przyczyn musi być zasadniczą podstawą i bezstronną krytyki. Wszelka wyłączość (*exclusivismo*) jest zgubna; ona to bowiem stawia

granice dla geniuszów, onieśmiela talenty, psuje smak, wpajając w wielu to błędne przekonanie, że piękność jest jedynie udziałem tój lub innej doktryny dogmatycznej, tego lub innego kierunku. Trzymając się ściśle tych zasad, autor, zasobny w niepospolitą erudycją, śledzi krytycznie wszelkie objawy duchowego życia w swoim narodzie, nie tracąc ani chwilę z przed oczu i działalności innych narodów, jeżeli chodzi o wykazanie różnic lub uzewnętrznienie wpływu obcych geniuszów. Tak np. mówiąc o liryku hiszpańskim Carlosie Rubio (str. 121), zaznacza, że na jego potężnej, ale nieokiełznaniej imaginacji są widoczne ślady wpływu Schillera, Mickiewicza i Quinet'a. W ogólności Canalejas nie rozpacza wcale nad dzisiejszym stanem umysłowej działalności Hiszpanów i zbija stronny pesymizm tych puszczyków, którzy wobec nowych prądów krzyczą zawzięcie, że literatura hiszpańska jest w upadku.

Lingwistyczne i leksykograficzne prace w Hiszpanii, bardzo kuleją, tak, że niema tam nawet porządnego słownika, któryby obejmował z całą ścisłością wszystkie skarby językowe tego narodu. Wprawdzie królewska akademia hiszpańska zdobyła się teraz na olbrzymi słownik ¹⁾, ale na nieszczęście praca ta niesumienne została wykonaną, jak o tém świadczą następujące słowa gruntownego jój krytyka Fernanda Gomez de Salazar. „Słownik, mówi ten pisarz, któremu brakuje kilku tysięcy używanych wyrazów, który zawiera mnóstwo definicyj błędnych, który umieszcza wiele wyrazów nowych pomiędzy archaizmami i naodwrot, który używa bardzo często języka niepoprawnego, który pomija ważne znaczenia wielu wyrazów, a wreszcie niektórym rzeczownikom nadaje błędny rodzaj, nie jest słownikiem języka hiszpańskiego, bez względu na to, że królewskiej Akademii hiszpańskiej był swój zawdzięcza.”

II.

Częścią ze Wschodu, częścią od Francuzów i Włochów zapożyczili Hiszpanie nowele, romanse i opowiadania prozą pisane; obok tego jednak wyrobili samodzielnie tak zwany *romans rycerski*, o fantastycznym charakterze i awanturniczej treści, przez całą Europę naśladowany; *romans lotrowski* (Novela Picaresca: *Lazarillo de Tormes*, *Guzman de Alfarache* i t. d.); *fantastyczno satyryczne obrazy obyczajowe* (*Suenos*, przez Quevedo, *Diablo cojuelo*, przez L. V. de Guevara i t. d.), a wreszcie rodzaj *dramatycznego romansu* (Celestina).

Wszystkie tego rodzaju nowele goniły za skomplikowanym węzłem wypadków i nadzwyczajném rozwiązaniem (*enredo y desenredo*); za przewagą zewnętrznych sytuacji (*lances*) i przedmiotowego interesu nad psychologiczną charakterystyką osób; krańcowa awanturniczość

¹⁾ „El diccionario de la lengua castellana por la real Academia española.”

Alberta Lista, Saavedry i księcia de Rivas, znakomitych pisarzy, drukował i inne utwory wyższej wartości.

W 1841 r. przetłómaczył tę część literatury Sismondiego (*De la litterature du midi de l'Europe 1819*), która mówi o Hiszpanii, w trzy lata później wydał swoją *Sevilla pintoresca*, a w r. 1845, t. j. po powrocie do Madrytu, wydrukował: *Toledo pintoresca*. Jednocześnie pisał także i poezye, dość pochlebnie przez krytyków ocenione. Nie na tej wszakże drodze miał Amador wywalczyć sobie niepospolite w literaturze stanowisko.

Dzieło Sismondiego, jakkolwiek poprawione i uzupełnione przez Amadora, nie mogło już zadowolić nikogo, od czasu, kiedy głębokie pragnienie gruntownego poznania literatury ojczyźnej, dotąd odłogiem leżącej, przenikało szerokie koła żądnych wiedzy Hiszpanów; kiedy historia literatury krajowej weszła w stały program uniwersyteckich studyów i kiedy tacy uczeni, jak: Alcala Galiano, Alberto Lista i José de la Revilla, roztwierali prelekcjami swemi podwoje tej świątyni, która we wnętrzu swoim ukrywała drogocenne a dziewicze jeszcze literackie skarby Hiszpanii. I w tynto właśnie czasie zrodziła się w głowie Amadora myśl szczęśliwa napisania krytycznej historii literatury, na jakiej właśnie narodowi temu zbywało.

Tego rodzaju olbrzymia praca nie mogła powstać tak łatwo, wymagała ona długich i mozolnych studyów, oraz zupełnego owdzięcia niezmiernie obfitym materiałem, albo wcale dotąd nietkniętym, albo niedość krytycznie przez poprzedników jego traktowanym. Nie tracąc tedy z oczu głównego celu, odbywał wytrwale przygotowawcze studia, których pierwszym owocem, po zdobyciu języka hebrajskiego, była znakomita monografia p. t.: *Studia historyczne, polityczne i literackie o żydach hiszpańskich (Estudios historicos, politicos y literarios sobre los judios de Espana)* wydana w 1848 roku. W dziele tém popularyzuje autor wiadomości dotychczas dla szerszego ogółu niedostępne i zaledwie kilku specjalistom znane; to téż książka ta miała tak olbrzymi rozgłos, że całkowita edycja była nadzwyczaj szybko wyczerpana, z powodu licznych zapotrzebowań ze wszystkich stron Europy, Ameryki, a nawet afrykańskich wybrzeży. Winszowali uczonemu hiszpańskiemu tej pracy, zarówno izraelici niemieccy, jak i pisma francuzkie (*la France, Journal des debats*); znakomity pisarz Philarete Chasles poświęcił tej rozprawie pełną słów pochlebnych krytykę, a najuczciwsi rabini Amsterdamu i Londynu przesyłali autorowi gorące powinszowania. I Hiszpania nie zaniedbała złożyć hołdu uznania swemu synowi.

Królewska Akademia historyczna zrobiła go swoim członkiem, a rada wychowania publicznego ofiarowała Amadorowi katedrę literatury hiszpańskiej, wakującą w uniwersytecie Madryckim 1848 roku.

Zająwszy tak zaszczytne stanowisko, Amador de los Rios poświęcił się jeszcze gorliwiej wykonaniu wielkiego planu i zaczął skrzętnie odkrywać i gromadzić nieznane dotąd materiały do swego dzieła.

Aby usunąć bardzo ważny niedostatek starożytniej historii literatury i przywrócić jednemu z najwybitniejszych pisarzy XV wieku to stanowisko, jakie mu się z prawa należy w całokształcie historycznym intelektualnych dziejów Hiszpanii, wydał w 1852 r. dzieła Santillany (*Obras del marques de Santillana*), powiększając tym sposobem skarby poezyi kastylskiej z epoki Jana II o jeden więcej zabytek bardzo ważnych utworów, zarówno ze względu na ich wartość rzeczywistą, jak i z powodu wywieranego przez nie wpływu na ruch literacki owój epoki. Wydanie to, wzbogacone biografią autora i bardzo licznymi objaśnieniami, stanowi między innemi poważny tytuł do zasługi Amadora.

W dalszym ciągu szych poszukiwań robi de los Rios bardzo ciekawe studia nad formami sztuki symbolicznej, którą w średnich wiekach wprowadziły na grunt hiszpański pisma izraelskie i mahometañskie, jak również nad sztuką alegoryczną, która jako spuścizna Rzymu miała tak niesłychane powodzenie w XIV i XV wieku, dzięki wpływowi wielkich poetów Italii. Śledził także wpływ Żydów i Maurów na kulturę przechowaną w Toledo, Murcyi i Sewilli, a rozbieając i inne składowe elementy téj kultury, złożył dowody niepospolitej erudycyi w dziele p. t.: *Memoria del arte latino y byzantino en Espana y las coronas de Guarrasar*, wydaném przez królewską akademię św. Ferdynanda w 1861 r., gdzie wykazuje niezaprzeczone ślady wpływu bizantyńskich Greków na cywilizacyę Wizygotów iberyjskiego półwyspu.

Wreszcie w tym samym roku ukazał się w Madrycie tom pierwszy historii literatury (*Historia critica de la literatura espanola*), którego to dzieła wyszło do roku 1865 siedm wielkich tomów w ćwiartce.

Pomnikowa ta praca powitana była w całej Europie jako niepospolitej doniosłości fakt literacki i wywołała uczone krytyki najznakomitszych pisarzy. Circourt, Puibusque, Puimaigre, La Guardia, Magnabal i Tourtoulon we Francyi, Lembke i Wolff w Niemczech poświęcili uczonemu dziełu Amadora obszernie sprawozdania. Ten ostatni uczony, jeden z najznakomitszych romanistów w Europie, po każdym wyjściu tomu literatury, przedstawiał obszerną jego recenzję Cesarskiej akademii w Wiedniu, które drukował następnie w aktach posiedzeń téj instytucyi. Szereg ocen Wolffa złożyłyby się na obszerną i bardzo ciekawą książkę.

Pierwszy tom historii literatury dedykował autor Izabeli II, która hojną ręką poparła to cenne dla Hiszpani wydawnictwo. Skoro jednak później, dzięki politycznym zawieruchom, subsydia te urwały się nagle, ósmy tom nie wyszedł już z druku, a cenne to dzieło zostało w połowie zaledwie ukończone, gdyż autor doprowadził je tylko do końca XV wieku. Bądź cobądź praca to olbrzymia, podług najszerszego planu wykonana, obejmująca niezmiernie bogate, świeże i krytycznie obrobione materiały.

W tym samym czasie zostało właśnie założone w Madrycie narodowe muzeum archeologiczne, którego dyrektorem mianowano Amadora de los Rios. Nie ograniczając swój pracy na saméj tylko historii

literatury, drukował on jeszcze oprócz tego: „Historią miasta Madrytu i jego dworu” (*Historia de la villa y corte de Madrid*), i pisał mnóstwo artykułów do poważniejszych pism hiszpańskich, jak do: *Revista de Espana*, *Revista de la Universidad de Madrid*, *Ilustracion espanola y americana*” i innych ¹⁾ wydawał poważne monografie o stanie i oświacie klas społecznych Hiszpanii w wiekach średnich, rozprawy archeologiczne, a wreszcie wydał trzypięciotomowe dzieło p. t. *Historia social, politica y religiosa de los Judios en Espana y Portugal*, ukończone w 1876 roku.

Niez mordowana ta działalność literacka i nauczycielska podkopała zdrowie Amadora i skróciła dni jego życia. Bolesne straty rodzinne, jakie poniósł w 1871 r., zrujnowały jeszcze bardziej nadwężone pracą siły fizyczne tego wytrwałego zapaśnika wiedzy. Śmierć dwu najstarszych synów była strasznym ciosem dla ojca, który, przebywszy czas jakiś na Maladze, bez żadnej ulgi w swém cierpieniu, udał się do Sewilli z tą nadzieją, że na łonie rodziny i przyjaciół odzyska stracone siły. Lecz tutaj zamiast zdrowia śmierć znalazł, która nastąpiła w skutek choroby piersiowej 17 lutego 1878 r., a prochy Amadora de los Rios spoczęły w Sewilli obok popiołów Reinoso, Listy i Alavy, znakomitych profesorów i przyjaciół zmarłego.

„Życie tego znakomitego pisarza, mówi Francisco Gonzalez, autor biografii Amadora, było dlań gorzkie i boleści pełne, krajowi drogie i pożyteczne; egzystencja jego, będąca przykładem niez mordowanej pracy i wytrwałości, wydaje się dla nas, którzyśmy go przeżyli, krótką czasem, długą pracami i szeroką uznaniem powszechném.”

Don Pedro Alcantara Garcia, profesor szkół publicznych w Madrycie, pragnął przysłużyć się młodszemu pokoleniu treściwym podręcznikiem do literatury hiszpańskiej, wydał w 1877 roku jednotomową książkę p. t. *Historia de la literatura espanola* (Madrid). Dzieło to widocznie z dążnościami pedagogicznymi napisane, dzieli się na 58 lekcji, które obejmują dzieje literatury od najdawniejszych czasów, lecz tylko do końca XVIII wieku. Jestto przeważnie kompilacja, lecz na podstawie najlepszych źródeł opracowana. Pierwsze epoki literatury aż do XV w. oparte powiększłej części na Amadorze; przy opracowaniu późniejszych wieków, ma autor nieustannie Schacka i Ticknora przed oczyma, chociaż w wielu rzeczach prostuje ich i uzupełnia. Gil y Zarate, Lista i Canalejas składają się także na wypełnienie książki Alcantary Garcii, który zużytkowawszy umiejętnie bogaty materiał poprzedników swoich, zdradza przytém niejednokrotnie samodzielność krytyczną, wszędzie zaś gruntowną znajomość przedmiotu. Jasność formy i systematyczność wykładu stanowią także dodatnią stronę dzieła, które obok powyższych

¹⁾ Artykuły Amadora spotykamy nawet w czasopiśmie Eberta: *Jahrbuch für romanische und englische Literatur*. Berlin, 1859, 1860 i 1861 r. Są to sprawozdania z ruchu umysłowego w Hiszpanii, umieszczone albo w oryginale, albo w niemieckim tłumaczeniu.

zalet ma ten wielki niedostatek, że nie posiada ani jednego ustępu z najznakomitszych nawet poetów, co też znacznie obniża i pedagogiczną wartość książki. Mówiąc o *autosach* Calderona (str. 611), które odzwierciedlają w sobie teologiczny metafizycyzm epoki, obleczoney w artystyczną szatę chrześcijańskiego symbolizmu, Alcantara Garcia robi uwagę, że mistrzem w tym kierunku był obok Calderona tylko Dante, jakkolwiek później tacy geniusze jak: Byron, Goethe, Musset, Hugo, *Mikiewitz* i inni usiłowali w dramacie i poematach symbolicznych naśladować formę *del auto sacramental* Calderona. Nazwisko naszego Adama wyszło, jak widzimy w tej wzmiance skaleczone.

Najnowsza: *Historia de la literatura espanola* wyszła z pod pióra Valery, o którym niżej jeszcze mówić będziemy.

Całokształt dziejów literatury wtedy dopiero może być krytycznie i gruntownie przedstawiony, kiedy do tej budowy olbrzymiej pokolenia całe przygotowywały odpowiedni zapas materiałów, źródłowo i sumiennie opracowanych. Bez wyczerpujących monografij, dzieje literatury będą zawsze inniej lub więcej konwencyonalnym zbiorem bibliograficzno-bijograficznych notatek, opatrzonych stereotypowemi komunałami, które żądni łatwo zdobytych laurów historycy sakramentalnie jedni po drugich przeżuwiają. Ta martwota *sui generis*, z której i my podobno otrząsać się nie możemy, przejawia się także i w Hiszpanii, której gruntowne monografie na palcach prawie policzyć można. Największém stosunkowo szczęściem cieszy się dotąd Cerwantes, który od czasu wyjścia pierwszej krytycznej pracy Navarrete'a, wydanej w 1819 r. przez królewską akademię hiszpańską, doczekał się już okazałej liczby studyów, rozpraw i życiorysów. Przed pięciu laty D. Leon Roman Mainez zawiązał w Kadyksie Towarzystwo Cerwantesowe i dał początek porywocznemu czasopismu (*Cronica de los Cervantistas*), które wyłącznie studia nad Cerwantesem publikuje. Amerykanie wnoszą ku czci Cerwantesa wspaniałe pomniki. Najnowszą książkę o Cerwantesie, napisał w końcu roku zeszłego Don Nicolas, Diaz de Benjumea (*La Verdad sobre el Quijote, novisima historia critica de la vida de Cervantes, Madrid 1878*), która to praca zasługuje na uwagę.

Jakkolwiek autor prowadzi Cerwantesa od kołyski aż do grobu, to jednakże widoczną jest rzeczą, że chodziło mu głównie o genezę wspólności, jaka istnieje między charakterem i czynami Cerwantesa a duchową treścią najszlachetniejszej postaci w pomnikowym jego utworze. Quijote jest punktem atrakcyjnym, w którym p. Benjumea zogniskował przeważnie interes swojej pracy.

To też nie zapuszczając się wcale w labirynt szczegółów, rozbiegających takie np. kwestye sporne, czy Cerwantes ujrzał po raz pierwszy światło dzienne w Alcala de Henares, czy w Alcazar de San Juan, czy odbywał w Salamance uniwersyteckie studia, czy też chwilowo tylko bawił w tém mieście; postaramy się przedstawić wybitniejsze jedynie rysy krytycznych spostrzeżeń Benjumey.

Od najwcześniejszych lat życia miał Cerwantes szczególne zamiłowanie do poezyi, które potęgowało się jeszcze w młodym chłopcu czytaniem romansów rycerskich, składających bibliotekę jego ojca. Spotkanie z Lope de Rueda, który, zebrawszy towarzystwo aktorów, rozbudzał przedstawieniami swemi entuzjazm widzów, przejęło duszę Cerwantesa pierwszym pragnieniem sławy, którą chciał zdobyć na niwie dramatycznej działalności. Pierwsza praca poety, epitafium na śmierć królowy Izabeli de Valois, napisana *redondillami* w formie sonetu jest niejako posępnym wykładnikiem ciernistej drogi jego życia.

Pierwszą miłość okupił poeta pojedynkiem, który go zmusił do emigracyi pod włoskie niebo. Żądza sławy wojennej zawiodła go pod sztandary don Juana austriackiego, z którym odbył kampanię pod Lepanto, zdobywając dzielnością swoją nadzwyczajną miłość swych kolegów a nawet i uznanie wodza. Przed zabliźnieniem jeszcze ran otrzymanych uczestniczył w zdobyciu Tunisu, do którego wszedł z markizem de Santa Cruz i aż do r. 1575 zostawał na lądzie i morzu pod rozkazami księcia de Sessa i Marcelego Doria, mając sposobność poznania rozmaitych stron Italii, której obyczaje tak dobrze później charakteryzował w swych pracach. Odbywszy krwawy chrzest wojenny, pod wpływem tęsknoty silnej śpieszy do kraju i... wpada w ręce Maurów. Pomimo ponawianych nieustannie i z narażeniem swęj głowy, prób ucieczki, musiał Cerwantes spędzić w ciężkiej niewoli pięć lat rozpacznych najpiękniejszego wieku swego życia. Współtowarzysz tęg niewoli dominikanin Blanco de Paz, którego szpetną postać spotykamy w drugiej części Quijota (Carasco), był czarnym demonem Cerwantesa, paraliżującym zdradą najenergiczniejsze usiłowania ucieczki. Duch poety, w czasach oddalenia tego od ojczyzny, zachował filozoficzny spokój i pogodę; owszem cieszy się jeszcze biedny niewolnik, że przeszedł szkołę, z której wyniósł naukę cierpliwości w przeciwnościach (*paciencia en los adversidades*).

Wszystkie męczarnie, jakie wycierpiał, wszystkie bole tęsknoty za ojczyzną, które mu serce krwawiły; jednem słowem ta Kalwarya jego w Argel w połączeniu z podniosłością jego ducha, wytworzyła pierwsze zarody szczytnego malowidła, wytrwałych zapasów człowieka z losem, nieustannej walki ze złem, która jest treścią nieśmiertelnego *Don Quijote'a*. Usunąć z życia Cerwantesa te pięć lat cierpień, jestto poderwać jeden z najgłówniejszych korzeni, dostarczających życia, barwy i soków tęg nieśmiertelnej kreacyi. Wypadki w Argel zaczynają tworzyć w szlachetném sercu i poetycznej wyobraźni Cerwantesa ową cudowną optykę, ów sposób obserwowania rzeczy i ludzi, obejmujący świat kontrastów nadzwyczajnych, jakie istnieją między poetycznymi iluzjami a rzeczywistością smutną, między zuchwalstwem i wielkością pragnień a karłemi rozmiarami środków.

Kto sądzi, że *Quijote* poczęty i napisany został pod wpływem dążności ośmieszenia wybryków szlachty i ksiąg rycerskich, tę nie zna

szczytniej tajemnicy cierpień, nurtujących we wnętrzu istot, uprzywilejowanych potęgą ducha i podniosłością uczuć.

Wykupiony wreszcie z niewoli osiadł w Sewilli, gdzie rozwinął swoją działalność pisarską, stworzył dwadzieścia kilka komedyj, przyjmowanych na scenie oklaskami. Jakkolwiek dramatopisarstwo nie jest wcale najpiękniejszym klejnotem w koronie zasług Cerwantesa, miał przecież i autor *Numancyi* swoją epokę sławy i teatralnych tryumfów, dopóki w szrankach scenicznych nie zjawił się tytan komedyi hiszpańskiej, Lope de Vega... *el monstruo de naturaleza*.

Niezasobny w środki materyalne, musiał Cerwantes, obarczony już rodziną, wziąć się do pierwszej lepszej pracy, któraby mu utrzymanie zapewniła, i terazto właśnie rozpoczyna się dwudziestoletni okres jego życia, w którym poeta, zajęty interesami *komisowemi* (la agencia de negocios y comisiones) zdawał się być ofiarą najzupełniejszej martwoty ducha.

A przecież w tej pozorniej beczynności umysł poety nie próżnuje. Rodzaj zajęć jego daje mu sposobność studyowania ludzi w ich zwykłym życiu, przyjrzenia się charakterowi, obyczajom i występkom ludu, wniknięcia w zawikłany labirynt interesów drobnych, walk nędznych, ambicij niskich i poziomych sprężyn nienawiści i uczuć. Te lat dwadzieścia uważnych studyów nad człowiekiem, w wieku bystrzej przenikliwości i poważnego nastroju ducha, nie były wcale czasem prześnionym, lecz ustawiczną działalnością, w której przed badawczym wzrokiem Cerwantesa przesuwwały się wcielone obrazy wszystkich instynktów i namiętności, wszystkich stron ujemnych i występków nurtujących w łonie tego społeczeństwa, które później geniusz poety z takim mistrzostwem odtworzył. W pośród tedy najprozaiczniejszych zajęć i *en el silencio del olvido*, jak mawiał później, kształtował się utwór Cerwantesa, który genialnością swoją miał zadziwić świat cały.

Tytaniczna walka człowieka z przeciwnościami życia i z uraganiem namiętności, szalejących we własnej jego piersi, była dotąd a i będzie zawsze najszczytniejszą treścią dla geniuszów. Lecz malować ten sam przedmiot, wywracając porządek jego i granice, umiał tylko jeden Cerwantes, którego oryginalność zasada się właśnie na owym subiektywnym żywiole i na owym indywidualnym pryzmacie, przez który spoglądał ten poeta na wielką treść życia ludzkiego. Treść ta jest przedstawiona w *Don Quijocie* zgodnie z wypadkami życia jego twórcy, który pomimo całej energii swego ducha i niepospolitych zalet umysłu, żadnego z pragnień swój duszy urzeczywistnić nie zdołał. W tej genialnej pracy uderzyć nas musi ów *espíritu cervantino*, świadczący wymownie, że była ona *sentida antes de ser escrita*. Aby stworzyć takie dzieło, musiał poeta zamalgamować najszczytniejszy idealizm z najbrutalniejszym realizmem, najczystsza kontemplacją ducha z najbrudniejszym cynizmem namiętności, ułudę świetlanych iluzyj z gorzkim doświadczeniem życia, gorące pragnienie dobra ze skalaną dążnością do występków; musiał poeta bratać i kojarzyć nieustannie szczeroci

z obłudą, interes z abnegacją, chciwość z marnotrawstwem, czystość ze zmysłowością, odwagę z tchórzostwem, szlachetność z podłością, energią z lenistwem: jedném słowem wszystkie sprzeczności w walce, najskrajniejsze żywioły w opozycji; ponieważ z téj opozycji i z téj walki miał wytrysnąć komizm w akcji, bez uszczerbku dla podniosłego charakteru przewodniej myśli. A coto za mistrzostwo w tém zestawieniu wrogich żywiołów. Przy boku najidealniejszego z ludzi, nieodstępny towarzysz Sancho. Oba stoją na odwrotnych krańcach natury i usposobień, oba nieustannie walczą z sobą jak duch z materją, a przeciw jeden bez drugiego żyć nie może. I kochają się ciągle, kłócą i szukają bezustanku; każda z tych dwu istot zdaje się być integralną częścią drugiej: jestto najwierniejsze malowidło połączenia i opozycji dwu naturalnych składowych elementów człowieka. A ten Quijote, to szaleńiec, teoretyk, ideolog, który jednak, biorąc łatwo karczyny za warownie, służące za księżniczki, młyny za olbrzymów i stada za wojsko, nie myli się nigdy w swych dążnościach, nie frymarczy prawdą i nie działa wbrew sumieniu. Dzieło Cerwantesa dotyka kwestyj, tworzących szereg problemów, które wypływają odwiecznie na powierzchnię wieków, stanowiąc interes całej ludzkości, przedmiot nieustannych zaciekań, stałą materją filozofii. Nikt nie przewyższył Cerwantesa w malowaniu charakterów, w mistrzostwie języka, w łątwości dyalogu, w prawdziwie opisów, w trafności epitetów, w jasności wyrażenia, w bogactwie imaginy, w sile inwencji, w ruchliwym blasku fantazyi. Holland nazywa *Quijota* pierwszym romanssem w świecie i najlepszą księgą Hiszpanów; Irving objawieniem natury; Sydenham podziwia w Cerwantesie wielkiego fizyka; Morejon—światło hiszpańskiej medycyny; Lista—wielkiego poety; słynny Calderon nazywa go królem romantyzmu, światem całym, księciem geniuszów. Cerwantes był także mistrzem i w nowelach, których trzynaście w ciągu lat trzydziestu utworzył. Same tylko *Novelas ejemplares*, wydrukowane w 1613 r., zapewniłyby autorowi nieśmiertelność. Tirso de Molina nazywa go *Bocacio de Espana*, a Walter Scott mistrzem swoim, którego noweli nie przestawał czytać bard szkocki do końca życia.

La Verdad sobre el Quijote miałyby większą wartość, gdyby jój autor nie z tak bałwochwalczem zaślepieniem na Cerwantesa spoglądał; jestto raczej dytyramb ku czci wieszca, niż analityczne studjum krytyka. P. Benjumea nie widzi na słońcu swoim żadnej plamy.

Zasługuje także na wzmiankę rozprawa o jednym z najdawniejszych pomników poezyi kastylskiej (1360 r.), t. j. o *Tañcu śmierci*, napisana przez Angel Lasso de la Vega y Argualles p. t.: *La danza de la muerte en la poesia castellana* (Madrid, 1878).

Historya jest w Hiszpanii przy bezgranicznej miłości ludu dla ojczyzny najpopularniejszą nauką, a znajomość dziejów ojczystych pocztują sobie za obowiązek i najniższe sfery społeczne. W skutek tego Hiszpania cieszy się bardzo pokaźnym zastępem historyków, którzy co-rocennie dostarczają swemu narodowi dość znaczną ilość dzieł nowych.

Ponieważ jednak badania historyczne są tu ściśle związane z polityką, a najwybitniejsi mężowie stanu są historykami z profesyi, historia przeto, hołdując prawie zawsze celom stronnictw, przybiera charakter tendencyjny, który świadczy, że nauka jest na usługach polityki.

Do wybitniejszych dzieł historycznych z lat ostatnich, zaliczyć można: *Historia de Cataluna y de la corona de Aragon* i *La libertad constitucional*, por Balaguer; *Estudios historicos y politicos* przez tegoż; *Datos para la historia de la revolucion de la Internidad y del Advenimiento de la Restauracion*, przez Andres Vorrego; *Los Borbones ante la revolucion*, przez Jenao y Munoz; *Naturaleza y Civilisacion de la grandiosa Isla de Cuba*, przez Ferrer; *Historia general*, por Castro; *Campanas del emperador Napoleon en Prussia y Polonia* (1806—1807 r.) descritas, por D. Morquecho y Montojo; *Estudios sobre el engrandecimiento y la decadencia de Espana*, przez M. Pedregal y Canedo i wiele innych.

Jako osobliwość w XIX wieku, zasługuje na szczególną uwagę dzieło p. Orti y Lara, profesora metafizyki na uniwersytecie Madryckim, p. t.: *La Inquisicion* (Madrid, 1877), świadczące najwymowniej o umysłowych pisarza tego aberracyach. Uczony mąż ten, uderzywszy na wstępie czołem przed inkwizycją, jako najszczytniejszą z instytucyj świata, konkluduje wreszcie, że najpewniejszym a jedynym środkiem, który mógłby społeczeństwo chrześcijańskie poprawić i jedność religijnych podstaw zabezpieczyć jest inkwizycya. Dla poparcia swych poglądów, autor powołuje się na mowę senatora Silveli, który także jest tego zdania, aby stosy zapalić, a wreszcie przytacza również poglądy w tym względzie pierwszego ministra Canowy del Castillo, które dosłownie tak wyglądają:

„Bez inkwizycyi, mówi minister, doszliśmy do stanu, w jakim się dzisiaj hiszpański naród znajduje...” „Bez inkwizycyi staliśmy się w rzeczach religii najobojetniejszym narodem...”

Przedstawivszy następnie historyczną kolę inkwizycyi, przechodzi autor do *auto da fé*, „wspaniałego widowiska, w którym prawda tryumfowała nad zbrodnią!...”

Filozoficzną niwę Hiszpanie bardzo słabo uprawiają, a miejscowi adeptci téj nauki przeżywają zagranicznych filozofów, a w szczególności Krausego. W roku zeszłym ukazała się *Coleccion de filosofos modernos*, w którym to zbiorze znajdujemy w tłumaczeniu znakomitszych filozofów od Bakona i Dekarta, aż do najnowszych czasów. Z oryginalnych prac zasługują na wzmiankę: *Analisis del Pensamiento racional*, por D. Julian Sanz del Rio (Madrid, 1878 r.) i *Discusiones sobre la metafisica*, por Armesto (1878 r.).

Juryści hiszpańscy nie próżnują.

Oto najnowsze prace: *La defensa del derecho de propiedad*, przez Santamaria de Paredes, która to książka została premiiowana przez akademię nauk na konkursie nadzwyczajnym. *Estudios sobre los clasicos*

latinos, aplicados al derecho civil romano, por Benech (prof. prawa w Tolozie); *Duelos*, przez de Sierra; jestto rozprawa o pojedynkach ze stanowiska filozoficzno-prawnego; *Tratado de derecho civil germanico o aleman*, przez Alcade y Prieto; *Constituciones de Espana y de los demas naciones de Europa*, przez Rodrigueza i wiele innych.

Oprócz tego wychodzi już przez lat 27 *Revista de legislacion y Jurisprudencia*, redagowany przez R. Jose Reus y Garcia. Tenże sam prawnik stanął obecnie na czele nowego wydawnictwa, które prasa madrycka najsympatyczniej popiera, a które w tym roku dopiéro żyć zaczęło. Jestto *Biblioteca juridica de autores espanoles*, mająca wydawać corocznie od 6 do 10 tomów o 400 stronicach druku prac oryginalnych. Tom jeden kosztuje 24 reale (12 złp.). W wydawnictwie tém przyjęli udział najpierwsi prawnicy hiszpańscy.

Kwestya emancypacji jest tu także na porządku dziennym, jak i wszędzie, więc téż literatura w tym przedmiocie jest dość obfita. *La mujer en nuestros dias*, przez M. Sinnes; *Cuatro palabras sobre la emancipacion de la mujer*, przez dr. Galdieri; *La mujer defendida por la historia, la ciencia y moral*, por Solis; *Un libro para las damas*, por Pilar Sinues. Wszystkie te prace wyszły w Madrycie w roku zeszłym.

Nie obracając się jedynie w kole teoretycznych postulatów, lecz sprowadzając kwestyą na praktyczny grunt rzeczywistości, Hiszpanie otworzyli przed kilku miesiącami w swęj stolicy szkołę handlową dla kobiet, które, w przekonaniu założycieli tego zakładu, posiadają w wysokim stopniu wszystkie zalety, niezbędne do zajęcia bardzo pożytecznego stanowiska przy boku swych mężów lub ojców handlowi poświęconych, a wyrażających się z konieczności obcemi pomocnikami.

Krytyka w Hiszpanii ma obecnie kilku niepospolitych zapaśników, jak: Revilla, Canete, Valera, Canalejas Valdes i inni.

Don Juan Valera wydał w roku zeszłym: *Disertaciones y juicios literarios*, w których między innemi spotykamy rozprawy o Quichocie, o nauce języka, o wpływie inkwizycji i fanatyzmu religijnego na upadek literatury hiszpańskiej i t. p.

Jeszcze wyżej od tego pisarza, stoi pod względem bystrości krytycznej i gruntownego wykształcenia Canalejas, który wydał przed rokiem ciekawą książkę p. t.: *La poesia moderna discursos criticos* (Madrid, 1877). Praca ta zawiera rozprawy o charakterze namiętności w tragedyi i dramacie; o poezyi dramatycznej w Hiszpanii; o dzisiejszym stanie poezyi lirycznej w Hiszpanii i o poezyi religijnej. We wstępie stara się autor umotywować swoje niezależne stanowisko jako krytyka, który bez względu na dążności polityczne lub religijne, na sztandary filozoficznych obozów, powinien przedewszystkiém kryterjum piękna mieć na względzie, gdyż jeżeli najistotniejszą własnością sztuki jest absolutna niezależność jęj i swoboda; tenże sam żywioł i dla tych samych przyczyn musi być zasadniczą podstawą i bezstronną krytyki. Wszelka wyłączość (*exclusivismo*) jest zgubna; ona to bowiem stawia

granice dla geniuszów, onieśmiela talenty, psuje smak, wpajając w wielu to błędne przekonanie, że piękność jest jedynie udziałem tej lub innej doktryny dogmatycznej, tego lub innego kierunku. Trzymając się ściśle tych zasad, autor, zasobny w niepospolitą erudycją, śledzi krytycznie wszelkie objawy duchowego życia w swoim narodzie, nie tracąc ani chwilę z przed oczu i działalności innych narodów, jeżeli chodzi o wykazanie różnic lub uzewnętrznienie wpływu obcych geniuszów. Tak np. mówiąc o liryku hiszpańskim Carlosie Rubio (str. 121), zaznacza, że na jego potężnej, ale nieokiełznaniej imaginacji są widoczne ślady wpływu Schillera, Mickiewicza i Quinet'a. W ogólności Canalejas nie rozpacza wcale nad dzisiejszym stanem umysłowej działalności Hiszpanów i zbija stronny pesymizm tych puszczyków, którzy wobec nowych prądów krzyczą zawzięcie, że literatura hiszpańska jest w upadku.

Lingwistyczne i leksykograficzne prace w Hiszpanii, bardzo kuleją, tak, że niema tam nawet porządnego słownika, któryby obejmował z całą ścisłością wszystkie skarby językowe tego narodu. Wprawdzie królewska akademja hiszpańska zdobyła się teraz na olbrzymi słownik ¹⁾, ale na nieszczęście praca ta niesumiennie została wykonana, jak o tém świadczą następujące słowa gruntownego jej krytyka Fernanda Gomez de Salazar. „Słownik, mówi ten pisarz, któremu brakuje *kilku tysięcy* używanych wyrazów, który zawiera mnóstwo defuicyj błędnych, który umieszcza wiele wyrazów nowych pomiędzy archaizmami i naodwrot, który używa bardzo często języka niepoprawnego, który pomija ważne znaczenia wielu wyrazów, a wreszcie niektórym rzeczownikom nadaje błędny rodzaj, nie jest słownikiem języka hiszpańskiego, bez względu na to, że królewskiej Akademii hiszpańskiej byt swój zawdzięcza.”

II.

Częścią ze Wschodu, częścią od Francuzów i Włochów zapożyczili Hiszpanie nowele, romanse i opowiadania prozą pisane; obok tego jednak wyrobili samodzielnie tak zwany *romans rycerski*, o fantastycznym charakterze i awanturniczej treści, przez całą Europę naśladowany; *romans lotrowski* (Novela Picaresca: *Lazarillo de Tormes*, *Guzman de Alfarache* i t. d.); *fantastyczno satyryczne obrazy obyczajowe* (*Suenos*, przez Quevedo, *Diablo cojuelo*, przez L. V. de Guevara i t. d.), a wreszcie rodzaj *dramatycznego romansu* (Celestina).

Wszystkie tego rodzaju nowele goniły za skomplikowanym węzłem wypadków i nadwyzczajnem rozwiązaniem (*enredo y desenredo*); za przewagą zewnętrznych sytuacji (*lances*) i przedmiotowego interesu nad psychologiczną charakterystyką osób; krańcowa awanturniczość

¹⁾ „El diccionario de la lengua castellana por la real Academia española.”

wypadków i najdziwaczniejsze ekstrawagancje były duszą tych utworów, które do końca XVII wieku rozeszły się w Hiszpanii w ogromnej liczbie. Gdy jednakże polityczne losy narodu i socjalne jego stosunki zmieniły się; gdy utopie o hiszpańskiej monarchii świata zwierzały; gdy awanturnicze wyprawy bohaterów, zajmując miejsce w historii, na poetycznym blasku tracić zaczęły; z drugiej zaś strony, gdy u innych ludów nowożytny indywidualizm i subiektywizm, filozoficzne refleksje i krytyczna analiza wyrugowały z romansów dawniejszą przedmiotowość naiwną i rozkiełznany polot fantazyi skrępowyły, kładąc szczególny nacisk na wewnętrzną plastykę osób i psychiczny rozwój jednostki: wtedy dopiero wszystkie powyższe gatunki prozy poszły w niepamięć. Pomimo jednak, że romans zajął w literaturze europejskiej przeważne stanowisko; pomimo, że stawszy się niejako poetycznym organem i kunsztownym wyrazem polityczno-filozoficznych, religijnych, obyczajowych i społecznych elementów rozwoju, obejmował tym sposobem, już od połowy XVIII wieku, całość nowego życia, dla hiszpanów ta świeża gałąź literatury była długo najzupełniej obca, aż do nazwiska.

Wzięto się wprawdzie do naśladowania romansów Waltera Scotta a później Dumasa i Hugo'a; lecz były to raczej niewolnicze przekłady wszelkiej samodzielności pozbawione, aniżeli prace oryginalne. Do tego wreszcie przyszło, że Hiszpanie, zwątpiwszy najzupełniej o zdolnościach swoich w tym kierunku, każdy nowy romans oryginalny z całym niesmakiem pomijali, wyrażając się głośno, że *pensar en la novela española, es pensar en un imposible*.

Dla wydobycia tej ważnej gałęzi literatury z owego stanu poniżenia, trzeba było, mówi znakomity poeta D. Louis de Eguilaz, zrobić ją wizerunkiem *hiszpańskiego* społeczeństwa, któryby odzwierciedlał jego cnoty i występki, jego obyczaje i charakter, jego tradycje i wiary; który byłby na wskroś narodowy (*eminente mente nacional*); gdyż romans jest fizjognomią narodów. Niektórzy przedsięwzięcie to za zbyt trudne, inni za niemożliwe poczytywali; a jednak zrobiono krok pierwszy na tym polu i romans oryginalny istnieje.

Pierwsze udatne próby Larry i Esproncedy zachęciły do wytrwałości w tym kierunku, a wreszcie takie prace jak: *Dona Blanca de Navarra* przez Villoslada; *El Cid Campeador* przez de Cosea Vayo; *La Campaona de Huesca*, *La dama del Conde duque* i wiele innych; podniosły znaczenie romansu oryginalnego w Hiszpanii, który wreszcie doczekał się wielce utalentowanej przedstawicielki w osobie panny Cecylii Bohl de Faber, znaną pod pseudonimem Fernana Caballero.

Ferdynand Wolff, znakomity romanista, twierdzi, że wystąpienie tej autorki jest dla hiszpańskiej powieści... epoką i że jęj to zawdzięcza Hiszpania ten gatunek prozy poetycznej, któryby *realistycznym* nazwać można, ze względu na uderzającą prawdę i najnaturalniejszą rzeczywistość, jaka istnieje w przedstawieniu *poetycznych* żywiołów, stanowiących treść jęj romansów. Fabuła ich powiększającą częśći bardzo pro-

sta i sytuacje najwyczuwalniejsze z rozwiązaniem rzadko kiedy ekscentrycznym. Ale za to główny nacisk kładzie autorka na plastykę charakterów i obyczajów, na psychiczną prawdę działaczy, a wreszcie na opisy natury, okolic i miejscowości. Lecz jeżeli Caballero nie przejęła, jak widzimy, ekscentryczności dawnych romansów; odziedziczyła za to najzupełniej *starohiszpański patryotyzm* i *starohiszpański katolicyzm*. Ten pierwszy żywioł przejawia się w nieustannej ekstazie autorki dla przeszłości. Broni ona zaciekle arystokratycznych przesądów, poświęcenia poddanych dla monarchy, wiary ślepej i dobrodziejstw ortodoksji a nienawidzi demokracji i wszelkiego postępu. Hubbard nazywa ją wskutek tego Chateaubriandem płci żeńskiej. Drugi żywioł występuje rażąco w ckliwych niezmiernie, kaznodziejskich epizodach, które w wysokim stopniu szkodzą artystycznej stronie prześlicznych zkądinąd powieściowych utworów Caballera. Autorka nie pomija najdrobniejszej nawet sposobności, żeby do czytelników swoich nie zawołać: módlcie się i bijcie w piersi!... Zapomniawszy o tém, że powieść nie jest przecież kazalnica, deklamuje bardzo często i prawi morały gdzie tylko może, grzesząc okrom tego zarówno zbyt czułą drobiazgowością opisów jak i przesadnym nieco *a la alemana* sentymentalizmem.

Nowele pani Caballero są moralne; lecz moralność ta nie występuje na scenę spotęgowana boleścią i walkami, dająca stanowczą odpowiedź posępnym indagacyom sumienia, lub rozpraszająca jak słodki oddech nadziei, złowrogie chmury z czoł naszych. Jestto moralność na najdrobniejszą skalę, dla piętnastoletnich pensyonarek i młodzieńców, którzy studia swoje skończyli na drugiej klasie. Posłuszeństwo dla rodziców, uszanowanie dla starszych, czystość w słowach, myślach i uczynkach, łagodność w obejściu z niższymi i litość dla nędzarzów, czyli jedném słowem *moralność pierwszej komunii*, jak trafnie zauważył jeden z hiszpańskich krytyków, jest etyczną kwintesencją prac tej autorki. Potrafi ona opisać nam z zadziwiającą prawdą rysów najprostszą psychologią, jaka się zamyka w piersiach dziewczęcia; lecz pędzłowi jęj brak potęgi do odtworzenia tych brzd strasznych, jakie namiętność w sercu człowieka wyraża.

Budowa jęj romansów prostszą już być nie może. Prostota wprawdzie jest ukochaną córą rzeczywistości, lecz ta ostatnia przez nią samą nie wkracza w dziedzinę sztuki: rzeczywistość bez idei to... trywialność. O tę ostatnią skalę rozbija się téż bardzo często romansopisarska łódź Caballera. Przedstawione w jęj nowelach charaktery tak są na wskrós rzeczywiste, że aż pospolitość z nich wieje. Sytuacje mają prawdę i uczucie lecz—to mało. Celem romansu nie jest wywołanie łez potoku, lecz wzruszenie estetyczne i gorący zapach dla piękna.

Obok wad tych rzucają się jednak w oczy i niepospolite strony dodatnie, a mianowicie dosadna wyrazistość typów, głębokie uczucie, niezmiernie poetyczny koloryt obrazowych malowideł, subtelna analiza serca, krynicznie świeży dowcip i nieporównane mistrzostwo języka. W jęj kreacyach najmniejszego niéma naśladownictwa „ils sont pris

au coeur de la vie nationale, ils procèdent de *l'observation de la réalité* et du *sentiment de la poésie des choses*" jak mówi bardzo trafnie p. Masade. Wszystkie jej obrazy są na wskroś hiszpańskie, lecz najświetniejsze w nich miejsce zajmuje niewątpliwie Andaluzya, która widocznie jest dla Fernana Caballero uprzewilejowaną bohaterką. Do większych jej utworów należą: *Elia*, *Gaviota*, *La familia de Alvareda*, *Clemencia* i t. d.; do mniejszych zaś, które prawdziwemi perełkami nazwać można: *Con mal ó con bien á los tuyos te ten* (Złe czy dobrze trzymaj się ze swemi), *Farisea* (Faryzeuszka), *Tres almas de dios* (Szlachetne dusze), *Pobre Dolores* i wiele innych. Ostatnie utwory Caballera, ogłoszone w roku zeszłym są: *Estar de mas* i *Magdalena*.

Zaznaczyć także wypada, że Caballero należała do gorliwych zbieraczek pieśni ludowych, których znaczną kolekcją wydała w Sewilli p. t. *Cuentos y poesias populares andaluces, coleccionados*, por Fernan Caballero.

Do pisarzy zbratanych silnie z Fernanem Caballero, tożsamością zasad i pokrewieństwem ideałów, należy przedewszystkiem Trueba, jeden z najpopularniejszych dzisiaj sielankowych nowelistów Hiszpanii. I on także podziela sercem konserwatyzm słynnej autorki, przez mistyczny pryzmat w życie patrzy, apostołem wiedzy i postępu być nie pragnie, a stan bierny intelektualnego poniżenia za warunek szczęścia poczytuje.

W poetycznej apoteozie obyczajów ludowych Trueba spotęgował jeszcze do przesady tęczywo optymizm swjej mistrzyni, a wszystkie jego prace, będące jedną „długą idyllą,” pomimo niezaprzeczonego ich wdzięku, poetycznej barwy i miłej woni, robią przecież, przy częstszym z nimi obcowaniu, wrażenie pewnej monotonii, wywołanej naiwnością zbyt dziecięcą, ortodoksyą zanaiwną i rezygnacją rażąco... nadnaturalną...

Czy przedstawia obyczaje rzemieślników Madrytu (*Cuentos populares*), lub wieśniaków Kastylii (*Cuentos campesinos*); czy nam mówi o góralach Biskai (*Cuentos de Color de rosa*), jest Trueba jednakowy zawsze w swém natchnieniu; owładnąć imaginacją naszą nie pragnie, do rozumu nigdy nie przemawia, a jedynym jego celem jest wzruszyć czytelnika i... rozczulić. Trueba jest także i poetką, jak tego złożył dowód w wiązance poetycznych utworów p. t. *Libro de los Cantares*, nad które jednak Hiszpanie przekładają jego śliczne powiastki: *La madrastra* (macocha), *Juan Palomo*, *La mujer del Arquitecto*, *La Buena-ventura* i inne.

Do szkoły Fernana Caballero, jeśli tak powiedzieć można, należą jeszcze D. Manuel Polo y Peyrolon, odznaczający się w swoich *Escenas y usos de la Sierra de Albarracín* żywością kolorytu, łatwością opisywają, zręcznym dyalogiem i elegancją stylu, oraz Frates y Sureda twórca *Escenas Baleares*.

Do zdolniejszych powieściopisarzy obyczajowych należy jeszcze D. Jose Maria de Pereda, którego najnowsza praca: *Don Gonzalo Gon-*

zalez de la Gonzalera przed miesiącem wyszła z druku (Madrid). Charakterystyczną stroną jego talentu jest siła: *realizm* tego pisarza jest surowy a jedrny. Nienawidzi on śmiertelnie fałszywych idyll i fikcyjnych Arkadyj; brzydzi się pozornym tylko a optymistycznym idealizmem; utwory jego wszakże mają poezyą, lecz taką, jaka rzeczywiście na niwie obyczajów wiejskich istnieć może.

W jego obrazach nie występują Melibee i Tirsisy, lecz górale ze złem i dobrem otrzaskani, na interes swój baczni, w słowach skąpi i chytrzy, bo charakter hiszpańskich wieśniaków jest taki, wbrew *różowym* eklogom Trueby. Niema tam u niego patryarchów wioskowych, niesmacznie sentymentalnych pasterek i dowcipnych o harmonijnym głosie pasterzów; każdy tam mówi jak umie, boć prostak wyrażać się musi... jak prostak. Pereda sam głęboko czuć potrafi; więc téż czułości jest wrogiem. Dzieła jego, pomimo takiego realizmu, poetycznym wdziękiem ujmują; co zresztą nic dziwnego, skoro najszytniejszą poezyą... jest prawda...

Do najlepszych prac Peredy należą, oprócz wspomnianej *Eseenas montanas* w dwóch seryach; *Bocetos al temple* i *Tipos trashumantes*.

Utalentowanym i bardzo płodnym powieściopisarzem jest Henryk *Perez Escrich*, który w trzydziestu kilku tomach swych romansów złożył dowody bujnej fantazyi, psychologicznych niedostatków, pseudo-liberalnych pojęć i niepowsięgaliwego ubiegania się za najjaskrawszemi efektami, bez względu na prawdopodobieństwo sytuacji i estetyczność smaku. *Cura de la Aldea*, *Calumnia*, *Mujer adultera*: oto najgłośniejsze prace tego pisarza.

Popularniejszym jeszcze od *Esricha* jest Manuel *Fernandez y Gonzalez*, barwny opowiadacz rycerskich przygód „płaszczka i szpady,” awanturniczego życia rozbójników górskich i w ogóle takich tylko szczegółów, któremi niezbyt wymagającego czytelnika najłatwiej zobowiązać można. Autor nie troszczy się wcale o podniosłość szlachetną swych kreacyj, rozbudzenie ciekawości jest jego celem. Rozbójnicy jak José Maria, uwodziciele, jak Juan de Marana, korsarze, jak Esteban el Guapo: oto jedyne typy, które autor żadnym sensacyjnych wrażeń czytelnikom, ze szczególną predylekcyą przedstawiać lubi. Przy gorączce twórczenia i szczupłości środków inwencyjnych, w romansach *Gonzaleza* zmieniają się tylko czas i miejsce; w wypadkach uderzające podobieństwo; w charakterach męcząca jednostajność. Bohatér musi być koniecznie: albo odważny do zuchwalstwa, albo uparty do zaślepienia, albo mściwy do dzikości lub nakoniec rozpasany... do cynizmu.

Don Benito Perez Galdos, najznakomitszy współczesny romansopisarz jest duchowym, subiektywnym realistą; zamiast opisywać dokładnie i szczegółowo życie zewnętrzne, ze szczególną predylekcyą i zadziwiającą przenikliwością rozświetla najtajniejsze uczucia i najzawilsze sprężyny ludzkiego ducha. Jestto pisarz, który bardzo rzadko ma do czynienia z materyą. Do czasów *Galdosa* i *Valery* romans hiszpański obracał się w sferze epizodów i fabuły, nie zwracając uwagi na wielkie

idee, charakteryzujące społeczeństwo. Galdos niema w Hiszpanii poprzednika, pokrewieństwo duchowe nie wiąże go z żadną grupą lub szkołą; jestto gieniusz odosobniony i oryginalny. Typy jego są to ucieleśnione idee, lecz od świata rzeczywistego nie oderwane, gdyż autor natchnął je życiem. Czujesz, że na scenie jest filozof, lecz widzisz tylko artystę. W romansach Galdosa uderza organiczna jedność składowych części, rozwiniętych z wdziękiem i jasnością a dążących wprost do celu. Do najlepszych prac tego pisarza należą: *Dona Perfecta*, *Gloria*, *D. Juan Amarillo*, *La fontana de oro*, *El audaz* i t. d.

Pierwsza z nich przedstawia walkę światła z ciemnotą, ślepego fanatyzmu z potęgą rozumu i prawdy.

Gloria jestto kreacya romantyczna, ale nie abstrakcyjna, gdyż Galdos zawsze ma rzeczywistość na względzie i jęj piękności eksploatować umie. Jego typy sięgają wprawdzie głowami w niebo fantazyi, ale ich podstawą—ziemia. Romanse tego pisarza nie są trywialném powtarzaniem życia, lecz malowidłem; nie odtwarzają społeczeństwa z fotograficzną dokładnością, lecz są artystycznym wyrazem jego idei i uczuć.

Autor *Glorii* chciał przedstawić we wspaniałym dramacie złowrogie rezultaty tej nieprzejednanej nienawiści, z jaką i dzisiaj jeszcze patrzą na siebie wyznawcy różnych religij. Spotykają się tutaj oko w oko dwie religie, dzięki historycznym okolicznościom śmiertelnie sobie nieprzyjazne: chrześcijaństwo i judaizm. Zapamiętano i namiętność prozelityzmu religijnego walczą tutaj z poezją serca... z miłością.

Autor umieszcza swój obraz w najpiękniejszych ramach bogatęj i uśmiechniętej natury, w północnej stronie kraju. W tych okolicach, uwieńczonych górami, ocienionemi koroną lasów, walczyli zawsze zrospaczeni: tam się kryło krwawe widmo nietolerancyi religijnęj.

W jednęj z tych dolin spotkały się pewnego razu miłość i religia. Gloria, istota romantyczna, egzaltowana i skromna, przeczystej duszy, trwożliwa w stosunkach ze światem zewnętrznym, a odważna i zuchwała w wycieczkach do głębin swego sumienia, stała się ofiarą tego widma. Wątpienie i miłość były jęj grzechem. Wątpienie o wielu rzeczach, które dla innych przestały być dawno wątpliwemi; miłość dla człowieka zacnego, męznego, skromnego i szlachetnego, lecz... żyda...

Pomiędzy niezczęśliwymi kochankami stanęła jako zapora cała potęga ludzi. Odtąd postacią, która w akcyi interesującej i patetycznej przykuwa do siebie czytelnika, jest Gloria, ta personifikacya nowożytnego gieniuszu; ta dusza gorąca, która nie może się pozbyć skeptycyzmu i to serce namiętne, któremu niewolno kochać... Rozdziału tej pracy, zatytułowanego *Las amigas del Salvador* niepodobna czytać bez drżenia; a punktem kulminacyjnym utworu jest przesłiczny epizod p. t. *Mater amabilis*.

Don Pedro Antonio de Alarcon zajmuje dość wybitne miejsce wśród romansopisarzów Hiszpanii. Urodził się on w 1833 roku w Kadyksie, małym miasteczku Grenady. Mając lat 20 wydał z przyjaciółmi swymi zbiorek utworów p. t.: *Echo Zachodu*, a zachęcony powodzeniem tej pierwszej pracy udał się do stolicy. Madryt był wówczas bar-

dzo wzburzony wskutek rewolucyi, która miała właśnie zadać cios pierwszy tronowi Izabeli II. Alarcon rzucił się w zamęt walki, zaatakował dynastją burbońską w dzienniku satyrycznym demokratycznej barwy p. t.: *Le latigo* (bicz) i zwrócił na siebie uwagę zarówno gwałtownością swych ataków jak i nięszczęściami, których doświadczył w skutek niefortunnego pojedynku i prześladowań władzy. Dawszy się poznać ogółowi ze swych politycznych przekonań, wystąpił potem w romansopisarskich szrankach z pierwszym utworem tego rodzaju p. t.: *El final de Norma* a następnie pisał opowiadania żywe, krótkie, na wzór Trueby, gdzie lubi malować epizody ze swęj młodości. Probował także sił swoich i na scenie, lecz przyjęcie *Dziecka cudownego*, dramatu w trzech aktach wierszem, było bardzo niefortunne. Krytyka zemściła się srogo za kilka surowych jego uwag, zrobionych w prasie o pisarzach, z którymi Alarcon rywalizował. Zniechęcony do teatru, zogniskował swą działalność w innym kierunku. Była to chwila, w której rząd marszałka O'Donnella usiłował wyprawą marokańską rozbudzić w Hiszpanii entuzjazm patryotyczny i wojenny. Alarcon, zaciągawszy się w szeregi jako prosty żołnierz odbył całą kampanię, był raniiony w jednej z walk najkrwawszych, a dzielnością swoją zdobył zyczliwość i przyjaźń naczelnego wodza. Przyznano mu odznaczenie zaszczytne i oddano do jego rozporządzenia materiały potrzebne do opisanja téj wojny, w której tak świetny brał udział. W skutek tego powstał *Dziennik świadka wojny w Afryce*, a opowiadanie to, rozbudzające uczucie narodowe Hiszpanów, miało olbrzymi i zasłużony rozgłos.

Po skończonej kampanii Alarcon zrobił przyjemną wycieczkę do Włoch dla odpoczęcia po trudach wojny, a wrażenia swoje z téj podróży złożył w ciekawęj książce *Z Madrytu do Neapolu*.

Wróciwszy do ojczyzny wydrukował kilka prac literackich, a między innymi zbiór *Poezycj poważnych i humorystycznych*, tom jeden artykułów luźnych *Cosas que fueran* (Z przeszłości) i dwa tomy romanów, z których zasługują na uwagę *Por que era rubia*; *El coro de Angeles*; *El Escandalo* i inne. Wciągnięty do polityki czynnej, dostał w 1865 r. mandat do Izby i bronił polityki generała O'Donnella. W czasie rewolucyi 1868 roku trzymał się na uboczu, lecz od wystąpienia Alfonsa XII zjawia się na widowni politycznej, przyjmuje urząd radcy stanu i prowadzi w dalszym ciągu romansopisarską pracę. W r. 1874 wydał *Alpujarra* i *El sombrero de los picos* (Kapelusz stósowany). Ta ostatnia praca, napisana swawolnćm piórem, jest artystycznćm obrobieniem staręj andaluzyjskiej opowieści.

Ojciec Lucas, z profesyi młynarz, człowiek (pomimo garbu) bardzo prosty, dzielny i uczciwy, ma żonę Frasquitę, zarówno dziką i nieprzystępną jak uroczą. Corregidor (quasi burmistrz) tego miasta, w którym zacni sążonkowie mieszkali, olśniony wdziękami Frasquity używa wszelkich środków dla zdobycia jęj serca, lecz napróżno. Zniecierpliwiony dygnitarz urządza tedy zasadzkę, aby podstępem zdobyć

warowną twierdzę. Dzięki swój władzy, kazał pewnego wieczora za-aresztować młynarza; a następnie pod opieką ciemnej nocy do mieszkania swój piękności pośpieszył. Na nieszczęście, idąc na oślep wpadł w kanał, tak że zmocony do suchej nitki i drżący z zimna stanął przed Frasquitą, która nietracąc przytomności broni się strzelbą męża. Szanowny korregidor czyto z zimna, czy z miłości lub gniewu osłabł widocznie, z czego korzystając młynarka pobiegła szukać swego męża. Tymczasem ojciec Lucas (*el tio Lucas*) przewidując, że uwięzienie jego jest jakąś zdradą, w najwyższym niepokoju o dom swój, potrafił uciec z więzienia i pobiegł wprost do młyna. Z powodu zbyt ciemnej nocy, żona z mężem minęli się w drodze. Ojciec Lucas wchodzi do swego domu i spostrzega suszące się na krzesłach całkowite ubranie korregidora. Chwyta za broń, która przed chwilą ocalała jego honor i wstępuje na schodki, prowadzące do sypialni. Przez dziurkę od klucza spostrzega malowniczą postać rozciągniętego na łożu korregidora, a pewnym będąc że jest tam i żona jego, biedny młynarz wre wściekłą zemstą. Zabić ich, to zamało! trzeba się zemścić inaczej!... Ojciec Lucas był bardzo do korregidora podobny (obaj garbaci); ubiera się tedy w strój tego urzędnika i z szatańską radością śpieszy do miasta. Wszakże pani korregidorka jest powabna!

Cały ten rozdział wybornie napisany.

Kiedy ojciec Lucas biegł do miasta na skrzydłach zemsty, Frasquita, dowiedziawszy się że mąż uciekł z więzienia, wróciła śpiesznie do domu wraz z alkaldym (sędzią) w tém przekonaniu, że zastanie w nim męża. W drodze spotykają korregidora, przebranego z konieczności za ojca Lucasa, co wywołuje arcykomiczną scenę, po której wszyscy śpieszą do miasta. Korregidor, przebrany za Lucasa, po otrzymaniu ciężkich razów od służby, wdarłszy się do domu gwałtem, zostaje przy własnej żonie... ojca Lucasa w korregidorskim stroju!...

W nowelli tej Alarcon złożył dowody że jest pisarzem utalentowanym i narodowym; że posiada właściwą werwę i *un estilo picante*, jak powiadają Hiszpanie.

El Escandalo jest spowiedzią *d'un enfant gâté*. Fabian Conde, młodzieniec bogaty i rozpustny udaje się do Ojca Manrique'a, jezuitę, z prośbą, aby go wyspowiadał. Spowiedź jest rodzajem filozoficznej dysputy, w której autor dowiódł jak na dłoni, że jest lepszym nowelista niż... filozofem. *El Escandalo* jest książką, która pomimo rażąco nieprawdopodobnych zawikłań, rozbudza w czytelniku wielką ciekawość.

„Romans hiszpański, mówi Palacio Valdes, straciwszy z oczu wzory klasyczne, był podobny do roztrzępanej dziewicy, gotowej iść z ochotą za pierwszym cudzoziemcem, który blaskiem ostróg, wytworną szatą lub bujnym u kapelusza piórem wzrok jej olśnił. Galdos zrobił z niej kobietę rozsądną i piękną; Valera—profesorkę.”

Don Juan Valera, nadawszy romansom swoim metafizyczny pokost, zrobił je dla większej części czytelników nieprzystępnymi. Meto-

da artystyczna, podług której wykonywa swe prace jest ta sama, którą przyjęli wszyscy romansopisarze psychologowie; zestawia on świat idealny z realnym, aby z kontrastu tego wyprowadzić naukę, elegię lub satyrę. Ta ostatnia przemaga najczęściej; a myśliciel zastania zwykłe... artystę. Widać to w powadze, z jaką odtworza tajemnicze ścieżki ducha i w lekkości, z jaką dotyka wydeptanych dróg życia. Romanse Valery nie są bynajmniej dramatyczne; ztąd też żywego interesu, skomplikowanego zawikłania, a tém więcej owę energii życia, charakteryzującej dramat, wymagać od nich nie możemy; są to produkcye przeważnie refleksyjne, będące płodem natchnienia, które, jak u Göthego, jest wspomagane nauką. Forma ich starożytna, ta sama, której używali Cerwantes, Quevedo i Diego Hurtado de Mendoza: jestto proza pełna efektów, kolorytu, obrazów i olśniewającego blasku. Treść nowożytna: są tam sprzeczności filozoficzne, skeptycyzm, ironia, dziwactwo i problematyczność charakterów. Valera, to racjonalista ateński, który w nawie katedry gotyckiej dysputuje o istnieniu najwyższej siły. Fantazya jego jest kaprysem ducha skąpanego w źródle natchnienia. Wytwarza ona różnobarwne następstwo obrazów; rażący kontrast kombinacji wszystkich realnych elementów, wolność walczącą z zasadami, mieszaninę rozumu i wdzięku, lekkości i siły, delikatności i okrucieństwa. Lecz arfie jego, wydającej głębokie tony, brakuje najmilszej nuty, któraby stodyczą i harmonią swych wdzięków towarzyszyła innym strunom—brak jej uczucia. Poza uśmiechem jego kryje się myśl szlachetna, sąd pogodny i prawy; lecz tam nie spotkasz nigdy. Idei transcendentnych, absolutnych Valera strzeże się bardzo. Wszystko tam jest względne, zjawiskowe, wszystko w swych pojęciach ziemskie. Z pewnego rodzaju arystokratyczną pogardą niecierpi poziomu życia ludowego, cnót pośrednich, uciech i smutków ludzi skromnych. Zniewalają go natomiast prace żywe i namiętne, które się realizują w głębi dusz podnioślejszych; zajmują go ich kataklizmy, niepowodzenia i walki. Wogólności Valera jest jednym z najgłębszych i najzdolniejszych romansopisarzów Hiszpanii. Przyjrzyjmy się jednej z prac jego, noszącej tytuł: *Pepita linenez*.

Don Luis de Vargas był dwudziestoletnim młodzieńcem o twarzy anioła i oczach filuta. W tym wieku jest się zawsze skłonny do ekstazy; u Vargasa była nią *amor divino*.... z całym orszakiem mistycznych skrupułów i uniesień, pogardą dóbr ziemskich i prozelitycznemi popędami. Był to młodzieniec oddany duchowym kontemplacyom; myślał wiele i płakał śród ciszy nocnej, słysząc smętne akordy, które rozkochany wieśniak z gitary wydobywał. Udawszy się na kilka dni do miasta, przed przyjęciem święceń, do których się przygotowywał, pisał długie listy do swego wuja dziekana. W tych listach spowiadał się młodzieniec z najgłębszych uczuć, wrzących w jego duszy i usuwał z przed oczu czytelnika zasłonę, pokrywającą świat myśli fantastycznych i niepewnych, oraz szereg chaotycznych sofizmatów, które przedstawiały jasno ciemny labirynt jego ducha. Nagle w tej symfonii as-

cetycznej, która z listów jego rozbrzmiewa, daje się słyszeć delikatny i prawie nieujęty rozdźwięk, imieniem kobiety wywołany. Ten dysonans występuje coraz jaśniej, w każdym z nowych listów potężnieje *crescendo* i przekształca się wreszcie w treść główną. Rozwinięcie i uplastycznienie tego psychicznego procesu jest znakomite.

Dziekan dostrzegł nową fazę w mistycyzmie swego kuzyna i radzi mu, żeby się strzegł przepaści, jeżeli nie chce w niej zginąć, że powinien widoku Pepity Imenez zrzec się na zawsze. Młodzieniec za pomocą subtelnych rozumowań, pełnych finezyi, usiłuje przekonać siebie i wuja, że bieg jego myśli idzie zawsze torem miłości Bożej; na nieczęście ascetyzm jego dotknięty ręką Pepity... w proch się obrócić: młody człowiek czuł już w żyłach swoich nowe prądy. Wprawdzie odzywa się w nim jeszcze dawny zapach, porównywa siebie do Holofernesa, do dręczonej pragnieniem sarny i wyrzuca z piersi skargi psalmisty; lecz również posiłkuje się Biblią, nazywając kochankę swoją kwiatem doliny, lilią pól, gołąbkim swoim i siostrzycą. Kiedy z wyrazem żalonym prosi Boga, aby odwrócił od niego ten kielich goryczy (Pepita), na ustach czytelnika zjawia się uśmiech zdziwienia, smutku i żartu. Listy Vargasa zamykają pierwszą część romansu.

W drugiej części zatytułowanej *Paralipomenos*, spotykamy straszny upadek Vargasa z wyżyn imaginacyjnego ascetyzmu. Pepita z gwałtownością młodej duszy używa wszelkich środków, na jakie tylko kochająca kobieta zdobyć się może, aby sercem jego ośwładnąć. Don Luis waha się; miłość Boska i ludzka staczają straszną walkę w jego duszy. Antonona, malując Vargasowi w sposób przesadny głęboką rozpacz Pepity, wymogła na nim obietnicę, że przed wyjazdem, który za dzień już miał nastąpić, odwiedzi ją w jej domu. Wybrano godzinę dziesiątą wieczór. Była to w Andaluzji noc balsamiczna i pogodna. Na niebios sklepie błyszczały gwiazdy. Kastaniety, gitary, kri-kri i słowiki wszystko to razem zlewało się w oddali w jedną odurzającą harmonię, w jeden koncert... Dla zgubienia Vargasa zogniskował autor w tej rozkosznej nocy wszystkie możliwe czary. Don Luis idzie do Pepity; rozmowa płynie naprzód ceremonialnie i z powagą, lawiruje błędnie w metafizycznych kręgach... a wreszcie wyswabza się stopniowo z objęć mistycznych i... chór słowików, dźwięk kastaniet i srebrne gwiazd promienie zwiastują młodemu ascecie... tryumf Pepity!

Rdzeń tego romansu nawskroś ludzki, więc interes dzieła jest wielki. Pod względem formy *Pepita Imenez* należy do najbardziej wykończonych dzieł Valery, a obok tego do arcydzieł współczesnej literatury.

Inna praca tego autora: *Las ilusiones del doctor Faustino*, romans charakterów, jest niemięj piękna, szkoda tylko że zanadto w metafizyczne mgły obleczona.

Don Francisco Navarro Villoslada—to dziecko duchowe Waltera Skotta; jestto romansopisarz archeolog. Poczytując sobie za obowią-

zek wskrzeszać epoki historyczne w całości, bez najmniejszego braku, przeprowadza przed oczyma czytelnika w systematycznej procesji wszystkie najcharakterystyczniejsze obrazy odległych wieków. Na-przód batalią wśród lasu, potem turniej, następnie tortury zastosowane do zbrodniarza, opis wnętrza zamku, sprzysiężenie wieśniaków, pochód króla i t. p. Wszystkie te akcesorya mają zapewne archeologiczną wartość, lecz obniżają artystyczną stronę utworów. Villoslada jest nawskroś Hiszpanem; intryga jego romansów w najwyższym stopniu zawi-kłana, interesująca i żywa; ale granice, w których się porusza fabuła historycznych jego utworów, zdają się być bardzo ścieśnione i nazbyt antykwarskie.

Królowa, rozkochana w wieśniaku, zmieniającym się w księcia; jeniec zagrzebany żywcem w pieczarach na długie lata, dopóki sławny dzień tryumfu nie zaświta; małżeństwo potajemne; pudełko z relikwiami; tajemny znak na plecach; paż wszystkowiedz: oto żywioły, któremi autor bardzo zręcznie rozporządza, gwoli rozciekawieniu czytelników. Z drugiej strony wszystkie namiętności, a głównie miłość, nie są tak rozwodnione i mgliste u Villoslady, jak u jego szkockiego mistrza: krew południowa wre w typach. Najlepszym jego utworem, oprócz wspomnionego wyżej, jest *Donna Urraca de Castilla*.

Dr. Jose de Castro y Serrano posiada bystry dar spostrzegawczy, zręczność w plastycznej ekspozycji obrazów, wdzięk formy; lecz niema ciepła i poezji. Wprowadza on do romansów swoich obserwacje try-wialne, ciemne i pozbawione interesu; kocha się w niefortunnych fraze-sach, które z przesadą retoryczną stylizuje. Styl Serrana jest wogóle charakterystyczny i oryginalny, a budowa jego okresów przypomina paralelizmy biblijne. Do lepszych dzieł tego pisarza należą: *Cuadros contemporaneos*, *La novela del Egipto* i *Juan de Sidonia*.

Do pisarzy mniej głośnych, chociaż na polu romansopisarstwa niestrudzonych, należą jeszcze Julio Nombela i Pilar Sinues del Marco.

Jedną z lepszych powieści Nombeli jest: *Kobięta umarła w życiu (Mujer muerta en vida)*, gdzie autor przedstawia dzieje sercowe młodej, inteligentnej dziewczeczki, która dzięki trwożliwości charakteru nie śmie wywnętrzyć przed ukochanym swych uczuć i słuchając rad nieuczciwych, gubi swą przyszłość. Treścią *Historji dwu przyjaciół*, jest zdrada przyjaciela, który pośrednicząc w sprawie miłosnej, prowadzi wodę na młyn własny i... zostaje mężem kochanki swego druha. Lecz ofiara podstępny, przecierpiawszy katastrofę, zostaje wynagrodzona gorącą miłością innej dziewczycy, którą zaślubia.

Trzecim romansiem Nombeli jest: *Syn naturalny*, gdzie autor stara się dowieść, że dziecko powinno zawsze przebaczyć ojcu najgorsze nawet błędy. Utwór ten pełen życia i dramatycznej akcji, doczekał się w krótkim czasie trzech wydań. Oprócz tego wydał jeszcze Novela romanse historyczne, na wzór Gonzaleza, lecz prace te nie mają wyższej wartości.

Pani Pilar Sinues del Marco, pretendująca do sławy Caballera, stoi nieskończenie niżej od téj autorki. Jój kreacye są zimne i anemiczne. Większość prac jój dla panien przeznaczona.

Obecnie wychodzi w Madrycie *Biblioteca selecta de autores contemporaneos*, na którą składają się najlepsze prace młodszych pisarzy. Między innymi zwraca na siebie uwagę *Adryanna de Wolsey*, original de Ventura Hidalgo (1878 r.). Książka ta nie rozbudzi w czytelniku prądów burzliwej namiętności, lecz natchnie go miłością nauki, pracy i cnoty. Po przeczytaniu jój pozostają w głębi duszy dwa pocieszające wrażenia: wstręt do występku i hipokryzyi, oraz sympatya dla wszystkiego co podniosłe i szlachetne, co prowadzi do udoskonalenia naszych istot. Przedstawione typy są widocznie z natury zdjęte; gdyż prawda życiowa z nich tryska. Bohatérką téj powieści jest księżniczka (Duquesa), posiadająca obok niepospolitéj urody i... milionowy majątek. Odebrawszy prawdziwie gruntowne wykształcenie, Adryanna de Wolsey była jedną z tych wyjątkowych istot, które patrzą na błyskawiczny przebieg ludzkiego życia z najpodnioslejszego stanowiska. Dobre czyny były dla niéj syuonimem ziemskiego szczęścia; żyła téż tylko dla drugich. Posiadając olbrzymie środki materyalne, używała ich szczerze do ocierania łez biédnym, do zapewniania bytu nieszczęśliwym i dźwigania z upadku zrujnowanych. Do najohydniejszych nor pod strychem i w piwnicach, w ślad za widmem nędzy, zjawiał się ten anioł opiekuńczy, niosąc zrozpaczonym rodzinom pociechę i ratunek.

Otoczona rojejn konkurentów, była dla nich zimna jak marmur, bo znała dobrze ich moralną i umysłową nicosć. Widząc w małżeństwie najszczytniejszy związek dusz bratnich, pragnęła, by towarzyszy jój doli był nietylko panem jój ręki, lecz posiadał także jej cześć głęboką i stał się wszechwładnym królem jój uczuć. Na wszelkie konwenjonalne małżeństwa patrzyła ze wstrętem szlachetnej duszy.

Pewnego razu, jadąc z ciotką do teatru, ujrzała śpieszącego z wiatykiem kapłana. Każe stangretowi wstrzymać konie, wybiega z karety i umieszczając w niéj księdza, sama idzie z ciotką pieszo za powozem, a za chwilę znajduje się na poddaszu u śmiertelnego łoża gasnącej już kobiety, przy której siedząca w podeszłym wieku niewiasta gorące łzy wylewała.

— Czyto córka pani?—spyta Adryanna.

— Zupełnie obca. Opuszczonej od ludzi daliśmy przy sobie to schronienie; żal nam jój, bo miała szlachetną duszę.

Czuwająca nad chorą kobiéta, była biédną, ale szczęśliwą matką syna, który oddany niezyskownej, bo naukowej karyerze, walczyło wprawdzie musiał z niedostatkiem, lecz pracował dla pożytku swego kraju i... dla sławy. Był to Henryk Velasco, który w kilka lat po téj scenie, został mężem Adryanny.

Nie brak i ujemnych a charakterystycznych typów w téj książce, pełnej najszlachetniejszych uczuć i zdrowych myśli, a bogatéj w sceny,

których istotnie bez głębszego wzruszenia czytać nie można. Dla kobiet w szczególności *Adryanna Wolsey* jest nabytkiem bardzo cennym.

Hiszpanie kochają się wielce w nowelkach krótkich, których nieraz zawiera i po kilkanaście tom jeden. Mam właśnie przed sobą jedną z takich książek p. t.: *Venturas y Desventuras*, coleccion de novelas del Cesareo Fernandez Duro (Madrid, 1878). Z pomiędzy 11 nowel, zawartych w tym zbiorze, zwraca na siebie uwagę: *La cocina del Quijote (Kuchnia Quichota)*. Autor zirytowany do żywego wzrastającą ciągle Cerwantesomanią, która wynajduje w Quichocie medycynę, geografiją, prawo, teologiją, marynarkę i t. p., tworzy humorystyczne a jednak pełne erudycyi studjum o gastronomicznej wiedzy Cerwantesa. Rzecz to z talentem napisana.

Z najnowszych utworów powieściowych wspomnieć można: *Querer es poder*, por Maria Sinues; *Gloria de la mujer*, por M. Pilar Sinues (jestto romans historyczny o Izabeli I); *Uno docena de cuentos*, por Campillo; *Cuentos inverosimiles*, por Coello i bardzo wiele innych.

III.

Hiszpanie są narodem *par excellence* poetycznym. Niewysławiona giętkość ich języka, który z dziwną swobodą do harmonijnych form wiersza się skłania; południowa wrażliwość ducha i będący z nią w związku polot fantazyi: oto czynniki, które olimpijską „mowę bogów” robią tak popularną w tym narodzie.

Rozpoczynając ten przegląd od rodzaju poezyi, którego praojcem jest u Hiszpanów Garcilaso de la Vega, postaramy się przedstawić w pewnym związku organicznym rozwój liryki hiszpańskiej w tym wieku.

Arriaza i Quintana stoją na czele. Obaj oni są wierném odbiciem namiętności swego czasu; lecz Quintana surowością charakteru i mężkością natchnienia zaćmił Arriaza do tego stopnia, że ten ostatni pomimo wysokich zalet swój muzy jest zapomniany. Quintana bierze rozbrat z manierami pseudo-klasycznej szkoły przeszłego wieku; potężną siłą natchnienia powołuje do życia brzemienne odrodzeniem muzy: ojczyzny, postępu i wolności, uosabia z upojoną patryotyzmem potęgą wspaniały epizod historyi narodowej, wojną o niepodległość zwany i z niezwykłym majestatem opowiada zdobycze wiedzy. Ojczyzna i wolność oto jedyne struny jego lutni.

Gallego posiada większą rozmaitość obrazów i bogatsze źródło dźwięków serca; wyrównywa on Quintanie mężką siłą patryotycznego natchnienia a przewyższa wytworną elegancją języka i żywą głębokością uczuć.

El Duque de Frias, Lista i uczniowie jego, Ventura de la Vega, Maria Baralt, Emitio Olloqui y Cervino: oto poeci, którzy z większém lub mniejszém powodzeniem wskazaną przez poprzedników niwę uprawiali, dopóki powrót emigrantów, których reakcyja 1823 r. na ob-

caż ziemię wyгнаła, nie zaszczepił w literaturze hiszpańskiej nowego prądu. Wykształceni na angielskim i francuzkim romantyzmie, szczyli oni przykładem i krytycznemi radami zamykanie w tym kierunku, które wreszcie szkołę romantyczną wytworzyło. Za księciem de Rivas, Esproncedą (*Jarifa*) i Zorillą (*Hojas secas*), którzy stanęli na jej czele, zasłynęli jeszcze na tém polu: Santos Alvarez (*Pobres Niños*), Enrique Gil, Castro y Orozeo, Pastor Dias, Arolas (*Cantos u Dios* i *Cantos a Napoleon*) Roca de Togores (*Romances a la condesa del Montijo*), Cueto, Romero Larranaga (*Sayon* i *Gruz colorada*), Escossura (*El bulto vestido de negro caput*), Alonso, Ochoa (*A su hijo Carlos*), Gil y Zarate (*Oda a la Libertad*), Fernandez Guerra (*Higiara*) (ojciec i syn), Bermudez de Castro, Ariza, Canete, Pedroso, Zea, Orgaz i wielu innych wysoce utalentowanych poetów, którzy z entuzjastycznym zapałem przelewali w swoje pieśni ekstazę odrodzenia i wolności.

Jedni z tej plejady poszli za zropaczoném natchnieniem Bajrona i Schelleja, drudzy naśladowali z zapałem ody, ballady i pieśni wschodnie Wiktora Hugo; inni wreszcie wpływowi Manzoniemu ulegali.

Liryczne i epiczne produkcje romantyka Esproncedy, tego Bajrona Hiszpanii, są wylewem politycznych okrzyków bólu, wydobytych z rozdartej piersi upadającego narodu. W dziedzinie poezji spotykamy tutaj te same prądy i żywioły, które już przedtém wśród Francuzów, Niemców i Włochów prawo obywatelstwa pozyskały. Polityka i religia, wolność i ateizm: oto jedyne hasła, które poetów tej epoki do entuzjastycznej działalności pobudzają.

Espronceda, najzdolniejszy romantycznego odrodzenia przedstawiciel i nieszczęśliwy satyryk Larra, stoją na czele tego ruchu, odzwierciedlając w swęj poezji wulkaniczną siłę nowych prądów. Jak Bajron i Schelley umierają oni w samym rozkwicie lat mezkich, w połowie dopiero swęj poetycznej działalności.

Do główniejszych poetów z tej grupy należy jeszcze Don Jose Zorilla urodzony 1817 r., który zwrócony wciąż myślą ku przeszłości, ze szczególném upodobaniem opiewa w swych stancach i romancerach pojedynki, turnieje i zapasy chrześciańskich rycerzów z saracenami. Te właśnie *Cantos del Trovador* zjednały mu najwięcej popularności, jak niemniej *Don Juan Tenorio*, któryto dramat fantastyczno-religijny odzwierciedla z pewną siłą, mieszaninę skandalicznej rozpusty i barbarzyńskiego mistycyzmu. Skusiwszy się o napisanie epepei, stworzył *Grenade*, opiewającą walki krzyża z półksiężycem. Pisał także i dramatyczne utwory, z których głównejsze: *Szewc królem*, *Sztylet Gotha*, *Sancho Garcio* i inne. Bohaterowie tego poety są we wszystkich jego kompozycjach: dzielni, piękni, pełni arogancyi w obejściu, dość poważni, sympatyczni, kochliwi; żaden z nich jednak nie jest rozsądny, sprawiedliwy, konsekwentny, skromny lub uczciwy w najwyższém pojęciu tego słowa.

Najpopularniejszém godłem tego artystycznego okresu jest maksyma: sztuka dla sztuki (*el arte por el arte*); wszelkie inne pojęcie w tym względie było bluźnierstwem. Przeszedł wreszcie prąd roman-

tyczny, lecz pozostała jej rodzicielka... wolność i jeżeli sztuka w ogólności przyjęła ten potężny czynnik jako prawo, dla poezji lirycznej był on oprócz prawa i natchnieniem.

Ze skoniem ostatniego echa romantyzmu (1846 r.) liryka stała się nawskroś subiektywną; już poeta nie *odtwarzał* obrazów, lecz je *tworzył*; nie jak plastycznych sztuk twórca, lecz jak muzyk wysnuwał dźwięki i melodyę z własnych piersi; przestał być głosem swego wieku i organem swjej rasy lub narodu, a stał się głosem swego wnętrza, swego sumienia. Indywidualność poetów tego okresu przejawia się coraz silniej.

Wykształcony na literaturze angielskiej J. de Mora, zdolny poeta, wniósł do literatury anglo-saksoński humor, który rozszerzył szranki poezji lirycznej, pozbawiając ją przytém owęj akademickiej surowości, przypominającej szkołę sewilską.

W tym czasie na horyzoncie Madrytu zjawiała się poetyczna gwiazda, która, narobiwszy w literackim świecie wiele hałasu, bardzo prędko blask swój straciła. Byłto młody poeta Don José Selgas. Mały tomiś drobnych poezji, zatytułowany *Primavera (Wiosna)*, taką autorowi zrobił sławę, że minister hrabia de San Louis, napisawszy serdeczny list do poety, był odtąd jego mecenasem. Poezje Selgasa, to kwiatki polne o świeżej barwie i miłej woni; młodość i natchnienie są ich czarem. Zdolny ten poeta zawiódł oczekiwanie wielbicieli; od poezji przeszedł do powieści bardzo miernych, a skończył... na felietonach! Ostatnią jego pracą są: *Escenas fantasticas* (1878 r.).

Do zdolnych liryków tej epoki należy także i de Ayala, o którym jeszcze i przy dramacie mówić będziemy.

Malarzami politycznych wstrząśnień, jakich Hiszpania od 1860—1868 r. doświadczała, byli poeci: Carlos Rubio, wielbiciel Mickiewicza, Manuel del Palacio, Ruiz Aguilera, A. de Alarcon i zamykający okres Tassara, jeden z największych liryków tego wieku.

Głębokie a zbawienne przesilenie, jakie nastąpiło w historii Hiszpanii 1868 r. i ów kataklizm gwałtowny, który całém społeczeństwem wstrząsnąć musiał, nadaje liryce nowy impuls i wprowadza na scenę spotęgowanej działalności poetycznej trzech wybitnych reprezentantów tego najnowszego okresu: Becquera, Campeamora i Nuneza de Arce.

Poezja okolicznościowa, uprawiana przez poetów XVII i XVIII wieku, a mianowicie: ody, elegie, satyry, sonety, madrygały, epigramy do takiego pod piórem Becquera wzrosły znaczenia, że zajmwszy stanowisko główne, zaćmiły wszystko. Lecz cenne utwory tego pisarza nie zawsze są dość poprawne; zaniedbanie i rażące błędy rytmiczne obniżają artystyczną wartość jego wierszy, na których wpływ Heinego widocznie zostawił ślady.

Don Ramon Campeamor studjami nad filozofią niemiecką, rozszerzył wprawdzie widnokrąg swjej fantazyi, lecz zaszkodził artystycznej stronie swych utworów, którym autor usiłuje niekiedy nadawać zbyt filozoficzny charakter. Chce on, żeby sztuka była nauką, a nauka sztu-

ką. Usiłując przeprowadzać w swych wierszach transcendentalne kwestye, zatracą ogień, przytłumia życie, gromadzi ciemne antytezy i w subtelnościach dowodzenia zaprzepaszcza artyzm swych płodów. Tam jednak, gdzie się téj manii nie poddaje, ma potęgę; szczególnie czarem swego języka zachwyca młodzież i jest jednym z najpopularniejszych liryków na hiszpańskim parnasia. Wydał on: *Pequenos poemas* (małe poematy), *Doloras* (smutki), *Cantares* (piosenki), *Colon* (poemat epiczny) i wreszcie *Drama universal*.

Nunez de Arce, natchniony przez Quintana, trzeźwiejszy i lakoniczniejszy w stylu od Gallega, posiadający zawsze precyzją i siłę obrazowania, głębokość myśli i klasyczną formę, dzieli z Campeamorem sympatyę swoich ziomek. Energiczne nawoływanie do obowiązków i entuzjastyczna miłość swobody, oto charakter wewnętrzny jego utworów. Najlepszym jego dziełem jest: *Gritos del combate* (*Okrzyki walk*).

W przeglądzie powyższym zaznaczyliśmy takie tylko imiona, które zajęły w poezyi hiszpańskiej wybitne stanowisko, gdyż poetów *minorum gentium* jest zawiłka liczba, żebyśmy mogli w tém miejscu cokolwiek o nich powiedzieć. W żadnym kraju nie wychodzi corocznie takie mnóstwo wierszowanych utworów jak w Hiszpanii. Oto najświeższe: *Vibraciones del sentimiento* por Llorach; *Carnet de ensayos* por Marrera; *El angel caído o la mujer*, por Henao y Munnoz; *Recuerdos y Aspiraciones*, por Louis Carrion (w pośród lirycznych drobiazgów odznacza się w tym zbiorku *Lagrimas y desencantos*); *Latidos*, por Javier Godo; *Brumas y Celajes* por Ralesla; *Flores del Guadalquivir*, por Valladeres; *Nuevas poesias*, por Velarde. W książce tego poety, który należy do najzdolniejszych, szczególnie są ładne dwa utwory: *El poeta a su musa* i *Ante un crucifijo*. Wszystkie powyższe utwory wydrukowano w roku zeszłym, a jestto dopiero część znacznie mniejsza.

Dramatyczna literatura hiszpańska już od trzech wieków narodowy charakter utraciła. Najznakomitsze utwory Lope de Vega, Alarcóna, Calderona, Moreta budzą jeszcze zachwyt w czytelnikach, lecz ze sceny, z bardzo małym wyjątkiem, już zniknęły. Jednocześnie z wygaśnięciem narodowego ducha skarłała również i potęga twórcza Hiszpanów, których scena, doszedłszy w Kalderonie do zenitu swego rozwoju, upadła. Pisarze XVIII wieku, pogrążeni w niewolniczym naśladownictwie, zatracili wszelką samodzielność, fabrykując płody, o całe niebo niższe od kopiowanych pierwowzorów. Ostatnim wyrazem upadku sceny hiszpańskiej są: Zamora i Canizares. „Przeglądając ich komedye, mówi Ticknor, przypominamy sobie natychmiast wieże i świątynie południowej Europy, zbudowane w średnich wiekach, z ruinami i szczątkami budynków starożytnych, wspaniałe resztki sławnej epoki, świadczące o wielkości dawnych wieków, o minionym ich blasku. Smutny to obraz takich ruin”...

Doba pseudo-klasycyzmu francuzkiego zatarła do reszty wszelkie ślady oryginalnej Hiszpanów samodzielności. Od czasu jak Augustin

Montiano y Lugando, wprowadził na scenę madrycką teatr francuzki, a Fernandez Moratin szczepi w narodzie smak nowój szkoły; dramat narodowy poszedł w niepamięć, pomimo, że tacy pisarze jak Garcia de la Huerta usiłowali go wskrzesić.

Ze stanu zupełnego nicestwa, w jakie Zavalas i Comellas pograżyli ostatecznie zfrancuziały teatr hiszpański, dźwignął go choć w części syn wzmiankowanego Moratina-Leonardo Fernandez, najlepszy bez wątpienia pisarz dramatyczny zeszłego wieku (*La Comedia nuova o el Cafe, La Mogigata* i t. d.); a rozpoczętą w ten sposób reakcją posuwa o jeden krok dalej D. Roman de la Cruz, szczęśliwém utworzeniem ludowej poezyi dramatycznej (*Caprichos dramaticos, tragedias burlescas, saynetes*).

Dziewiętnasty wiek wreszcie rozwinął w Hiszpanii dramat swobodny i oryginalny; jakkolwiek miejsce „płaszczka i szpady” zajął frak nowożytny, a uroczystą formę redondilli—proza. Romantyzm, zastąpiwszy we Francyi miejsce bezdusznego pseudo-klasycyzmu, oddziałał silnie i na twórczość hiszpańskich dramaturgów, z których najplodniejszy i utalentowany Breton de los Herreros, jest pierwszym reprezentantem tego odrodzenia hiszpańskiej sceny, jakkolwiek już przed nim Gil y Zarate († 1861 r.) stworzył, między innymi, znakomity utwór sceniczny p. t. *Carlos II el Hechizado*.

Breton de los Herreros († 1870 r.) jest autorem przeszło sześćdziesiąt sztuk teatralnych, z których takie np. jak: *El tercero en la discordia. El pelo de la dehesa, Una de Tantas, Un quarto de hora* miały olbrzymie powodzenie. Jestto poeta, którego śmiało komicznym nazwać można. Wziąwszy sobie za cel główny przedstawienie wad i występów swój epoki, umie zniewolić publiczność do śmiania się z własnych błędów. Sztydzi z jej upodobania w muzyce, która jest dla niego obcą, piętnuje lichwiarstwo, śmieje się z mód cudacznych, zohydzza zagraniczne manierey, tępi nienaturalność. Nie wdając się w zbyt głęboką analizę serc ludzkich, wszystkie śmieszności w lot chwyta i na scenie korzystać z nich umie. Satyra jego jest bardziej subtelna niż zjadliwa, więcej powabna i ożywiona niż głęboka. Kobiety Bretona nie przypominają niczem poetycznych bohaterek Lope de Vegi; kokietują one, rozważają, obliczają i gotowe kłamać miłość jak francuzki a uczucia i ślepej namiętności hiszpanek są próżne.

Do znakomitych współczesnych dramaturgów należy Juan Eugenio Hartzbusch, syn Niemca z pod Kolonii i hiszpanki, urodzony 1806 roku.

Oddany w młodości stolarskiemu rzemiosłu, które praktykował jego ojciec, pod kierunkiem jakiegoś jezuitę uczył się, obok mozolnych zajęć w warsztatacie, retoryki, poetyki, łaciny, francuzkiego języka i włoskiego. Przyszły zapaśnik sceny, do lat 16 ani nie widział w teatrze, ani nigdy nie czytał żadnej sztuki. W osmnastym dopiero roku życia, korzystając z chwilowej nieobecności ojca, po raz pierwszy był na operze z pantominami i baletem, która tak silnie na wra-

zliwy umysł młodzieńca oddziałała, że od tego czasu karyera dramaturga stała się dla niego szczytem marzeń ¹⁾. Odtąd tłumaczy francuzkie sztuki i studjuje starych pisarzy, wystawia z powodzeniem przerobioną z Rojasa komedię: *El amo Criado*, a wreszcie występuje z oryginalną sztuką *Los amantes de Teruel*, która z nadzwyczajnym entuzjazmem przyjęta, postawiła Hartzenbuscha w rządzie znakomitości hiszpańskich, a nawet zjednała mu sławę po zagranicami jego ojczyzny. Z późniejszych dramatów i komedij tego pisarza, wierszem i prozą, cieszyły się wielkiem powodzeniem: *La ley de raza*, *Dona Mencía*, *La Coja y el Encogido* i *Juan de las Vinas*.

Zresztą obok tego Hartzenbusch uprawiał z pożytkiem i inne rodzaje poezji aż do bajek, tłumaczył Schillera i położył wielkie zasługi jako historyk literatury, opatrując komentarzami starohiszpański teatr w wydawnictwie Rivadeneiry.

Czwartym wreszcie w tej dobie odrodzenia dramatu był **Garcia Gutierrez**, prawowierne dziecko romantyzmu i słynny twórca wspaniałego dramatu rycerskiego *el Trovador*, który dostarczył Verdiemu treści do opery. Po napisaniu kilku innych utworów, z mniejszym zapamiętem przyjętych, zniechęcony opuścił kraj rodzinny i osiadł w Ameryce.

Pierwszą kobietą, która zasłynęła w Hiszpanii jako autorka dramatyczna była Gertrudis **Gomez de Avellaneda**. Tragedya tej autorki: *Alonzo Munio*, zaczerpnięta z dziejów narodowych, miała niezwykle powodzenie.

Do najmłodszych komedyopisarzów dzisiejszej sceny, należy Adélardo **Lopez de Ayala**, zajmujący wysokie stanowisko polityczne. Większa część sztuk jego cieszy się powodzeniem: *El Hombre de Tejado*, *El tejado de Vidrio* i *Tanto por ciento*. Ta ostatnia sztuka, uderzająca na gorączkę spekulacyjną i aźioterstwo, rozpowszechnione za panowania Izabeli II, przyjęta była przez publiczność z ogromnym entuzjazmem (1861 r.).

Po kilkunastoletniem milczeniu Ayala wystąpił w roku zeszłym z nową komedią w trzech aktach p. t. *Consuelo*, którą publiczność przyjęła żywemi oklaskami, a krytycy przychylnym sądem. Oto treść jęj: Consuelo jest istotą na wskróś materyalną. Posiadanie wielkiej fortuny i przepych wystawnego życia są dla nięj wyłączną rękojmią szczęścia. Wychowanie i zacny przykład dobrej matki nie wywarły żadnego wpływu na zmianę tych przekonań.

Los szczęśliwy postawił na drodze jęj życia człowieka wyjątkowych zalet. Fernando jest rozumny, szlachetny, pracowity, kocha ją wszystkiemi strunami swego serca; lecz cóż z tego, kiedy... biędny... Consuelo nie odpycha go wprawdzie, ale łudząc... czeka aż sen jęj złoty przyjmie dotykalne kształty ciała!.. Na nieszczęście dla biędaka zjawia się bogacz. Amatorka kruszcu zaślubia Ricarda bez wahania,

¹⁾ Szczegóły te czerpiemy z artykułu Lehmana w *Archiv für das Studium der neueren Sprachen und Literaturen*, herausg. von Herrig. Braunschweig, 1876, tom 56, str. 459.

a rozdarłszy serce matki i Fernanda, wchodzi do wnętrza tego raj, który w snach swoich wypieściła. Lecz tuż za występkiem idzie kara. Ricardo, to rozpustnik z błotem w piersiach i pustką w głowie; związków serca poważnie brać nie umie, monogamii niewolnikiem być nie chce a przy boku młodej żony... ziewaniem czas sobie skraca. Nieszczęśliwa zrozumiała na koniec swe położenie; spostrzegła, że horyzont jój szczęścia chmurzy się, pomimo... że bogactwem jój majątku sto rodzin szczęśliwie żyćby mogło. Przeniknąwszy zamiar męża, który dla zawiązania dawnych miłostek do Paryża wyjechać pragnie, zdobywa się na heroiczny, albo raczej brudny środek i do dawnego kochanka list pisze, ułatwiając Ricardowi przez nieostrożność niby, zapoznanie się z jego treścią. Małżonek odgaduje łatwo podstęp żony i nie myśli zrzec się swych zamiarów, tém więcej, że dla zgniłej jego duszy utrata serca żony nie byłaby w żadnym razie widmem trwogi. Tymczasem list miłosny dochodzi rąk Fernanda. Wydziedziczony ze swego skarbu kochanek chwije się, zabliźniona cokolwiek rana serca pod wpływem nowych wstrząśnień krwią broczy; wzdyga się zrazu wobec myśli odzyskania podłością złożonych do grobu chwil szczęścia, lecz nakoniec straszny ogień wskrzeszonej namiętności zwycięża stanowczo głos honoru. Lecz gdy pokonawszy samego siebie, spieszy gorączkowo w objęcia zbrodni i widziadłami bezbrzeżnego oceanu rozkoszy mózg swój pieści, zimna i niezblągana losu ręka strąca go po raz drugi z tój podniebnej wyżyny rajskich marzeń w straszniejszą niż kiedykolwiek rzeczywistość. Consuelo odkrywa Fernandowi cel listu i przyznaje, że fałszywa jego rola jest tylko narzędziem jej planów. Zrozpaczony Fernando znalazł się nagle w tym stanie ducha, w którym uragan wzburzonych namiętności druzgocze wszelkie względy. Katastrofa byłaby straszna, gdyby jój niezakłęta potokiem łez krwawych i rozpacznych błagań... biedna matka wyrodnęj córki. Złagodziwszy furję młodzieńca zatrzymuje go w swém mieszkaniu, gdyż Ricardo wraca do domu. Rozwiązanie następuje szybko. Consuelo robi ostatni wysiłek dla powstrzymania męża od wyjazdu, lecz Ricardo jak głaz zimny obojętnie słuca prośb błagalnych, a za chwilę opuszcza nudne dla siebie rodzinne gniazdo, zostawiając żonę w rozpacz. Jednocześnie złamana ostatnią z Fernandem sceną umiera nagle biedna staruszka a Fernando ze zgryzotami sumienia ucieka na zawsze od kobiety, która szczęście jego zabiła.

Jestto, jak widzimy, komedia charakterów, napisana z wyraźną dążnością postawienia pod pręgierzem frymarczących uczuciami kobiet i wykazania fatalnych rezultatów bezroznego wychowania. Pomysł nie nowy, architektoniczna budowa sztuki niezbyt kunsztowna; lecz plastyczna wyrazistość charakterów, ognista barwa silnie odmalowanych namiętności a nakoniec ów nastrój prawdziwie poetyczny, jaki zasadniczej idei utworu nieustannie towarzyszy, tłómaczą do pewnego stopnia entuzjazm madryckich widzów. Zdaje się że autor, podobnie jak w *Tanto por ciento* atakuje bardzo świeżą społeczną ranę,

gdyż krytyka miejscowa przyklaskuje żywo tematowi sztuki, która *walczy ze straszną hydrą, w tonie społeczeństwa hiszpańskiego nurtującą.*

Wogóle współczesny stan dramaturgii w Hiszpanii wcale nie jest świetny. W komediach, po większej części wierszowanych, spotykamy rażące ubóstwo myśli, brak inwencji, niedostatek prawdy życiowej a częstokroć... najskromniejszego rozsądku. Niesmaczny wybór treści, przystrojonej zwykle ekscentrycznymi ozdobami, wersyfikacja co najwyżej gładka, dyalogi nużące, rozwlekłość akcji i brak komicznej siły: oto ujemne strony tych utworów. W dramacie wstrętna przesada realizmu, jednocząca konwulsje konania z oznakami brutalnej siły.

Do najzdolniejszych pisarzy młodszego pokolenia należy **José Echegaray**. Przed kilku miesiącami grano z powodzeniem jego komedję p. t.: *Algunas veces aquí*. Uczucie macierzyńskie i uczucie synowskie zestawione w kolizji dramatycznej stanowią główne sprężyny poematu. Rafael i Amparo wzajemnie się ubóstwiają; już się zbliża chwila, mająca zrealizować sny ich szczęścia, gdy nagle straszna przeszkoda się zjawia i trzyma w zawieszeniu ich losy. Konieczność wyznania śmiertelnej tajemnicy jest przepaścią, która może rozdzielić nazawsze dwa serca. Ojciec Rafaela, pędząc w swojej młodości, pod przybranym nazwiskiem, rozpustne i skandaliczne życie, dla nikczemnych powodów zamordował ojca Ampary. Związek dwojga kochanków niemożliwy, gdyż matka panny, nosząc jeszcze w duszy wspomnienie krwawej katastrofy, za nic w świecie nie chce oddać ręki swego dziecka synowi mordercy męża. A jednakże jest środek ocalenia, lecz związany z inną fatalną tajemnicą. Rafael nie jest synem zabójcy, lecz owocem występnej namiętności. Matka ocaliłaby go mogła, gdyż posiada w swoich rękach list męża i list uwodziciela, które są niezaprzeczonymi świadectwami jęj hańby; jeśli się zdecyduje udowodnić niemi w oczach matki Ampary nieodpowiedzialność swego syna, którego nad życie kocha, Rafael będzie ocalony; jeśli się cofnie przed ogromem tej ofiary, syn ubóstwiany szukać będzie z bronią w ręku końca piekielnych udręczeń. Rozpoczyna się walka i... miłość matki tryumfuje nad honorem kobiety. Na tém nie koniec. Ojciec Dorotei, usłyszawszy wyznanie swęj córki i jęj zamiar poświęcenia się dla szczęścia Rafaela, po chwili gwałtownego oburzenia przebacza wprawdzie i konieczność ofiary sam przyznaje, chciałby jednak bronić swego honoru do ostatka. Listy jęj do Beatryczy wprost nie pójdą, syn je przyjąć musi z rąk skalanęj matki i jeśli odwagę mieć będzie, z ich pomocą zachwiane szczęście odzyska. Dorotea, oddalona od niego nazawsze, nie będzie mogła obecnością swoją na postępowanie młodzieńca oddziaływać. Miłość syna, jak poprzednio miłość matki, wychodzi zwycięzko z tej próby. Po chwilowej walce wewnętrznej, Rafael rzuca listy w płomień. Ale matka daje synowi ostatni dowód swęj miłości. Ogrom przeżytych cierpień skrócił jęj życie; umierając, wyznała tajemnicę Beatryczy. Rafael został szczęśliwy.

W lutym tego roku grano jeszcze dwie komedye tego pisarza: *Morir por no despertar* i *Una Comedia y un drama*. Pierwsza z nich, ładna jako poemat, warunkom scenicznym nie czyni zadość; druga jest farsą dość zabawną.

W tym samym czasie oklaskiwano w Madrycie komedye Gomeza p. t.: *La novela der amor*. Jestto historia dwu serc, które uważając sobie za obowiązek poświęcić się na ołtarzu przyjaźni i wdzięczności, tają miłość, będącą oddawna ich ogniwem.

Zdolnym komedypisarzem jest Cano, którego jednak ostatni dramat: *La opinion publica* grzeszy nieprawdopodobieństwem rażąco naciąganych sytuacji. Autor, chorując na Szekspira, pragnie jaskrawością strasznych efektów przerazić swoje audytorjum i zamiast grozy, wznieca... trywialność.

Lecz wszystkie powyższe nazwiska, mniej lub więcej dla Hiszpanów sympatyczne, zbladły nagle wobec tytana, który ciszę sceny madryckiej wstrząsnął gromami swych tryumfów. Nazwisko tego szczęśliwca Eugenio Selles.

D. 28 listop. 1878 r. przedstawiono *en el teatro de Apolo* trzyaktowy dramat wierszem p. t.: *El nudo gordiano* (*Węzeł gordyjski*), który tak niesłychany wzbudził entuzjazm, że teatr trząsł się w posadach od oklasków, a przywoływania, krzyki i owacye brzmiały bez końca. Na dwudziestu kilku przedstawieniach publiczność zapełniała teatr po brzegi. Dano wreszcie jeden spektakl na wyłączną korzyść autora, który literalnie zalany został deszczem kwiatów, bogatych darów i pamiątek. Echo tych tryumfów i w Warszawie zabrzmiało. Pisma nasze wspominały przed miesiącem o sukcesach Sellesa.

Wyczytawszy w jednym z pism hiszpańskich powyższe szczegóły, a między nimi i tę wzmiankę, że *Nudo gordiano* stanowi w dramatopisarstwie hiszpańskiem epokę, spotkawszy się następnie z wierszem Vallarda, ku czci Sellesa poświęconym, zostałem nagle pastwą gorącej niecierpliwości poznania jaknajprędzej słynnego *Węzła*. Wszak z dziełami prawdziwego natchnienia tak rzadko spotkać się można! Przyjeżdża wreszcie upragniona książka. Patrząc na okładkę, czy mię powodzenie bezprzykładne. Cóżto być musi za genialny utwór pomyślałem i... w dwie godziny później po mózgu moim snuły się łzawe myśli... o znikomości tego świata!... Eugenio Selles zawiódł mię najfatalniej! W czém leży wielkość jego dzieła, osądźcie sami.

Carlos ma piękną żonę Julię (lat 31) i jeszcze piękniejszą córkę Maryę (lat 15), a okrom tego ma także na nieszczęście swoje i przyjacielu domu, Henryka (lat 35), który poznawszy romansowe skłonności pani Julii, zostaje jej kochankiem.

Niewytrawny ten bohater zapomina, że *verba volant, scripta manent*. Pani jego serca w miłosném roztargnieniu gubi liścik i... smutnie rozczarowany Carlos chwyta na gorącym uczynku... matkę swojego dziecka. Pod wpływem wściekłej zemsty, mąż zdradzony chce natych-

miast „zetrzeć nogą łeb żmii”; Julia, wydając rozpaczne krzyki, ucieka z trwogą przed mężem, a cios jego dostaje się zamiast żonie, słicznej Maryi, która usłyszawszy krzyk matki, zasłania ją swém ramieniem.

„Ves? el primer golpe va
Sobre los hijos derecho.”

Czy widzisz, mówi z cicha Carlos do Julii: Cios pierwszy spada na dzieci!... Nie chcąc kompromitować swego honoru, każe Julii milczeć o tém co zaszło, a następnie zmusza ją do odegrania przed światem téj komedyi, że schwytałszy swego męża na zdradzie, nie chce zostawać z nim razem i przenosi swe mieszkanie do brata. Na tém się kończy akt I-szy i... najlepszy.

Henryk nie dał bynajmniej za wygraną. Zadowolony z nowego stanu rzeczy bywa swobodnie u Julii i kusi pokutującą Magdalенę. Carlos, dla którego honor znaczy więcej niż życie, nie może obojętnie patrzeć na zabiegi Henryka, ani liczyć na szlachetność swój małżonki, więc rad nie rad zabiera ją z powrotem do swego domu i... zamyka, a na tém się kończy akt drugi.

Lecz Julii smutno bardzo żyć pod kluczem; najgorętsze błagania, by jój mąż przebaczył lub wyгнаł z domu, rozbijają się jak fale morskie o granit skały, bo Carlos o honorze swoim wciąż myśli. Ta niewola wreszcie z jednej strony i najwyższa pogarda Carlosa z drugiej, natchnęły Julię rozpaczliwém postanowieniem. Oświadcza ona mężowi, że się zabije lub ucieknie. „Odbierz mi życie, ale nie dręcz; śmierć mi rozkoszą będzie. Boisz się prawa, mówi dalej, patrz, to cię obroni!” I mówiąc te słowa, napisała szybko zeznanie, że zniechęcona do życia, sama sobie śmierć zadaje. I tym razem Carlos pozostał nieugięty. Zrozpaczona kobieta, żegna się z Maryą i korzystając z chwilowej nieobecności męża, ucieka. Tymczasem Carlos wysila mózg swój, w jakiby sposób „węzeł gordyjski” rozwiązać, bez ujemy dla honoru.

Takie węzły rozcinać się muszą, podszeptuje głos demona. Trzeba rozciąć, mówi sobie w duszy Carlos i w téj właśnie chwili spostrzega, że Julii niema już w domu. Porywa rewolwer, wybiega na ulicę i znalazłszy zbiega, kładzie go trupem. Mógłby się wprawdzie morderca zasłonić kartką Julii, ale odrzuca ten środek; spaliwszy ów dokument, oddaje się w ręce sprawiedliwości i na tém koniec.

Czy świeżość pomysłu zapewniła téj sztuce tak niesłychane powodzenie? Ależ zdrada małżeńska, jako temat, już oddawna jest scenicznym łachmanem, cuchnącym pleśnią. Więc może zemsta Carlosa jest oryginalnością sztuki?... W żadnym razie nie w Hiszpanii, która już posiada od lat dwustu *El medico de su honra* i *A secreto agravio segreta venganza*, gdzie przecięcie węzła gordyjskiego, jakkolwiek także wstrętne, jest przynajmniej kunsztownie obmyślane.

Intrygi w sztuce niema żadnej, akcja wlecze się wogóle żółtym krokiem, a akt drugi jest stanowczo nudny. Interes sztuki dźwiga na sobie Carlos, jedyna postać konsekwentnie przeprowadzona, jakkolwiek

budząca raczej niesmak, niż współczucie. Etyczne wrażenie tego utworu musi być w przedstawieniu... przygniatające.

Nie miałyby *Wezeł gordyjski* żadnych zalet? Owszem—i wielkie. Sztuka pisana jest wierszem, któregooby się Alarcon nie powstydział; potoczyste, jedrne i harmonijne redondille przypominają najlepsze czasy sceny hiszpańskiej. Dyalog znakomity iskrzy się prawie wszędzie świeżością myśli i kunsztownością obrazów. Na pierwszej stronicy dramatu autor zaznacza swoje realistyczne stanowisko i jakby pragnąc przygotować widzów do jaskrawych efektów swojej pracy, kładzie w usta Fernanda taki ustęp o etycznej potrzebie przedstawiania wszelkich występków w całej ich nagości i szkaradzie:

„Puesto que no hallan salud
Nuestras lacerias sociales
Ni en los puros ideales
Ni en ejemplos de virtud,
Es meritorio servicio
Movernos a la honradez
Por la torpe desnudez
Que hace aborrecible el vicio.”

Jednocześnie prawie przedstawioną została w Madrycie inna sztuka p. t.: *Theudis*, napisana przez Don Francisco Sanchez de Castro. Tragedya ta cieszy się także ogromnym powodzeniem.

Pragnąc zapoznać czytelników bliżej z pięknosciami tego utworu, przetłumaczyłem kilka charakterystyczniejszych epizodów, trzymając się ściśle formy oryginału.

Stara Tuscia i piękna Balta prowadzą rozmowę o... Henryku. Pierwsza jest jego matką, druga—kochanką! Śmiertelna trwoga przejmują te dwie istoty o los młodzieńca, który, pobiegłszy z bronią w rękę na pole walki, nie daje o sobie znaku życia. Ale oto Henryk przybywa; radość kobiet niema granic, pomimo, że czoło młodzieńca przyćmione chmurą. Wszakże on tylko wygnańcem! Znalazłszy wraz z matką gościnność pod dachem ojca Balty, który wkrótce potem zginął w walce, Henryk pokochał dziewczę całą potęgą swój duszy. Lecz mógłże on, tułacz bez dachu, myśleć o kuzynce króla.

HENRYK. Pocóż nędzny wygnaniec przybyłem w te strony
I przed rzymskiem z Italii uchodząc więzieniem,
Sam jeden pośród obcych, tułacz zwyciężony,
Muszę walkę bezpłodną toczyć z przeznaczeniem?
W dowód, że się krwi przodków duch mój nie wypiera,
Że z twym życiem chcę los mój zbratać niezblągany:
Rzuciłem się ochoczo w walk srogich orkany,
By zdobyć laur zwycięstwa, lub śmierć bohatera!..
Lecz i z życiem powracać muszę... i bez chwały!
Tylko w boju żołnierską wywalczyłem ranę;
Mniej bolesną niż serce uczuciem targane,

- Niż męczarnie piekielne méj duszy zbolałéj!
- BALTA. Kiedyż mię urojenia twe krzywdzić przestaną?
Pytałażem się ciebie o mienie, nazwisko?
Nie dbam: chata czy pałac był twoją kołyską;
Kocham cię i chcę tylko być wzajem kochaną!
- HENRYK. Dla mnie—nie wiem, gdzie ogień ambicyi méj sięga,
Lecz dla ciebiebym pragnął w uczuciu bez miary
Tron zdobyć i wielkiego królestwa obszary,
Gdzieby mogła twój woli królować potęga!
- BALTA. Żądza mojej ambicyi tak niepowściągniona,
Że to berło mojego szczęścia nie utrwali;
Dla Balty, której duma sięga jeszcze dalej,
Królestwem—twoje serce; tronem—twoje ramiona!...

Król Theudis przybywa do mieszkania Balty; oświadcza jéj, że odtąd, zostawszy sierotą, mieszkać będzie na jego dworze; żałuje, że niema syna, któremu oddałby jéj rękę i opowiada smutny epizod swego życia, z którego dowiaduje się Balta, że przed wielu laty Theudis, przekonawszy się o niewierności swéj żony, odepchnął ją od siebie wraz z dzieckiem. Tymczasem Henryk, przed którym matka tajemnicę urodzenia jego najstaranniej ukrywała, dowiaduje się tylko, że pochodzi z krwi królewskiej. Lecz jak utracone prawa odzyskać? Bezsilność wobec doznanej krzywdy, wydobywa z piersi młodzieńca wulkaniczny potok oburzenia. Chciałby wyzwać do walki świat cały.

Gwiazdy... burze... ziemie... wody
I rośliny... i zwierzęta...
Wszystko rolę swą pamięta
I odwiecznej strzeże zgody!
Nieustannie nocne chłody
Zastępuje pożar słońca;
Zawsze strumyk w rzekach ginie,
Rzeka w morskich wód głębinie,
A ocean w takt bez końca
Fale nurtów swych roztrąca!...

Zawsze w lasach dźwięczy łzawo,
Szczebiot srebrnej ptasząt mowy;
Zawsze dziki koń stepowy
Płomienistą parską lawą!
W wiekiuste ładu prawo
Ogrom bytu okiełznany.
Lecz strach myśli spocząć na tém,
Coby stało się z waszechświatem,
Gdyby wzniołszy sił tarany,
Pogruchotał swe kajdany!

W jakież światby wpadł niebawem
Zamieszania straszne piekło;

W jakąż toń odmętu wściekłą,
 Człekby okiem patrzył krwawém!
 Lecz gdy tak najwyższém prawem
 Poniewierać, groza bierze!
 Człowiek w rozum uzbrojony,
 Czy ma także bić pokłony
 Martwój sile?... W równój mierzo
 Ślepo za nią iść jak zwierzę?

Nie chcę własném gardzić mianem!...
 Jeśli prawo świat przygniata,
 Człowiek królem jest wszechświata
 I postępków swoich panem,
 W życiu zacném czy skalanem!...
 A więc bierną człek istotą?
 Jeśli tak—powiedzmy raczej,
 Że bez woli nic nie znaczy!
 Zła czy dobra, mniejsza o to,
 Niech swobody méj nie gniotą!

Sługa Theudisa Usaldo opowiada Henrykowi, że Theudis jest mordercą jego ojca i uzurpatorem tronu. Niech więc zginie, woła Henryk i obmyśla wraz z Usaldem plan zemsty.

Tymczasem Tuscia, która jest właśnie odepchniętą żoną Theudisa, powodowana przyszłością syna, pada do nóg królowi, zebrze jego litości i przysięga, że jest niewinną.

Wiész, co takie życie znaoczy?
 Gdy samotna, odepchnięta...
 Hańbą ciężkich krzywd przekłeta
 Musi matka żyć w rozpaczyl..
 I przed dzieckiem swém jedyném
 Tań z trwogą... tak niegodnie,
 Jakby ciężki grzech, jak zbrodnię,
 Że on twoim, królu, synem.
 Gdy, bywało, z nim się pieszczę,
 Widząc moich łez potoki,
 Pytał malec czarnooki,
 Czemu ojca nie zna jeszcze?
 I dręczony tą zagadką,
 Że ty obce zwiedzasz kraje,
 Wołał: czegoż nam niestaje,
 By za ojcem pójść, o matko!
 Imię Theudis tysiąc razy,
 Wymykało się z méj duszy,
 Ale przyszłej strach katuszy
 Tłumił szczere prawd wyraził

THEUDIS (*wzruszony*). Milcz! szczególne czuję dreszczel

Tyle wzruszeń... szczęścia tyle...
Gdybym kiedy mógł na chwilę,
W twoję cześć uwierzyć jeszcze!
Nie!.. występków twoich wina,
To przekleństwo mojej głowy;
Przestań! dość obłudnej mowy!
Niebo w tobie mię przeklina!

Rozpaczne jęki nieszczęśliwej nie wzruszyły Theudisa; Tuscia wychodzi obłąkana prawie od króla. Katastrofa się zbliża. Henryk, zrobiwszy postanowienie zabicia Theudisa, wchodzi do jego komnaty.

THEUDIS. Usaldo!...

HENRYK (*n. s.*). Idzie!

THEUDIS (*spostrzegając obcego*). Któż śmiał tak zuchwale
Wchodzić w te progi?!..

HENRYK. Wygnaniec, senorze,
Zwyczajów na tym nieświadomy dworze,
Wichrem na obce wyrzucony fale
Razem z innemi!..

THEUDIS. Jutro posłuchanie;
Dzisiaj poważnych mam zajęć tak wiele,
Że chcę sam zostać.

HENRYK. Twierdzić się ośmielę,
Że sprawiedliwość jest na pierwszym planie.
Serce skrwawione i znękana dusza
O sprawiedliwość proszą cię bez zwłoki.

THEUDIS. Lecz dzisiaj!...

HENRYK. Dzisiaj. Tak. Powód głęboki
Do tego kroku gwałtownie mię zmusza.
Mniemam, że prośby wygnańca nieśmiały
Król, Teodata przyjaciel, wysłucha.
Miecz Franków tobie zamordował druha,
A mnie krewnego.

THEUDIS (*n. s.*). Teodat!.. drzę cały.

HENRYK (*n. s.*). Zadrżał!..

THEUDIS. Teodat przecież nie miał syna!

HENRYK. Jam nie syn, ale krewny Teodata!
To dosyć chyba!.. wszak miał w tobie brata?!..

THEUDIS. Tak!.. ale... prędjéj... cóż?.. niech pan zaczyna!..

HENRYK. Jak wielkiej kaźni jest godzien, senorze,
Morderca, który bezbronną ofiarę
Pozbawił życia?..

THEUDIS. Lecz!..

HENRYK. Jak ziemia stare

Prawo mórd śmiercią nagradza!..

THEUDIS. Tak.. może!..

Zkąd to pytanie?..

HENRYK.

Królu, sam widziałem
Jak się zbryzgany krwią schronił w te mury
Mojego wodza morderca...

THEUDIS.

Lecz który?..

HENRYK.

Hrabia, co gardząc Narsesa oddziałem
Karę na tryumf ucieczką zamienia,
Pewien, że zginął ślad podłości owój!..

THEUDIS.

Kto był twym wodzem?..

HENRYK.

Człowiek honorowy,

Got najzaciejszy.. Teudo z imienia.

THEUDIS.

A któż ten hrabia?..

HENRYK.

Opowiem za chwilę.

THEUDIS.

Dawna to zbrodnia?.. i czy masz dowody?..

HENRYK.

Zechcesz im pewnie udzielić swój zgody!..
Kiedy kraj opór stawiał wrogów sile,
Hrabia i Theudo, wiodąc dzielne szyki
Na pole walki piorunem spieszyli.
Straszna to pamięć téj rozpacznej chwili,
Gdy los na wściekłe patrząc wojownicy,
Żadnej z fal wrogich łaską nie zaszczyca;
Kolumna nie chce ustąpić kolumnie;
A wróg wrogowi urągając dumnie,
Walczy, oświecon... pół blaskiem księżycal...
Gdy się tak każdy na oślep z żelazem
Rzuca, gdzie walka okrzykami brzmiała;
Gdy końskie trupy i rycerzów ciała,
W mękach konania tarzają się razem;
Kiedy na sklepie niebieskim szeroko
Krwawił się grozą, snop łuny pożarnej;
Gdy trupów pełen szmat ziemi cmentarny,
Tonął pod czarną walczących posoką:
Wtenczas...

THEUDIS (*drżąc jak w febrze*).

Cóż dalej? (n. s.) Dech w piersi zamiera.

HENRYK.

Theuda koń pada, a jeździec zwalony,
Nie mając innej, prócz zmroku obrony,
Został sam jeden... od bitwy zdaleka...
Nim czyjąkolwiek obecność odgadnie,
Zanim cios oczy w ciemnościach dostrzegą;
Już w gardle Theuda podły nóż hrabiego,
Aż po rękajeść zagłębił się zradnie!..
Konając, poznał i przeklął zbrodniarza!..
W ucieczce myślał wyrodek ten zgniły,
Że go tam żadne oczy nie śledziły
I że mu zemstą już nic nie zagraża.

THEUDIS (*przeżony*).

A któż go widział?...

HENRYK.

Bóg!!... Kary unika
Zbrodniarz, w sił swoich ufając obronę.
Gdy nagle widmo Theuda zakrwawione
Przyszło, by zemsty żądać dla nędznika!...
Na straszny widok ów... nogi tyrana
Tajemnej woli posłuszne... zdrętwiały!...
Postać w rysz tunek wojenny przybrana...
Grozą przejmując wzrok jej skamieniały...
Zdrajcę wskazuje palec tego ducha...
Śmiertelną lic swych bladeścią przeraża...
A gardło mieczem rozdarte zbrodniarza,
Niepowstrzymanym krwi potokiem bucha!...

Theudis, który słuchał z wzrastającym przerażeniem, cofa się przestraszony, zwracając twarz w inną stronę i wołając:

To on! ha! on to! precz!...

HENRYK.

Nawet sumienie

Już nikczemnego w nim zdrajcę odkrywa:
Śmierć mu—ta trwoga zwiastuje straszliwa:
Zgiń!...

Chwyta za szpadę i już się ma rzucić na Theudisa, patrzącego w inną stronę, gdy nagle waha się przerażony i cofa rękę, mówiąc do siebie:

Cóżto? czuję lodowate drżenie!...

Pod wpływem niewytłómaczonego przestachu, wybiega od króla jak szalony; lecz ochłoniwszy powraca, zadaje śmiertelny cios Theudisowi i po spełnieniu morderstwa dowiadyuje się z ust matki, że zabił... własnego ojca.

CNOTA I WYSTĘPEK.

RZECZ O ROZWOJU DZIEJOWYM WYOBRAŻEŃ O CNOCE *).

PRZEZ

Wojciecha hr. Dźieduszyckiego.

II.

Synowie Sema.

Mimo wszystkie badania i odkrycia archeologów, nie znamy życia synów Chama, tak jak znamy życie Izraelitów, i nigdy podobność tak dokładnie nie poznamy. A jeśli mnogie papirusy i obrazy starożytnego Egiptu niedorównają opisom i obrazowaniu Pisma Świętego, niedziw, że napół przeczytane klinowe napisy Assyryi, i rzadkie zapisane kamieniem Syryi rzucają na obyczaje pobratymców Izraela światło, które blednie i prawie całkiem gaśnie obok choćby dziejowej tylko i czysto ludzkiej jasności płonącej na kartkach biblii, i niedziw, że kto mówi o synach Semowych, przedewszystkiem mówi o Izraelu. Domyślamy się tylko u Assyryjczyków tego, o czém u żydów wiemy na pewne.

Otóż, gdy pierwsze grody powstawały w porzeczach rzek, gdy obywatele pierwszych państw orali miękką napływową rolę drewnianymi pługami, i kłaniali się chlebobajnym siłom materyi, przezwanym bogami, niecała ludzkość zmieszczała się w mrowiskach, niewszycy ulegli politycznemu instynktowi ludzkości. Niechcąc pracy, niechcąc społecznej niewoli, wołało wielu pociągnąć z trzodami na pustkowie.

W piersi ludzkiej i doskonalsze i rozmaitsze popędy od zwierzęcych. Jeśli i zwierz potrafi się w części zastosować do otoczenia wrogiego jego zwyczajnemu trybowi życia, mogą zajść chwile, w których człowiek samowolnie zrywa z przerodzoną swoim stanem i szuka losu twardszego i samotniejszej doli. Spór może powstać między jednostką a narodem, a gdy jednostka narodu zwalczyć niemoże, ujdzie w ustroju. Tak to przed wiekami uczynił Abraham, wedle Pisma.

Kto słuca obyczajowi dla chleba, kto hołduje poziomiej cnotcie ponosząc trudy nie dla siebie lecz dla roju ludzkiego, ten, wiemy już o tém, gwałci siebie: wypiera się, dla chleba, dumy swój i samowoli, miłości i zapału, uczuć wrodzonych człowiekowi, podobnie jak pęd do gromady. Kto się uczuć owych wyprzeć nie chciał, ten był występny

*) Dalszy ciąg—patrz zeszyt za kwiecień r. b.

w obliczu narodu; kto się nie chciał poddać ciału tylko i bogom ciała, ten musiał być wygnańcem. Oto wszyscy w Mezopotamii czynili sobie bałwany i kłaniali się im, a Bóg rzekł do Abrahama: „opasz biodra i wyjdź ztąd a zawiodę cię do ziemi Chanaanu.” Abraham powstał i postuchał i wyszedł wraz z dziećmi, sługami i trzodami swemi, i żył odtąd jako król i chyba jako sługa Boży, czyniąc wedle upodobania swego.

Występnym był tedy według ludzi w Mezopotamii i nie poddał się obyczajowi. A jednak od dzieciństwa uczył nas wszystkich, że był to mąż cnotliwy i wzór cnoty. A na czémże zależała jego cnota?

Oto nikomu nie chciał służyć i nie chciał ulegać niczym prawom, choć rad ciągnął korzyść z gościnnej obcych opieki. Tułał się po Syryi i Egipcie, zawsze ostrożny i niedowierzający, z żoną swoją Sarą, niewolnikami, niewolnicami, skarbami i dobytkiem; kupował, sprzedawał, dbał o dobrobyt i swój i swoich i miał się za ojca i nieograniczonego pana całej drużyny. Miał piękną żonę; ale nietyle był zazdrosny o jej wdzięki, ile pełen ostrożnej obawy, by wdzięki te niesprowadziły niebezpieczeństwa na jego głowę. Gdy szedł czyto do Egiptu, czyto do kraju Filistynów, kłamał wszystkim, że Sara nie żoną jego, że jego siostrą, bojąc się by go nie zabito, chcąc zabrać piękną żonę. I bez wielkiego żalu ustępował do czasu Sarę władzcom, u których używał gościnnego przyjęcia, pewien, że Bóg którego słuchał i z którym osobne zawarł przymierze, postara się o to by mu żonę oddano. To też Bóg mocny poraził Faraona i Abimelecha króla Filistynów chorobą za to, że nieświadomie tknęli się, albo chcieli się tknąć żony Bożego ulubieńca, i byłby cały ród występnych wygubił, gdyby nie byli się wczas dowiedzieli o pomyłce i gdyby nie byli wrócili pięknej Sary mężowi.

Abraham był odważnym wprawdzie, ale zarazem miłośnikiem pokoju. Gdy trzeba było pomógł w walnej a zwycięskiej bitwie przyjacielowi swemu Melchizedechowi, mężowi co jak on myślał i jednemu służył Bogu. Widać z tego, że był i przyjacielem dobrym; a za zapłatę wziął modlitwę i błogosławieństwo, i uważał to za zapłatę sutą. Jako przyjaźń wolno obrona była mu miłą, jako mu miłym było czynić przyjacielowi dobrze, choćby miał narazić przytém życie, tak dziękował za życzliwą myśl i dobrą wróżbę, cieszył się nią i myślał, że się ziści skoro ze szczerego, czystego serca pochodzi. A był przytém i rozważnym, wyrozumiałym stryjem, miłośnikiem zgody. Miał przy sobie synowca Lota, a gdy ludzie jego z ludźmi Lota poswarzyli się o pastwisko, wolał się z synowcem rozejść jak być widzem sporów. Chciał tylko żyć sam, w pokoju, swobodnie z rodziną swoją, nie podlegając nikomu i nie przeszkadzając nikomu wśród pustyni. To też Lot poszedł wśród miast zamieszkać, a Abraham pociągnął w step bezbrzeżny, po którym wicher buja czerwony, nad którym ulatują sępy i orły, po którym ciągną rżędem wielbłądy, i nad którym wielkie skwarne słońce płonie. Tu królem był a sługą tylko Boga przyjaciela swego. Oddychał pełną piersią i nikomu niewinien dobrodziejstwa,

kopał studnie w pustyni i stawał się tak, dumnie, dobrodziejem nieznamym co kiedyś łaknąc nadciągną.

Szczodrym bywał i gościnnym; umiał dać podarki, umiał za znak przyjaźni dziękować, a miał sobie za krzywdę gdy kto poszedł poprzód jego namioty, a niezabawił u niego i niestał mu się dłużnym dobrego przyjęcia. Gości sadzał u stołu, gawędził z nimi, umywał im stopy i słuchał ich rady. A gdy słyszał o nieszczęściu grożącym Sodomie i Gomorze, o tém, że Bóg ogniem niebieskim chce spalić grody przekłete, zlitował się nad niemi i długo o obcych prosił Boga, by im przebaczył, choćby było tylko dziesięciu sprawiedliwych w grodzie nieprawości. Żyjąc w pustyni, sam mógł Abraham mieć serce szerokie i nie potrzebował go dusić, jak to czynił syn Chama.

A jednak najwięcej myślał o sobie. Nie o ciasnej, przemijającej jednostce, jeno o rodzinie całej, którą poruszał własną wolą, w której żył mnogiem życiem, z którą się zrósł i której był panem. I w nim przecie zostały resztki zwierzęcia politycznego, tylko że jemu ojczyzną stał się ród, a że ten ród był nim samym, Abraham chciał wiecznie żyć tak swobodnie i bujnie jak żył do czasu, a chciał żyć w potomstwie swoim. Inna nieśmiertelność niebyła mu na myśli. Krew z krwi jego, kość z kości najszczerzej, wola z jego woli, miała trwać; on miał się mnożyć, miał się stać narodem i królami tego świata. Więc na to by krew z krwi była szczerza, bez przymieszki, poślubił siostrę przyrodną, córkę ojca swego Tarego i innéj matki, ową piękną Sarę; i choć nie znał owéj wierności małżeńskiej wzajemnej, o której przyszłe pomysłały narody, kochał żonę, a gdy późno umarła mając lat sto dwadzieścia i cztery, Abraham z miłości dla niéj i dla jéj pamięci poniżył się i błagał Hittytów, u których bawił, o to, by mu sprzedali grobową pieczarę.

Gdy się z Sary dziecka nie doczekał, gdy nie mógł stać się narodem, wtedy dopiero za Sary radą, pojął niewolnicę Egipcyankę Agarę, i to nie dla pożądliwości, jak to czynili niewolnicy ciała, synowie Chama, jeno na to by ród mu nie zginął. A gdy potem wreszcie z Sary miał syna Izaaka, niechcąc sporu kobiet i dzieci, wyгнаł Agarę i dziecko jéj Izmaela w pustynię z dzbanem wody i bochenkiem chleba. Tam zginąć miała, zginąć powiuno, podług zwyczajnéj rachuby, Abrahamowe nasienie; i matka Egipcyanka, gdy jéj wody niestało, zostawiła dziecko na ustroniu i odeszła płacząc a załamując dłonie, i szlochała głośno wołając: „Nie chcę widzieć jak dziecko moje skona.” Ale Abraham dla miłości żony, nie wydał dziecka swego na zagładę, bo on ufał nie rachubie, jeno przyjacielowi swemu Bogu. Poprosił Go, by mu syna obronił, a Bóg zesłał anioła do Agary i otworzył jéj oczy, iżby ujrziała studnię. I oto Izmael wyrósł i bywał łucznikiem i stał się narodem mnogim i swobodnym wśród pustyni.

W tém wszystkiém o czém dotąd mówiłem, nie cnota Abrahama. To wszystko ludzkie było tylko. W tém wszystkiém swobodny usłuchał tylko głosu duszy, stłumionego dla ciała i jada i rozkoszy przez

synów Chama, i słuchał żądzy życia co mu kazała chcieć żyć wiecznie w dzieciach. W czém inném była jego cnota, której początkiem był cud. Abraham wśród pustyni, gdy miał serce szerokie i namiot gościnny spotykał Boga.

Gdy słońce czerwone kryło się za piaski pustyni i mrok nagły zapadał na namioty, a Abraham siadł przed obozem jako pan bydła i czeladzi, przeszli goście jacyś popod namioty, a proszeni weszli do namiotu i jedząc powiedzieli, że Abraham stanie się narodem, że Sara rozrodzi się w lud tak liczny, jak piasek co spoczą u dna morza. A Abraham wiedział, że to Bóg mówi.

Szedł sam wśród pustyni z towarzyszem, po krótkiej trawie i piasku ruchomym i stawał u skalnego czerwonego urwiska i patrzył on mąż swobodny, z brzegów pustkowia na dolinę Jordanu, co w owe czasy żyzną była jak ogród Boży i jak kraj Egipski. Dokoła rzeki, wśród zieleni, wśród palm i winogrodu, stały grody Chama: Sodoma i Gomora i inne pokorniejsze, kędy ludzie dla rozkoszy ciała żyli w niewoli, jakby zwierzęta i Boga znać nie chcieli i wypierali się ducha jakby grzechu. I gość którego znał Abraham, rzekł mu: „oto doszedł aż do mnie głos nieprawości grodów tych. Pójdę do nich by się przekonać, czy głos ten prawdę o nich świadczy, a jeżeli znajdę, że winne są, zniszczę je.” I gdy gość tak mówił, wiedział, że uczyni jako rzekł. I nie dziwił się nazajutrz, gdy rano wstał i odszedł od namiotów swych i stanął znów na urwisku, i ujrzał ogień wielki i dym, co się wznosił z grodów i słup soli, co był niegdyś niewiastą. I nie zdziwił się, gdy woda cicha, ciężka, czarna, woda, po której płynęły cuchnące bryły asfaltu, zaległa miejsce, w którym niegdyś grody ludzkie były; gdy słyszał, że naród cały tam był pod wodą i gdy patrzył na to jak dokoła drzewa uszły, jak ptastwo pierzchło z przeklętego miejsca. I nie dziwił się Abraham, gdy on miał lat sto, a Sara ośmdziesiąt i siedem, a ona syna mu powiła wedle obietnicy gościa; bo on wiedział, że gość którego spotkał wśród pustkowia, to Ten sam co słońce zapalił i rój niezliczonych gwiazd płonących wśród ciemności nad pustynią, to Ten co postawił granice morza i lądu, i rozdzielił wody i utwierdził ziemię i zna serce ludzkie i sędzi je, nadgradza i karze. I Panu temu ufał Abraham i stapał po Jego drodze i czynił Jego rozkazanie, gdy nie chciał dla chuci żyć, gdy nie był niewolnikiem żarłocznej troski, a wiedział, że Pan o nim pamiętać będzie. Oddał się Jemu cały; czuł się w obec Niego pyłem i niczem i słuchał Jego głosu; gdy mu Pan co kazał czynił wedle rozkazu, choćby miał zabić syna jedynaka rozkazowi ufając ślepo. A że zawarł przymierze z Panem i że oddał mu wszystko na własność, był przeto pewien, że własność jego pomnożoną będzie, że ród jego, krew jego, będzie i wiecznym i możnym. Niewolników i synów zarówno ofiarował Bogu, czyniąc z nich naród wybrany, niewolników nawet ukochał i za cnotę otrzymał nagrodę; za serce czyste wziął życie długie i potomstwo niezliczone, życia przedłużenie, spotęgowanie rodziny co była własnością i rozkoszą samotnego patriarchy.

Oto opowieść. Powtarzają ją i dziś matki dzieciom. A jeśli ją powtórzył, to dlatego, że musiałem; to dlatego, że z niej patrzy duch starego Izraela, że w niej jak w łupinie zawarta cała prawda o cnocie synów Sema.

Izrael był nie najstarszym, ale prawym potomkiem Abrahama i żydzi przedewszystkiēm winni byli stać się wiernymi naśladowcami cnót praojca.

Naród ich był wielką rodziną, którą władał bezwzględnie Bóg wszechpotężny, a niewidomy Jehowa, Bóg, co przebywał z samotnym człowiekiem i co przejrzał duszę jego nawskrós, a ukochał serce prawe; Bóg, co wywiódł naród z niewoli z ziemi Egipskiej, kędy kipiało mięso po garnkach i zawiódł Izraela na pustynię i zabronił mu troski o dzień jutrzejszy, zsyłając mannę, dając wodę cudem, czyniąc życie narodu cudem jednym. Chciał mieć lud swój na pustyni przeciwieństwem ludów Egiptu, wśród kraju co nic nie rodzi, bez stałej siedziby, bez trwałego obyczaju, posłuszny tylko rozkazowi niewidzianego Boga, co z dniem każdym okazywał opiekę swoją nad narodem, co we dnie stawiał na niebie obłok czarny, a w nocy jasną łunę, by wiodły naród tam, gdzie chciał Pan; co grzmotem i błyskawicą otworzył stromy szczyt żółtej opoki Synai i powołał do Siebie na szczyt proroka Mojżesza, wodza ludu. Drżący prorok poszedł do Niego, Pan mu nie odsłonił oblicza, co bywało śmiercią dla oczu ludzkich, a dał mu rozkazy, którym lud winien posłusznym być. A gdy czas próby przeszedł, oddał Pan poddanemu narodowi kraj, co ciekł mlękami i miodem; nie temu lub owemu dał kraj ten, nie Mojżeszowi nawet, bo Mojżesz skonał nie stąpiwszy na Ziemię obiecaną, lecz Abrahamowi, Izaakowi i Jakóbowi, co służyli Panu, rozmnożeni w naród niezliczony, w dwanaście pokoleń, dwunastu synów Jakóbowych.

Na ziemi nowęj miał Abraham mnogi, wielogłowy naród Izraela, rodzina wieczna, co jak żdźbło spoczęła w dłoni Boga, nie pytając się o przyczynę i nieufając w rozum swój, słuchać zakonu danego przez Mojżesza i słowa proroków, co znali wolę Pańską. I na ciele nawet mieli męża nieść znak przymierza i służby nożem wycięty; strój ich, obyczaj, mowa, obrzęd w najdrobniejszych rzeczach opisany, miały różnić Izraela od innych narodów; a kto się pytał, poco Bóg dał te przepisy, kto ich słuchać nie chciał, ufając rozumowi i patrząc na bogactwo synów Chama, tego miał naród ukamienować, ciskając nań przedewszystkiē wielkie kamienie z krzykiem, aż go zasypały tak, że tylko głowa skrwawiona sterczała ponad kupę kamieni; a jeśli był zbyt zuchwały i targał się na najświętsze obrzędy, powstawał nań sam Pan w wielkim gniewie i oto ziemia się rozwarła i pożarła bluźniercę, albo grom spadł z nieba i zabił na miejscu, albo trąd szkaradny wystąpił mu na ciało, czyniąc go wygnańcem i zakałą i nędzarzem najstraszliwszym, na którego patrzeć ohyda.

Ziemię otrzymały pokolenia i rody i miały uprawiać ją, nie sprzedając i nie kupując; pieniędzy niemieli pożyczac na lichwę, dług każdy

odpuścić miał żydowin w roku siódmym, niewolnika kupnego miał uczynić najpierw synem Izraela i sługą Bożym, a w roku siódmym miał go uczynić wolnym; i ziemi nawet miał dać spocząć w roku siódmym, jako sam spoczywał dnia siódmego, bez biesiad pogańskich i rozputy, bez pracy pogańskiej i troski, spoczywając tylko myślą w Bogu. A choć niemądrém się wydało owo życie synów światłości, dbał o to Pan, Pan ich, by w roku siódmym nie było głodu i by się mnożył Abraham i by się z niego stali królowie téj ziemi.

Jawił się Pan mężom wśród ludu, jak niegdyś Abrahamowi i mówił im: „Oto niech naród mój czyni wedle słów, które usłyszal.” I mężowie tacy, prorocy Boga żywego zstępywali między lud i mówili: „Oto widzieliśmy Boga i niesiemy wam rozkazanie Jego.” A wtedy lud niewinien był pytać o znaki postannictwa i o przyczynę rozkazu, jeno słuchać, choć czasem rozkaz znosił zakony; boć niewolnik ślepo winien czynić wolę Pana.

Prawem najświętszém było Dziesięcioro przykazania Bożego, które Pan palcem wypisał na płytach kamienia i dał Mojżeszowi wśród gromów na górze Synai: rozkazów troje, zakazów siedmioro. Rozkazano czcić Boga i rodziców, a dzień święty święcić; zakazano bluźnić, zabijać, kraść, cudzołożyć, kłamać i pożądać tego, co cudzem jest. A oto Pan nakazał: „Zabijajcie obce narody! nie zostawcie ani męża, ani niewiasty, spalcie grody, zniszczcie dobytek, ziemię zabierzcie.” A biada temu, co nie posłuchał tego rozkazu, co znał litość i sumienie, gdzie Bóg tego nie chciał. Dobry sługa zabijał wtedy, palił, mordował i wśród pożogi tępił narody; zły tylko i ślepy głupiec był nieposłusznym.

Kobięta męża pilnowała i domu i czci swój i wstydu, a wdowa żyła w poście i modlitwie. Ale gdy wróg, wódz wroga, hetman Assuru przybył do Judei, przemówił Pan do wdowy Judyty, a ona rzuciła wstyd i bojaźń i modlitwę i uczyniła nie pytając wedle rozkazu. Pachnidłami się oblała, w brzękoty złote przyodziała, by piękną była jak dziewice Sydonu; i poszła do namiotu wroga i przypodobala mu się, a gdy usnął ucięła mu głowę i stała się dla Pana bezwstydnicą i zdrązczynią i skrytobójczynią. A zato wielkiej chwały dostąpiła w Izraelu. Z głową ściętą wróciła między niewiasty i wieniec oliwkowy włożyła na głowę i tańcząc zanuciła pieśń zwycięstwa i w takt podniosła laskę owitą winną latoroślą. A wszystkie niewiasty jak ona się przyodziały i jak ona płaszać, zaczęły śpiewając i wielka dla niej chwala powstała w Izraelu.

A za służbę pokorną i wierne poddaństwo, za zapomnienie o jutrze i ufność zupełną, nadgradzał Bóg nie tego lub owego, ale Izrael cały. Syn Sema także posiadał naród i państwo, ale nie stworzył go mądrością swoją. Bóg duchowy, a podobny do człowieka wiekuistego, uczynił państwo te i nadgrodził swego sługę. Na stokach wzgórz rosły winnice i grono zwisło przy gronie; przed domem rolnika rozłożyło gałęzie figowe drzewo, okryte owocami; a owce białe pasty się po

górach; dziewczę usnęło w komnacie swojej wśród kwiatów, a czekało na przybycie oblubieńca; król na rydwanie złocistym, ciągniętym przez śnieżne opienione konie objeżdżał grody warowne i pola, po których falowała pszenica do morza podobna; mąż przy żonie na roli, żyli w bezpieczeństwie i pokoju, bez troski, bez ciężkiego trudu i słuchali pieśni nabożnej i pieśni weselną i czekali starości, otoczeni mnogim rojem dzieci, co mieli po wiek wieków krew ich utrwalić; w stolicy, w Jerozolimie stała dumnie świątynia o złotym dachu i cedrowym suficie, pełna złota, ofiar, pieśni i woni kadzideł. I ze wszech stron do dworu królewskiego ciągnęli goście; królowie obcy przychodzili do Jerozolimy, przybywały ogorzałe królowe z Saby, z ziemi Adytów.

Ale wśród dostatku zmieniało się serce Jakóbowe. Gdy Izrael zażył owoców ciała, ciało ukochał i odwrócił się od pustyni, prostoty i Boga. Pokłonił się Bogom Chama i uznał Chama obyczaj. Rozpuszta zajrzała do świątyni: zahuczały po Libanie dzikie krzyki sobótki; królowie pożądali cudze żony; proroków niesłuchano, a ufano w siłę ramienia i w rozum, co mylił pogany. Ale wtedy Pan nowe powoływał proroki; wstawali mężowie Boży i szli w góry, w pieczary i w pustynie. Nie robili nic i niemieli starania o siebie, tylko śpiewali pieśnie i czekali, aż ich Pan nakarmi, a jedli czasem szarańczę, a czasem to, co kruki przyniosły, a czasem chleb anielski, przyniesiony podczas snu. Na górze stawali i nie służąc ludziom, patrzali w pustynię i śpiewali Panu, ufni, że lew ich się nie dotknie, choć chodzi po dziczy i rycząc, szuka kogoby pożarł. Tak stał Eliasz na opoce i ujrzał, jak wiatr gonął po pustyni i podnosił tumany wielkie piasku, idąc przed obliczem Pana; a potem uczył jako ziemia drżała i stał wśród trzęsienia sam przed obliczem Pana; a potem ujrzał, jakby ogień wielki, trąbę pustyni, co wyglądała czerwona zpośród piasku, piękna a straszliwa i nie przeląkł się jój, jeno patrzył na nią; a gdy ona minęła od grozy i piękna, usłyszał w duszy pieśń i uczył, że to głos Pana ¹⁾. A usłyszawszy głos ten, pełen niewysławioną rozkoszy, poszedł nawracać Izraela i wrogów budzić przeciw występny w Izraelu. Damaszek uzbroid przeciw Samaryi i rzeź sprawił taką, że w Izraelu zostało tylko siedm tysięcy mężów wiernych Panu. A ci się bali i bili się w piersi, wyznając grzechy swoje słowami psalmisty. Aż Bóg dotknął duszy ich jeszcze, zanim je powołał do siebie. Podnieśli głowy i weselili się w Panu i świat cały piękny, jaśniał przed nimi, jako podnózek Pański. Góry się wznosiły hardo niby kozice, co podskoczyły do góry; morze ogromne biło falą o brzeg, rumienił się złoty obłoczek jutrzeńki, podobny do skrzydlatego anioła Bożego, do duszy, co wleciała ku niebu w modlitwie; a kwiatek polny chwalił barwami Pana, pod cieniem wieczystego cedru; a świat wydał się pięknym; a dusza pozbyła się troski i nie myślała o zmysłowej rozkoszy i zysku jutrzejszym, jeno jak dziecko oddała się, drząc w ręce Przedwiecznego.

¹⁾ Księga pierwsza królów, rozdział XIX.

Lecz któż zbadał Jego wyroki? Któż był przy tém, gdy utwierdzał światy? Kto wie, jaka miara prawości i nieprawości? Gdy zechciał zabrać Jobowi sprawiedliwemu i dzieci i dobytek i zdrowie i piękność; gdy zechciał oddać wszystko w dwójnasób. I jako z Jobem uczynił z Izraelem. Aby się spełniły zamiary Jego, pobudził wielkich królów Assyrii i Babilonu.

Podbili Izrael, Judę, zabrali w niewolę i naród zawieźli do ziemi nieświętej. Ale Pan nie opuścił narodu swego, a duszę zwycięzców ukorzył. Dla próby to było, nie dla sądu.

Żydzi byli w niewoli, płakali nad rzekami Babilonu, a król zwycięzca ich Nabuchodonozor, wyszedł na dach swego pałacu i spojrział dokoła, aż uradowało się serce jego. Leż u stóp jego gród ogromny: kamienice wielopiętrowe, niezliczone, biegły prostemi ulicami do rzeki szerokiej, połyskującej pomiędzy dwu murów opaską. Na prawo od rzeki i na lewo szły ulice, a po nich cisnął się tłum ludu niezliczony, deptyły rżąc konie, ciągnęły objuczone wielbłądy zadarłszy kark i założywszy głowę w tył. Każdą ulicę do rzeki wpuszczała ruda brama spiżowa, a aż gdzieś daleko u widnokręgu, jakby u końca równiny, gdzie niebo stykało się z ziemią, stanął mur grodu zewnętrzny, zbrojny w wyniosłe wieże. Wojsko domów stało niezliczone, a wśród domów powiewały palmy.

Spojrział król dokoła i radowało mu się serce. Po dziedzińcach pałacu, po bramach i rynkach, stały ogromne kamienne, malowane, skrzydlate byki o męskiej brodaty twarzy, znamiona siły i panowania; po ogrodach wśród palm, spoczęły wiecznie spokojne sfingi, zdobyte w Egipcie i patrzyły w nieskończoność; a tu i tam jaśniał w żarze słonecznym posąg złoty, albo srebrny bóstwa, wysoki jak wieża, kosztowny jak królestwo podbite. A wszystko to było dziełem królewskim.

Gdzie Bóg uczynił był równinę, tam król rozkazał, by były góry oblesione. Wzniosły się wśród Babilonu wysokie platformy, a na nich, nad domami rosły cedry i palmy i mnogie kwiaty dokoła sadzawek woniały dla rozkoszy królowej, przypominając medyczką jej ojczyznę. A w samym środku grodu stało ośm barwnych piętr i tworzyło wieżę Belusową. Przedostatnie od szczytu piętro srebrnym było, ostatnie złotym, a na ostatniem mieniła się kapliczka bóstwa, barwami olbrzymiej perły, wywieszonej pod wschodniem słońcem.

I oto w dumie uradował się Nabuchodonozor i pomyślał, że potężnym jest; a ręka Boża zaciążyła na nim. Uciekł raptem z krużganku pałacowego i wybiegł z grodu na pole, stracił myśl ludzką i ludzki rozum i włosy wyrosły mu na ciele, jakby u osła, paznokcie jak u ptaka i przebywał przez siedm lat z bydłem i mułami, pod rosą niebieską, aż się ukorzył przed Panem i aż mu Pan oddał królestwo.

Syn Nabuchodonozora Baltazar biesiadował w Borsyppie, w wielkiej sali królewskiego zamku. Po ścianach widać było mozaikowe wyobrażenie łowów, królów przodków jego; widać było jako ciskali włócznie, jak tratowali wrogów, jak strzałami ubijali lwy pustyni. Dokoła

stołu siedli mężowie, siadły rozpustne niewiasty i była to uczta ciała. Jedzono i pito. Wtém naprzeciw wielkiego świecznika, co zwisał u sufitu, ujrzano rękę jakąś, duchową, przezroczystą. Ręka ta wyciągnęła palce i pisała; widać ją było nie wśród mroku nocy, lecz w pełnym świetle świec mnogich, a król patrząc drżał i bladł. Król sam jeden widział duchową rękę; drżały mu kolana, zapadła się blada twarz, a napis został się na ścianie i nikt go nie umiał przeczytać: ni król, ni dworzanie, ni zarumienione niewolnice o płonących policzkach. Przerazona służba rozleciała się po krużgankach i krzyk wielki trwogi rozszedł się po zamkach rozputy.

I oto rozwarły się drzwi biesiadnej grzesznej izby i weszła do komnaty niewiasta w purpurze z migającą złotą obwiązką wśród włosów; była to żona skrzywdzona, wzgardzona Baltazara. Stanęła przed mężem, a wiodła z sobą starca z pokolenia Judy, z narodu podbitego, Daniela, co tłómaczył sny Nabuchodonozorowi. Mąż raz przecie uczynił wolę prawej żony, a starzec co stanął wśród przerażonej biesiady, odczytał znaki i powiedział królowi że to Bóg żydów wypisał na ścianie, że dni panowania jego i nieprawości skończone. Król w trwodze chciał dać połowę królestwa Danielowi, ale wyrok już zapadł i nocy owęj Medowie zdobyli stolicę i Daryusz zabił Baltazara, a żydom wrócił ojczyznę i dał im postawić stolicę. I odtąd w pokoju chwalili Pana, oczekując aż Messyas przyjdzie i świat im odda w ręce i opowiadali te oto powieści.

A jam powtórzył podanie, choć ono wszystkim znane i choć księga Daniel poematem obrazowym i fantastyczną powieścią. Wiemy dziś na pewne, że Baltazar nie był synem Nabuchodonozorów, że Nabopolasar z innego rodu panował gdy Persowie zdobyli Babilon, nie pod Daryuszem, jeno pod Cyrusem; że syn Nabuchodonozora Ewil Merodach właśnie był człowiekiem prawym i żydom sprzyjał i że Daryusz panował wtedy gdy żydzi wyszli już z Babilonu, że poskromił tylko bunt Chaldei i że król buntowników nosił znowu wielkie miano Nabuchodonozora. A przecie dla nas prawdą podanie i księga Daniel, bo naród cały wierzył w podanie to, bo w niém, lepiej jak w dziejach zawarte to, co było źródłem i podstawą bojaźni Bożej u żydów. Jako w wyzwoleniu Izraela z niewoli widać błogosławieństwo dla cnotliwych, tak w uczie Baltazara, straszliwym pierwowzorze uczy Makbeta, wzór gniewu Bożego; w szale Nabuchodonozorowym przykład Jego mocy. Tak oto karał występek Przedwieczny Pan Izraela. I oto zwierciadło myśli żydowskiéj.

Takiego zwierciadła dla innych synów Sema niémamy. Zpoza kronik Assyrii ledwo możemy się domyślić duszy wielkiej dziejów niszczycielki, co stary Babilon zburzyła i z krwi swojej postawiła Babilon nowy, co Egipt powaliła i zniszczyła Izrael. Widzimy tylko wśród dziejów szereg dumny samotnych królów podbójców, strasznych jak biblijne zjawienie, Sargonidów. Sargon i Senacheryb, Assarhaddon i Sardanapal prawią nam na napisach swych o potędze swojej, jako narody

w proch obracali dla Pana swego i Boga Assura, Pana zastępów. Na zgłiszczach miast, pośród tłumu powiązanych jeńców, wśród płaczu i narzekania, na stosach trupów, w kraju zamienionym w pustynię, stawał król Assyri i śpiewał hymn tryumfu Panu swemu, a potem królów jeńców na łańcuch wiązał w psiarni.

A jednak w tém co wiemy, poznajemy jakby dzikie, gwałtowne powtórzenie Izraela. Jehowa zowie się Assurem i postanowił nad narodem swym króla i dał mu panowanie nad ziemią i rozkaz jeden tylko, rozkaz który dawali czasem i prorokowie Izraela, rozkaz by tępił i podbijał i nieznał miłosierdzia. I gdy król z narodem stanąwszy na górze jakiegś widział wielkie, błękitne, szumne morze, stawał w podziwie i śpiewał hymn.

Ale rozbójnik narodów dał się prędko skusić synom Chama; ukochał mądrość ich, ukochał ich rozpustę i gdy Azyą całą zamienił w pustynię, zapomniał o Assurze, zakochał się w rozpuszcie i zawołał: „Jedźcie, pijcie! po śmierci już niemasz rozkoszy!” Aż mu Scyta i Med krwi do puharu naleli i aż Pan Przedwieczny zamienił pyszną stolicę Niniwę w mieszkanie lwa, puszczyka i lisa pustyni.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIEDZINY PRZYRODOZNAWSTWA.

Światło elektryczne.—Różnica między machinami magneto-elektrycznymi a dynamo-elektrycznymi.—Machiny Siemens'a i Gramme'a.—Siła oświecająca tych machin.—Przyrząd Lontina.—Świece elektryczne Jabłockowa.—Inne przyrządy.—Znaczenie motoru w oświetlaniu elektrycznym.—Woda jako motor tego rodzaju.—Urządzenia zaprowadzone w Cragside przez S. W. Armstronga.—Rozprawa Shoobreda.—Oświetlenie elektryczne dworców kolei żelaznych w Paryżu i Avenue de l'Opéra. Van der Weyde i zastosowanie światła elektrycznego do fotografii.—Zasady, na których opiera się konstrukcja lamp elektrycznych.—Lampa trwała, zbudowana przez Sawyer'a i Man'a.—Nowy telegraf piszący czyli t. z. pióro telegraficzne.—Zęby mądrości i ewolucya.—Kolor włosów ludzkich.—Odkrycie 3 nowych metali.—Rozprawa Lockyera
O naturze pierwiastków chemicznych.

Wiedza ugina się, jeżeli można tak się wyrazić, pod własnym swoim ciężarem: wynalazki następują ciągle po wynalazkach, odkrycia po odkryciach. Zaledwie chciwy wiedzy ogół ochłonął z pierwszego wrażenia, jakie na nim wywarł telefon, fonograf i mikrofon, zaledwie, powiadamy, przyszedł nieco do siebie i zaczął z chłodną

rozważać zdawać sobie sprawę z tych wielkich rezultatów, dokonanych w dziedzinie nauki w czasie stosunkowo tak krótkim, a już dowiadujemy się o nowych niemiłej ważnych rezultatach, jakie świeżo nauka zdobyła: mamy tu na myśli ulepszenie na polu oświetlania elektrycznego, na które odznaczyło się wielu uczonych w różnych krajach, oraz wynalazek pióra telegraficznego przez Anglika Cowpera. Zaczniemy od pierwszego.

Nawet telefony i fonografy przewyższył znakomicie, pod względem swego znaczenia w praktyce, wynalazek, który według wszelkiego prawdopodobieństwa, może dokonać zupełnego przewrotu w systemie oświetlania, stosowanego na wielką skalę, i zastąpić zwyczajny sposób oświetlania tak zwanym dwuwęglowodorem, do którego, jakkolwiek zaprowadzony został w wielu krajach za pamięci ludzi dotąd jeszcze żyjących, tak dalece przyzwyczailiśmy się, który tak się stał pospolicym i, można powiedzieć, jedynym i najgłówniejszym środkiem tego rodzaju, jak gdyby był znany i praktykowany od niepamiętnych czasów. Wielkie odkrycie zapowiedziane przez Edisona, ale dotąd jeszcze nie wyjaśnione, nie tylko poruszyło cały świat spekulantów i finansistów, ale jeszcze, jak powiada Stone w znakomitej swój rozprawie *Światło elektryczne* ¹⁾, a z której wyjmujemy niektóre szczegóły do obecnego naszego sprawozdania, obudziło w konsumencie nadzieję, że w części lub w zupełności zdoła się wyemancypować z pod wpływu jednego ze swoich dawnych tyranów, podstawiając natomiast inną nieskończenie wyższą metodę oświetlania. Oby te słowa uczonego Anglika sprawdziły się rychło, a tém samém pozwoliły i nam uwolnić się z pod wpływu Towarzystwa Dessauskiego!

Światło elektryczne, które obecnie budzi w świecie przemysłowym i pomiędzy ludźmi naukowymi takie zajęcie, nie jest wcale, ściśle mówiąc, nowym wynalazkiem. Wytworzył je po raz pierwszy sir Humphry Davy, przy pomocy potężnej swojej baterji, na początku bieżącego stulecia. Wielki impuls dany został tym badaniom przez Faradaya w roku 1831, w skutek odkrycia indukcji prądów za pomocą magnesów, co pozwoliło obywać się bez kosztownej i wiele miejsca zajmującej baterji, i maszyny tego rodzaju zbudowane zostały w roku 1849 przez Holmes'a, oraz przez Towarzystwo bezimiennie Paryzkie. Prąd powstaje w nich z armatury, obracających się przed stałemi magnesami, a które umieszczone są wokoło symetrycznie. Przyrządy te wszakże były wielkie i kosztowne, a nadto magnesy w nich z biegiem czasu traciły swoją siłę, i dla tego niewielkie znajdowały zastosowanie, nawet pod zmienioną formą, jaką im w następstwie nadał de Meritens.

Wielkiego kroku naprzód na tém polu dokonali w r. 1867 sir C. Wheatstone, dr. Siemens i Varley. Wykazaném zostało, że w razie użycia miękkiego żelaza do spełniania funkcji elektromagnesu, zamiast magnesu stałego, jak to bywało w dawnych machinach, ma-

¹⁾ *The Electric Light*, by W. H. Stone, M. D. London 1879 r.

ła ilość magnetyzmu zawsze utajonego w żelazie, zwłaszcza jeżeli raz było namagnesowane, wywołuje stałe prądy przez indukcją, które, puszczone przez magnes po otaczającym drucie, zwiększają swą siłę i siłę magnesu, i takim sposobem, przez szereg kolejnych wzajemnych oddziaływań, następuje silne namagnesowanie i powstają bardzo potężne prądy. Maszyny zbudowane na tej zasadzie nazwane zostały maszynami *dynamo-elektrycznymi*, która to nazwa wskazuje, że siła dynamiczna przechodzi tu w elektryczność. Dawniejszego kształtu maszyny, w których używają się stałe magnesy, zatrzymały nazwę *magneto-elektrycznych*.

Odkrycie powyższe, zwiększając znakomicie siłę maszyn elektrycznych, doprowadziło do odpowiedniego zmniejszenia ich rozmiarów, a tem samém i ceny. Najwięcej znane maszyny tego rodzaju zbudowali Siemens i Gramme. Nie mówiliśmy dotąd o nich dla tego, że nie było w praktyce jeszcze bezpośredniego i płodnego w następstwie ich zastosowania i nie uważaliśmy za właściwe zapełniać szczupłe ramy naszych sprawozdań w *Bibliotece* ich opisem. Obecnie wielkie ulepszenia i projektowane zastosowania na tem polu zmuszają nas do dotknięcia z lekka tej kwestyi.

W armaturze czyli cewce indukcyjnej pierwszej z tych maszyn, drut nawinięty jest w kierunku długości, czyli równoległe do osi obrotu; obraca się między półkolistymi przedłużeniami wielkich płaskich elektromagnesów, umieszczonych po obu stronach; ich biegun północny jest tuż nad osią, południowy pod osią cewki. Zazwyczaj konstrukcja tych maszyn pod względem wielkości bywa trójaka: najmniejsza kosztuje około 700 rubli, daje 850 obrotów na minutę, a jej siła oświetlająca wyrównywa sile 1200 świec. Siła oświetlająca dwóch większych rozmiarów maszyn tego rodzaju wynosi 6000 i 14000 świec.

Maszyna, jaką zbudował Gramme, składa się z cewki indukcyjnej mającej cylinder żelazny, obracający się między parą elektromagnesów. Cylinder ten obwinięty jest wokoło pewną liczbą poprzecznych drutów, z których każdy prowadzi elektryczność w jednym stałym kierunku. Siła oświetlająca tej maszyny, budowanej również w trójakić wielkości, jest nawet stosunkowo znaczniejsza od poprzedzającej i wynosi odpowiednio 2000, 6000 i 15000 świec pod względem jasności.

Przyrząd w mowie będący uważany był dotąd ze względu na światła pojedyncze; wszakże znakomita korzyść wynika z rozdzielenia prądu w ten sposób, aby wytworzyć pewną liczbę światel, zamiast jednego. Zagadnienie to, po dwudziestu latach mozolnych poszukiwań, rozwiązali niedawno w praktyce panowie Jabłockow i Gramme z jedną, a Lontin z drugiej strony. W obu razach strumienie pracują nie ciągle, ale naprzemian. Tak zwana *świeca* Jabłockowa wymaga koniecznie tego warunku dla wywołania równego palenia się dwóch równoległych pręcików węgla. Maszyna Gramme'a musiała

być zatem zmodyfikowaną, w odpowiedni sposób, aby zadość uczynić tej konieczności.

Przyrząd Lontin'a składa się z dwu machin, z których jedna zowie się generatorem, ale opis jego zmuszeni jesteśmy pominąć na tém miejscu. Powiemy tylko, że zazwyczaj ma 24 krążki, które będąc połączone w pary, tworzą 12 okręgów przewodnich i mogą zasilać 12 oddzielnych świeateł, albo też jedną tylko lampę.

Liczba świeateł, wytworzonych przez jedną z tych machin, których siła oświetlająca na drodze żelaznej zachodniej francuzkiej (Chemins de fer de l'Ouest) równa się, co do natężenia swego, 12000 świeatom, zmienia się od 6 do 12. Na stacyi drogi żelaznej w Lyonie, która idzie z Paryża na Lyon do morza Śródziemnego (Paris-Lyon-Méditerranée), machina tego rodzaju zasila światłem 30 lamp.

Rzuciwszy ten ogólny szkic, potrzebny do zrozumienia zasady działania przyrządów tego rodzaju, powiedzmy słówko o systemie Jabłoczkowa.

Wiadomo, że w używanym na ten cel węglu, cząstki tego ostatniego wymieniają swoje miejsce, odrywają się, w skutek czego pomiędzy dwoma kawałkami węgla powstaje przerwa. Dla zapobieżenia temu, wynajdywano rozmaite regulatory, które wszystkie były zazwyczaj mniej lub więcej skomplikowane. Pod tym względem wielkie ulepszenie wprowadził Jabłoczkow, którego przyrząd, przedstawiony w roku zeszłym na wystawie powszechnej w Paryżu, zyskał powszechne uznanie.

W systemie Jabłoczkowa kawałki węgla umieszczone są nie naprzeciw siebie, jak to zaznaczyliśmy, ale obok siebie, to jest równolegle; w skutek czego odległość pomiędzy nimi jest zawsze jednakowa, bez względu na ich zmniejszanie się czyli zużywanie. Tak więc, tak zwane „świeće elektryczne” Jabłoczkowa stanowią dwa pręciki węglowe, osadzone obok siebie, oddzielone warstwą złego przewodnika (glinki porcelanowej) czyli odosobnione, a to w tym celu, aby prąd galwaniczny przeskakiwał dopiero na końcu węgla, gdzie, dla ułatwienia mu tego przejścia, pomieszczona jest mała blaszka grafitowa. Tym sposobem powstaje łuk świetlny, który już przy sile prądu, odpowiadającej 20—25 elementom Bunsena, daje bardzo jasne światło.

Z pomiędzy nowych systemów zasługują na uwagę te, których autorami są: Rapieff, Renier, Werdermann, Wallace, Farmer i wielu innych.

Rapieff wyrzucił odosabiającą warstwę glinki oraz wspomnianą blaszkę, czyli mostek grafitowy, uważając lampę Jabłoczkowa za zbyt skomplikowaną. Dwa ołówki węglowe oparł o siebie nakształt krokwi, dodając jeszcze śrubkę, za przykręceniem której można zbliżyć do siebie końce węgla w razie ich oddalenia się.

Renier jeszcze bardziej uprościł konstrukcją przez usunięcie śrubki, o której wyżej wspomnieliśmy, opierając się na tej zasadzie, że w danym przypadku sama siła ciężkości, przy stosowném urządzeniu,

zastąpić może tę śrubkę. Opis zmodyfikowanej w ten sposób lampy pomijamy, dodając tylko, że u niego cienki pręcik węglowy kończy się u dołu krążkiem węglowym, i że, z powodu znacznej cienkości tego pręcika węglowego, liczba elementów stosu może być bardzo zmniejszoną, a pomimo to wytwarzany prąd będzie jeszcze dosyć silny, aby pod jego działaniem powstawało dostateczne światło.

Świeca Werdermanna opiera się na zupełnie innej zasadzie. Kiedy w lampie elektrycznej używają się elektrody, mające tę samą powierzchnię przecięcia w punktach, między którymi przechodzi łuk Volty, zachodzą zmiany, przyczém wydrążenie powstaje w elektrodzie dodatnim, który wysyła światło; wydrążenie samo ogrzewa się przez prąd do białości, a część otaczająca do ciemnej czerwoności. Elektrod ujemny przybiera kształt stożka, ogrzewa się zaledwie do czerwoności, wydając bardzo słabe światło. Przekonano się, że zwiększenie powierzchni przecięcia elektrody dodatniego zmniejsza światło wydawane przez ten elektrod, i jeżeli to zwiększenie iść będzie stopniowo, światło zupełnie zniknie, podczas gdy działanie ogrzewające na elektrodzie ujemnym zwiększa się dotąd, dopóki nie zacznie wydzielać się światło. Z drugiej strony, zwiększając powierzchnię przecięcia elektrody ujemnego, spostrzegamy, że działanie ogrzewające zmniejsza się proporcjonalnie do wzrostu jego powierzchni, aż w końcu zupełnie znika, i następne zużywanie się tego elektrodu zaledwie daje się dostrzedz. Przeciwnie światło wydawane przez elektrod dodatni zwiększa się proporcjonalnie do różnicy pomiędzy powierzchniami przecięcia obu elektrodów, i zamiast utworzenia się krateru, czyli wydrążenia, w węglu dodatnim, powstaje kształt stożka takiego, jaki poprzednio tworzył się na elektrodzie ujemnym. Im większą jest różnica między powierzchniami dwóch węgli, tém większą jest długość powstającego między nimi łuku Volty, aż w końcu światło powstaje przez węgle prawie się dotykające, i małą warstwę grafitu widać na elektrodzie ujemnym. Ta warstwa wynosi około $\frac{1}{4}$ przecięcia węgla dodatniego, a około $\frac{1}{8}$ cala wysokości.

Werdermann tedy umieszcza u góry węgiel ujemny w postaci krążka, mającego 2 cale średnicy, a 1 cal grubości. Dolny elektrod ujemny stanowi mały ołówek węglowy mający 3 milimetry średnicy i odpowiednią długość. Ślizga się on pionowo w rurce pod krążkiem, odsuwając się od niego około na $\frac{3}{4}$ cala i cała długość ta jest rozpalona do białości w czasie przechodu prądu. Węgłe utrzymywane są w zetknięciu przy pomocy łańcuszków, albo zapomocą ciężaru około $1\frac{1}{2}$ funta wynoszącego, który ciśnie na nie dla wywołania zetknięcia się. Takim sposobem powstaje i tu świetlny łuk Volty ¹⁾.

Machina dynamo-elektryczna, której wynalazcami są Wallace i Farmer, na równi z machiną Brusha znalazła opiekę w Ameryce Północnej, podobnie jak maszyny Siemens'a i Gramme'a mają popar-

¹⁾ *Comptes Rendus*, Décembre, 1878.

cie i uznanie w Anglii. Lampa w niej przedstawia specyjalną formę. Ma podstawę mosiężną, utrzymującą dwa węgle w postaci tablic 9 cali długości a 3 cale szerokości; wierzchnia, czyli dodatnia, jest $\frac{1}{2}$ cala gruba, dolna czyli ujemna, ma grubości $\frac{1}{4}$ cala. Górny węgiel może się odsunąć od dolnego na pewną odpowiednią odległość, a tym sposobem powstaje łuk świetlny. Kiedy lampa nie jest w używaniu, węgiel wierzchni styka się z dolnym; ale działanie prądu podnosi go na $\frac{1}{8}$ cala i takim sposobem powstaje łuk świetlny. Łuk już to sam powstaje w punkcie najniższego oporu, już też może być wywołany przez włożenie na chwilę metalowego przewodnika pomiędzy dwa brzegi węgla. Raz wywołany, istnieje na tym punkcie dopóty, dopóki skutkiem zużycia węgla, nie nastąpi rozszerzenie do tego stopnia, iż prąd znajdzie w sąsiedztwie krótszą i mniej oporu przedstawiającą drogę. Tym sposobem ów łuk świetlny wędruje powoli wzdłuż całego brzegu węgla, a kiedy dosięgnie drugiego końca, obraca się i odbywa podobną podróż w kierunku przeciwnym. Takim sposobem światło może być utrzymywane przez 100 godzin bez zmiany węgla, a koszt wynosi około jednego pensa (przy dzisiejszym kursie około 8 groszy) na godzinę. Nie ulega wątpliwości, że jeżeli nie chodzi o stałość położenia łuku świetlnego, to opisana wyżej metoda wytwarzania światła elektrycznego jest tania i prosta. Ladd et Comp., jedyni agenci na W. Brytanię, w składzie swoim wystawionej lampie tego rodzaju dali nazwę „lampy roboczej” (Workman's Lamp).

Jednym z najważniejszych punktów przy rozbiorze ekonomicznego użytkowania światła elektrycznego jest siła poruszająca. Wielki zarzut, jaki można uczynić wszelkim dawnym systemom użytkowania elektryczności, już to jako siły poruszającej, już to jako źródła światła, leży w tém, iż niezwracano na tę kwestyę należytej uwagi. Wynalazek machin dynamo-elektrycznych wykazał, że ruch otrzymany bez nadzwyczajnego zużycia materiału, przy pomocy maszyny parowej, z tak taniego i obfitego materiału opałowego jak węgiel, mógł być ekonomicznie zamieniony na elektryczność, co do ustanowienia porównania finansowego pomiędzy gazem a łukiem elektrycznym. Nawet pewna widoczna niekorzyść jest po stronie tego ostatniego, a to z powodu dodatkowej zamiany siły, dla kompensaty, na ciepło i tarcie, jakie koniecznie powstają. Inna trudność, dotąd jeszcze niepokonana, powstaje z tego powodu, że elektryczność, jako źródło światła powstającego przy natężoném i gwałtowném działaniu, trudno jest wytwarzać w małych ilościach, i niełatwo również rozdzielić, kiedy raz zostanie utworzoną.

Pierwsza myśl, jaka nasuwa się pod uwagę przy tych motorach, jest użytkowanie wielkich zapasów siły, używającej się bezużytecznie w wodach bieżących pod formą rzek, katarakt, oraz przyptywów i odpływów morza. Zasluguje na uwagę, że ta kopalnia, że tak powiemy, energii potencjalnej ¹⁾, czyli siły ukrytej, która każdej chwili może

¹⁾ Dla objaśnienia czytelników w téj kwestyi, powołujemy się na roz-

wystąpić do działania, była wcześniej obrabianą, w celu zastosowania jęj tak do oświetlania, jak również i jako siły poruszającej, przez instykt mechaniczny, że tak powiemy, wielkiego inżyniera. Bardzo ważne zastosowanie prądu elektrycznego, jak powiada dziennik angielski *Daily Telegraph*, dokonywa się obecnie przez sir Williama Armstronga, w jego majątku, położonym o 14 mil ang. od Newcastle-on-Tyne. Siła tkwiąca w masie wody spadającej przy wypływie jęj z jeziora Northumberlandzkiego, zużytkowaną została przez położenie turbiny (rodzaju koła wodnego), za pomocą której nadaje się wymagany obrót maszynie dynamo-elektrycznej. Wytwarzany w ten sposób prąd elektryczny prowadzi się po silnym drucie miedzianym do prywatnego mieszkania S. W. Armstronga w Cragside, w odległości około 1½ mili ang. Prąd prowadzony jest następnie przez lampę, zbudowaną według planu Siemens'a, w której jednostajne światło utrzymuje się przy pomocy mechanizmu zegarowego, kontrolowanego przez elektromagnes. Ten ostatni odbija tak mocniejszy jak i słabszy prąd, a tym sposobem reguluje odległość pomiędzy końcami elektrodów węglowych. Doświadczenie wykazało potrzebę zaprowadzenia drugiego drutu do przyjmowania prądu powrotnego, w skutek czego pierwszy koszt światła jest cokolwiek zawielki; ale jeżeli potrącimy koszt samego zaprowadzenia przyrządów, to wydatek zwykły będzie bardzo mały. Światło używane jest do oświetlania galeryi obrazów w Cragside, i wykazało nadzwyczaj dobry rezultat nietylko pod względem ilości wywiązywanego światła, ale i pod względem czystości jego koloru. W dodatku do tego użytku z prądu elektrycznego, jako źródła światła, sir W. Armstrong zamierza skorzystać z siły przeprowadzonej w ten sposób do swojego domu, dla zastosowania jęj do różnych domowych usług. Ma to być wykonane za pomocą maszyny elektrycznej, pomieszczonej w samym domu, albo też w bliskości jego, a któraby odbierała prąd przeprowadzany od maszyny ustawionej przy jeziorze. Ten przykład zamiany i przeprowadzenia siły obudził szczególny interes pomiędzy myślącymi ludźmi, a odległość 1½ mili dostatecznie wskazuje nierównie rozleglejszą sferę działania dla prądu elektrycznego, aniżeli dotąd sądzono.

Tuż po motorach hydraulicznych idzie machina parowa w tęj lub owęj formie. Shoolbred zwraca uwagę na ważny punkt jednostajności ruchu, nietylko w ciągu każdego obrotu, ale również podczas kolejnych obrotów. Zaznacza zwykłe ostrożności przy podwójnych cylindrach, wahaczach (*fly-wheels*) i t. p. Gdzie potrzeba niewielkiej siły poruszającej, t. j. do 10 koni, machina taka jest odpowiednią.

bior nasz książki prof. B. Stewarta *Zasady zachowania energii*, w przekładzie polskim prof. Kwietniewskiego, któryśmy przed trzema laty zamieścili w *Bibliotece Warszawskiej*, gdyż nie możemy tu objaśniać szczegółowo tęj kwestyi, raz dlatego, aby się nie powtarzać, jak również i z tego powodu, że nam na to miejsce nie pozwala.

Co się tyczy kosztu oświetlania elektrycznego, Shoobred czytał bardzo ciekawą sprawę w dniu 5 grudnia r. z., na posiedzeniu Towarzystwa *Society of Arts*. Pomijamy wywody czysto teoretyczne, które nieodpowiadałyby zakresowi i naturze naszych artykułów przyrodniczych, a przytoczymy tylko parę rezultatów praktycznych.

W r. 1877 wykonano szereg doświadczeń z lampą Lontin'a w Paryżu, na dworcu drogi żelaznej, idącej z Paryża na Lyon do morza Śródziemnego. Oświecono stacją pasażerską, a rezultaty otrzymane okazały się tak zadawalające, że Towarzystwo zawarło stały kontrakt z właścicielami światła Lontin'a, o oświetlenie swojej stacji towarowej w Paryżu za pomocą 12 lamp, za cenę 10 sous od lampy na godzinę. Towarzystwo drogi francuskiej zachodniej (*Chemin de fer de l'Ouest*) zaprowadziło 6 lamp Lontin'a na stacji towarowej na dworcu St.-Lazare, od miesiąca maja, i 12 lamp na stacji pasażerskiej od czerwca. Koszt jednak oświetlenia był cokolwiek większy, niż na poprzedniej drodze żelaznej. Co się tyczy światła Jabłoczkowa, Shoobred przedstawił zgromadzeniu niektóre szczegóły, odnoszące się do zastosowania tego światła w Paryżu (*Avenue de l'Opera*), a których dostarczył mu M. J. Allard, naczelny inżynier, zajmujący się oświetlaniem Paryża. Władze płacą Towarzystwu pod firmą *Société Générale d'Electricité*, 37 franków 2 centymów na godzinę za użycie 62 lamp. Te 62 lamp zastępują 344 kinkietów poprzednio używanych. To oświetlenie elektryczne kosztuje przeszło półtrzecia raza więcej niż oświetlenie gazowe. Kontrakt o oświetlenie elektryczne kończył się z dniem 30 listopada, i władze miejskie nie chciały go prolongować, jeżeli cena nie będzie niższa do ceny oświetlenia gazowego (t. j. 7¼ franków na godzinę), i to tylko na pewien ograniczony czas. Warunki te zostały przyjęte przez Towarzystwo. Szereg dokładnych doświadczeń fotometrycznych, dokonanych przez władze miejskie ze światłem Jabłoczkowa, wykazał, że każde nagie światło posiada *maximum* natężenia 300 świec. Z pomocą kuli szklanej zredukowanem zostało do natężenia 180 świec, wykazując tym sposobem stratę 40%.

Shoobred podał tylko dokładnie sprawdzone szczegóły, odnoszące się do różnych systemów oświetlania elektrycznego. Zwrócił jeszcze uwagę, że światło Rapieffa, zastosowane w gmachu, gdzie się mieści administracja dziennika *Times*, funkcjonuje dobrze i łagodnie, czego nie można powiedzieć o wielu innych.

Prawdziwy użytek i zastosowanie światła elektrycznego są obecnie dostatecznie określone. Do oświetlania obszernych powierzchni i wielkich gmachów, światło to ma wartość znakomitą, zwłaszcza przy wyrabianiu giętkiego węgla, co obecnie się dzieje. Taki węgiel ma tę ważną zaletę, że można pomieścić znaczną jego ilość w małej stosunkowo przestrzeni, pod lampą elektryczną, a tym samym przygotować zapas węgla na długi czas. W ten sposób oświetlony jest Pałac Kryształowy.

To ogólne zainteresowanie się światłem elektrycznym wywołało wielki popyt na maszynę Gramme'a. Bo trzeba zwrócić na to uwagę, że w tym razie lampa jest jedną rzeczą, a maszyna do wytwarzania prądu drugą. W niektórych razach maszynę tę można zastąpić bateriami galwanicznymi, jakśmy to wspomnieli wyżej, ale to wtedy, kiedy potrzeba tylko jednego lub dwu światła. Drugim ważnym punktem jest siła potrzebna do poruszania maszyny dynamo elektrycznej. Wspomniany przez nas wyżej fakt użycia przez sir Wiliama Armstronga siły wody do tego celu, jest bardzo pouczający i godny naśladowania. To samo rozumie się o maszynach parowych. Impuls dany w tym kierunku będzie miał za rezultat nowy wynalazek, nową formę maszyny elektro-dynamicznej. Maszyna de Meritens'a, wynaleziona niedawno we Francji, ma wywiązywać trzy razy więcej siły, niż maszyna Gramme'a, t. j. maszyna ta podtrzymuje światło Jabłoczkowa trzy razy łatwiej, ale za to jest dwa razy droższą od téj ostatniej.

Do najświeższych odkryć na tém polu należy światło elektryczne używane w fotografii, a wynalezione przez p. Van der Weyde. W lampie elektrycznej, jaką zbudował Van der Weyde, żaden z promieni światła nie dosięga widza bezpośrednio; promienie przejmowane są przez krążek szkła opalowego, 4 cale średnicy mającego. Promienie zbierają się w reflektorze i wyrzucane zeń bywają pod postacią morza czystego, białego światła, w którym najdelikatniejsze odcienia dają się dokładnie odróżnić. Obecnie zużywanie węgla odbywa się przez nastawianie ręczne, co jest najodpowiedniejsze do celów fotograficznych. Do ogólnego oświetlenia wszakże, Van der Weyde proponuje urządzenia mechaniczne. W samą rzecz nie ma to żadnego wpływu na jego zasadę, jakiegokolwiek przyrządu używa: może brać lampę Serrin'a, Siemens'a, świecę Jabłoczkowa lub inne jakiegokolwiek przyrządy. Zasada jego polega na odcięciu bezpośrednich promieni od przedmiotów, które mają być oświetlone, i otoczeniu ich jedynie białą powłoką światła.

Innym pracownikiem na tém polu, który obecnie prowadzi swoje badania w celu dowiedzenia nieoznaczonego podziału prądu elektrycznego, jest Ant. Arnaud. Wykazał on, że wielka liczba światła elektrycznych może być utrzymana w jednym okręgu, i że zagaszenie kilku pośrednich lamp nie ma żadnego wpływu na pozostałe.

Wilde zaprowadził znakomite uproszczenie w świecy Jabłoczkowa, które pozwala usunąć odosobniającą warstwę glinki kaolinowej. W sprawozdaniu czytanej niedawno na posiedzeniu Towarzystwa naukowego w Manchester (*Manchester Literary and Philosophical Society*), wykazał już fakt, że kiedy światło elektryczne wytwarzane jest z końców dwu ołówków węglowych, pomieszczonych równolegle do siebie, palić się one będą stale od wierzchu aż do dołu, dopóki całe się nie zużyją, bez żadnego odosobniającego materiału, położonego pomiędzy niemi.

Wszystkie rodzaje lamp elektrycznych, tak te, o których wspomnieliśmy wyżej, jak również i te, których opis tu pomijamy, opierają się na dwóch zasadach: rozżarzeniu węgla i przerywania prądu. Przy zastosowaniu tego ostatniego systemu powstaje tak zwany łuk Volty.

Wiadomo z fizyki, że prąd elektryczny wybiera zazwyczaj drogę najkrótszą i do tego tę, która jest najdogodniejszą. Wszakże kiedy ma do wyboru kilka dróg jednakowo krótkich i dogodnych, wtedy rozdziela się na kilka prądów słabszych. Korzystając z tego sposobu zachowania się prądu, można zbudować kilka lamp o świetle łagodniejszym, zamiast jednej nadto jaskrawo świecącej.

Wychodząc z zasady, że lampa, która świeci przez *rozżarzenie*, a nie przez *spalenie* węgla, mogłaby się wcale nie zużywać, dwaj amerykańanie, Sawyer i Man, mieli zbudować lampę elektryczną, która tém byłaby poniekąd pomiędzy lampami, czém przez długie lata napróżno szukane, a dotąd niewynalezione *perpetuum mobile* czyli ruchadło wieczyste między machinami. Wprawdzie nawet w razie zupełnego usunięcia spalania się węgla, pozostaje jeszcze inna forma jego zużywania się, a mianowicie ulotnienie. Ale wynalazcy amerykańscy sądzą, że proces ulotniania się jest bez znaczenia i podług ich zdania dosyć jest zapobiedz spalaniu się węgla, czyli jego łączeniu się z tlenem. Cel ten osiągamy, umieszczając węgiel w rurce szklanej wypełnionej azotem, a komunikującej ze zbiornikiem, zawierającym zapas związków chemicznych, które, w razie znalezienia się w rurce gazów podtrzymujących gorzenie, mogłyby bezzwłocznie pochłonąć te gazy. Lampa Sawyera i Mana, po dwumiesięcznym przeszło jój paleniu, nie wykazywała wcale śladów zużywania się węgla.

Jeden z tygodników naukowych amerykańskich ¹⁾ wychodzących w Nowym Yorku, ogłosił przed niezbyt dawnym czasem opis tej ostatniej lampy, która taką miała zwrócić na siebie uwagę, że wynalazcy jój, pp. Sawyer i Man, zamierzają wprowadzić na wielką skalę swój system oświetlania w Nowym Yorku. Ogłoszenia wszakże pism amerykańskich o naukowych odkryciach w ogóle bardzo ostrożnie przyjmować należy, bo w ojczyźnie Yankesów humbug częstokroć puszczany bywa w świat w miejsce dobrej monety, a liczba sumiennych badaczy, tak poświęconych nauce, jak znakomity wynalazca fonografu mówiącego, jest bardzo ograniczona. Być może, że po publiczném napomnieniu, jakie dał Yankesom znakomity fizyk angielski Tyndall, w swoich „Lectures on Light” (które wygłosił przed kilkoma laty w Nowym Yorku, żądając od nich, aby nigdy nie stawiali pytania geniuszowi naukowemu: „na co się nam to przyda?”), być może, powtarzamy, że Amerykanie skorzystali już z tej przestrogi uczonego Anglika; w każdym razie przesadzono ich opisy tej nowo wynalezionj lampy trwałej nie budzą wielkiego zaufania. Gdyby się jednak okazały zgodne z rze-

¹⁾ „Scientific American,” a Weekly Journal of Practical Information, Art, Science, Mechanics, Chemistry and Manufactures.

czywistością, lampa pp. Sawyera i Mana miałyby nad innymi tę jeszcze korzyść, nadzwyczaj ważną ze stanowiska higienicznego, że nie wytwarzają związków chemicznych, które szkodliwie działają na organizm ludzki przez zanieczyszczanie powietrza.

Urządzenie lampy trwałej Sawyera i Mana jest następujące: u góry ustawiona w poziomym kierunku pałeczka węgla rozpala się do białości skutkiem działania prądu elektrycznego, który idzie od dołu. Umieszczone pod palącym się węglem, trzy płaskie krążki osłaniają dolną część przyrządu od niepotrzebnego promieniowania ciepła, do czego przyczyniają się ustawione w kształcie śrub przewodniki miedziane. Rurka szklana, zawierająca w sobie płomień, zamknięta jest jak najszczelniej i wypełniona czystym azotem. Osłonięty w ten sposób od przystępu powietrza, węgiel wcale utlenieniu nie ulega. Za pomocą szczególnego mechanizmu, którego nie możemy opisywać na tym miejscu, prąd jest ciągle utrzymywany w jednakowym napięciu, co nie powoduje niespodziewanego rozgrzewania się i pęknięcia węgla. Każda lampa tego systemu musi mieć oddzielny swój przyrząd do kontrolowania światła, w którym, w razie obrócenia klucza, przesuwa się dowolnie ruchoma blaszka, podnosząca i zniżająca światło.

Opis nowego telegrafu piszącego zamieściło niedawno czasopismo angielskie „Engineering,” a powtórzyły go inne pisma ¹⁾.

Za pomocą tak zwanego *pióra telegraficznego*, wynalezionego przez Cowpera, powiada rzeczony organ, ekspedytor pisze depeszę na kawałku papieru piórem zwyczajnym i depesza ta jednocześnie, w miarę pisania, odtwarzana bywa identycznie na innym kawałku papieru, na stacyi odbierającej.

Wynalezienie poprzednio systemy Bakewella, Caselli'ego, Darlincourt'a oraz Mayera, opierające się wszystkie na *współczesności* dwu ruchów zegarowych, podawały tylko kopię depeszy, napisanej poprzednio, gdy tymczasem w przyrządzie Cowpera ekspedytor sam podaje depeszę przez jej napisanie, tak dalece, że gdyby miał dar podwójnego widzenia, mógłby dojrzeć na drugim końcu linii, że pismo jego powstaje na arkuszu przyjmującym, w tej samej chwili, kiedy się kreśli na arkuszu wysyłającym, pomieszczonym pod jego ręką.

Zasada, na której opiera się wynalazek Cowpera, jest bardzo prosta; jestto zasada, która pozwala oznaczyć każdy z punktów krzywej, jeżeli mamy daną jego odległość od osi współrzędnych prostokątnych ²⁾. Według tej zasady, kreślimy na karcie drogę, jaką przebie-

¹⁾ *Illustration*, 8 Marca 1879.

²⁾ W geometryi analitycznej punkt na płaszczyźnie wyznacza się, jak wiadomo, przez odniesienie go do dwóch linii przecinających się na tej płaszczyźnie pod pewnym kątem (zazwyczaj prostym), zwanych osiami współrzędnych; jedna z nich zowie się osią rzędnych, druga osią odciętych. W tym celu prowadzi się z tego punktu dwie linie równoległe do tych osi (jedna zowie się

ga statek, za pomocą szerokości i długości geograficznej. Podobnie dokładne położenie ołówka albo pióra na arkuszu papieru, w czasie pisania listu, może być dokładnie oznaczone według odległości jego od dwóch brzegów arkusza. Jeżeli te odległości mogą być stale przesyłane przez prąd elektryczny, jasną jest rzeczą, że ruch pióra, wysyłającego depeszę będzie mógł być dokładnie odtworzony przez inne pióro, któreby było z niem połączone tym prądem, czyli, co na jedno wychodzi, kiedy pióro kreśli na papierze linię pochyłą, ruch jego rozkłada się na dwa kierunki, jeden z dołu do góry, drugi od ręki lewej ku prawej, przyczem następuje jednocześnie oddalenie od lewego i od dolnego brzegu papieru. Zadanie zatem sprowadza się do przesłania tego podwójnego ruchu do pióra odbierającego, któreby nakreśliło ściśle tę samą kreskę, co pierwsze.

Dla otrzymania tego rezultatu, wynalazca używa dwóch przewodników telegraficznych, z których każdy ma oddzielny swój drut, stos, manipulator i odbieracz. Jeden z tych dwóch przewodników służy do przesyłania kierunków pionowych, z dołu do góry i z góry do dołu; drugi do przesyłania kierunków poziomych, od strony lewej ku prawej i odwrotnie. Podług tego wszystkie ruchy pochyłe pióra są to siły wypadkowe dwóch tych kierunków, i dosyć jest rozłożyć je w chwili, kiedy się wykonywają na piórze pierwszym, przesyłającym depeszę, a następnie złożyć je, aby odtworzyć te ruchy na piórze odbierającym. Ta podwójna czynność wykonywa się za pomocą mechanizmu, składającego się z szeregu drążków i podobnego do pantografu, który, jak wiadomo, służy do kopiowania rysunków i znany jest wszystkim rysownikom.

Przechodzimy z kolei do objaśnienia i opisu samego przyrządu.

Przy pisaniu depeszy na arkuszu papieru, ten ostatni posuwa się od ręki prawej ku lewej, ruchem jednostajnym, przy pomocy mechanizmu zegarowego. Do tego pióra przymocowane są, pod kątami prostymi, dwa drążki, z których każdy odpowiada jednemu z dwóch przewodników. Weźmy pod uwagę drążek, który odbiera impuls w kierunku pionowym. Jeden z biegunów stosu łączy się z ziemią, drugi z ramieniem drążka. Ten ostatni urządzony jest w taki sposób, iż może się ślizgać po szeregu blaszek, odosobnionych papierem parafinowym. Pomiędzy każdą parą blaszek znajduje się cewka oporna. Ostatnia cewka tego szeregu połączona jest z drutem przewodnikowym za pomocą ostatniej blaszki.

Jasna rzecz, że w miarę jak drążek posunie się z dołu do góry, prąd stosu będzie miał do przebieżenia mniejszą liczbę cewek opornych, a tym samym ilość elektryczności, przechodząca po przewodniku, będzie coraz silniejsza, a w skutek tego cały ruch z dołu do góry drążka, a tym samym pióra, spowoduje przyrost prądu na przewodniku.

rzędną, druga odciętą), mierzy ich długość; mając te dwie długości znajdziemy łatwo punkt, któremu one odpowiadają.

Jeżeli pióro robi wielką kreskę pionową, przewodnik otrzyma strumień silniejszy; jeżeli małą kreskę, strumień będzie słabszy.

Zobaczymy, co się dzieje na stacyi odbierającej. Strumienie przesłane przez oba przewodniki przybywają tam na stacyą do dwóch galwanoskopów. Każdy z tych dwu galwanoskopów opatrzone jest igłą wielkich rozmiarów, z których każda, pełniąc funkcją drażka pantografu, połączona jest z piórem odbierającym. Im silniejszy jest strumień, przybywający do galwanometrów, tém bardziej oddalają się igły, a pióro na stacyi odbierającej posuwane jest w kierunku pionowym, albo w poziomym. A ponieważ ta większa lub mniejsza siła strumieni powodowana jest przez ruchy pióra na stacyi wysyłającej, to ruchy te będą identycznie odtwarzane przez pióro stacyi odbierającej.

Taką jest ogólna zasada tego dowcipnego systemu telegrafu piszącego Cowpera, według sprawozdania wspomnianego wyżej czasopisma, z którego treść wzięliśmy do naszego obecnego artykułu. System ten, który funkcjonował z zupełnym powodzeniem na linii 60 kilometrów dłużej, pozwala przesyłać na znaczną odległość rysunek i znaki stenograficzne z taką samą łatwością co i pismo zwyczajne, a z tego powodu może znaleźć bardzo wielkie zastosowanie w praktyce.

Podobizna przesłanej depechy, do jednego z pism angielskich, zawierający wyrazy: „Telegram od naszego własnego korespondenta” (*Telegram of our own correspondent*), wykazuje, że przyrząd ten odtwarza najdelikatniejsze sztrychy jaknajdokładniej i najwierniej.

* * *

Rezultaty badań profesora Mantegazza nad zębami trzonowemi u człowieka, któremi zajmował się między innymi i K. Darwin w dziele swojem: *Descent of Man and Selection in Relation to Sex*, ogłoszone zostały niedawno w rozprawie: *Il terzo molare nelle razze umani*, pomieszczonej w czasopiśmie: *Archivio per l'Antropologia*. Poszukiwania te przedsięwzięte były przez uczonego profesora włoskiego, w celu sprawdzenia wypowiedzianego przez Darwina, w przytoczonym wyżej dziele, poglądu, że zęby tylne trzonowe, czyli zęby mądrości, dążą do stania się szczątkowymi organami u plemion więcej ucywilizowanych ¹⁾, a liczny zbiór kraniologiczny w Muzeum narodowem we Florencyi, starannie zbadany przez prof. Mantegazza, dostarczył bogatych materiałów do oparcia na nich wypowiedzianej opinii. Po odrzuceniu tych czaszek, które były zastare, zamłode, albo téż zbyt niezupełne, aby mogły dostarczyć zasadnych wniosków, więcej niż 1200 czaszek przeszło przez ręce antropologa włoskiego; pomiędzy nimi 844 należało do ras nowożytnych cywilizowanych, 277 czaszek do ras nowożytnych niższych, pozostałe zaś 128 należało do Rzymian, Etrusków, Fenicyan i innych narodów świata starożytnego.

¹⁾ „The posterior molar or wisdom-teeth, powiada w cytowanym dziele Darwin, were tending to become rudimentary in the more civilised races of man.”

Z badania tych czaszek, Mantegazza znalazł, że zębów mądrości brak częściej u ludów wyższych ras, niż niższych, i że stosunek ten wynosi w pierwszym razie 42.42^o%, w drugim zaś 19.84^o%, a rezultaty te zgadzają się w zupełności z poglądem Darwina. Mantegazza wszakże znajduje, że zanikanie trzeciego zębu trzonowego zdarza się rzadziej w rasach wyższych, niż niższych, i że stosunek w tym razie jest 10.90^o% w wyższych do 20.38^o% w niższych rasach. Podczas gdy u tych ostatnich przypadki anormalne i normalne są prawie sobie równe (cyfry otrzymane są 50.44 i 49.56), u ras wyższych normalny ma się inaczej, gdzie bywa 62.91^o% zębów anormalnych, a 37.09^o% normalnych. Czaszki typów starożytnych pośrednie zajmują miejsce pomiędzy rasami wyższymi i niższymi czasów nowszych; 27.34^o% czaszek bywa takich, w których brak trzecich zębów trzonowych, a 16.41^o% takich, w których zanikły. Co się tyczy liczby odnóg, jakie posiadają zęby mądrości, badania prof. Mantegazza wykazują, że zęby te mają trzy korzenie w 51.35^o% czaszek wyższych ras nowożytnych, w 45.20^o% niższych ras nowożytnych, oraz w 46.43^o% typów dawnych. Podczas gdy zęby mądrości o 4 i 2 odnogach, jak znaleziono, były pospolitsze u nowożytnych ras wyższych, niż u innych, zęby mające tylko jeden korzeń częstsze są u typów niższych i w jednym tylko przypadku znaleziony był ząb mądrości o 5 odnogach, należący do czaszki nowożytniej wyższego typu. Jako prawie niezmiennie prawdziwe, znaleziono, że trzeci ząb trzonowy dolnej szczęki posiadał dwa korzenie, jakkolwiek czasami zauważyć można było 4 korzenie u typów wyższych. Rezultat badań profesora Mantegazza popiera pogląd wypowiedziany przez K. Darwina i skłania go do utrzymywania, że w przyszłości trzeci ząb trzonowy zupełnie zniknie ze szczęki ludzkiej.

*

*

W artykule zamieszczonym w jednym z czasopism antropologicznych ¹⁾, H. C. Sorby opisał rezultaty badań nad oddzieleniem pigmentów, zawartych we włosach ludzkich. Poszukiwania chemiczne i spektroskopowe doprowadziły go do wniosku, że włos jestto substancja rogową bezbarwną, a kolor jego w rozmaitych okazach pochodzi od obecności trzech czy też czterech odrębnych ciał pigmentowych. Te pigmenty, osłaniane przez materią rogową włosów, nie ulegają działaniu wody, alkoholu i innych zwykłych płynów, i kwas siarczany, więcej lub mniej rozcieńczony, okazał się najlepszym środkiem do rozdzielania tych barwników, chociaż możliwą jest rzeczą, że pod jego działaniem mógł nastąpić rozkład i utworzyć się produkta, których pierwotnie nie było we włosach. Z rozmaitych gatunków włosów ludzkich, które badał Sorby, otrzymał barwnik czerwony, żółty i czarny, z których pierwszy, t. j. czerwony (*reddish*), może prawdopodobnie przechodzić w żółty, skutkiem procesu utleniania. We włosach jasno czerwonych, składnik czerwony, jak znalazł Sorby, był wolny od innych

¹⁾ *Journal of the Anthropological Institute*, August, 1878.

pigmentów, podczas gdy ciemno-czerwone włosy zawierały pewien stosunek barwnika czarnego. Włos złoty zawiera mniej pigmentu czerwonego, a więcej złotego, podczas gdy we włosie odcienia piaskowego do barwników czerwonego i czarnego, dołącza się wielka ilość złotego, a w ciemnym przeważa pierwiastek czarny; złoty zaś i czerwony są w bardzo małej ilości, a nakoniec we włosie czarnym dwa te ostatnie pierwiastki zupełnie znikają i zastąpione zostają barwnikiem czarnym. W niektórych jednak przypadkach, jak np. w czarnym włosie murzyna, barwnikowi czarnemu towarzyszy pewna ilość pigmentu czerwonego, równa téj, jaką znaleziono w jasno-czerwonym włosie Europejczyków, co prowadzi do wniosku, że gdyby kiedy, z jakiegokolwiek przyczyny, zniknął w nim zapas pigmentu czarnego, włos murzyna, zamiast być białym, byłby tak jasno czerwonym, jak włos najwybitniejszego typu celtyckiego.

*

*

Zazwyczaj jesteśmy bardzo ogólni w podawaniu odkryć z dziedziny nauk, zwłaszcza gdy te odkrycia nie mają ogólniejszego znaczenia, aby przytaczaniem suchych faktów, których zazwyczaj bywa wielka liczba, nie nadużywać cierpliwości czytelników. Obecnie robimy wyjątek od tego, gdyż tu chodzi o trzy nowoodkryte pierwiastki chemiczne.

Delafontaine zawiadamia o odkryciu dwu takich pierwiastków, które otrzymały nazwy: *philippium* i *decipium*. Pierwszy z nich znaleziony został w minerale samarskie z Karoliny północnej; jego tlenek jest koloru złotego, a waga pośrednia pomiędzy tlenkami *yttrium* i *terbium*. Delafontaine przekonał się, że nie jest on mieszaniną tych ostatnich ciał i daje temu nowemu metalowi (gdyż oba odkryte ciała są pierwiastkami metalicznymi) nazwę *philippium*, na cześć jego wynalazcy Filipa Plantamour z Genewy.

W dwa tygodnie po ogłoszeniu téj wiadomości, Delafontaine zakomunikował ¹⁾ o odkryciu w tymże samarskie drugiego metalu, i temu nowemu metalowi nadał nazwę *decipium*.

Opis własności tych metali, t. j. zachowanie się ich względem pewnych odczynników, nie wchodzi w zakres naszego artykułu. Notujemy tylko fakt samego odkrycia.

Takim sposobem w skład samarskitu z Karoliny północnej wchodziłyby tlenki 6 metali (yttrium, erbium, philippium, terbium, decidium, thorium, didymium i cerium).

J. L. Smith odkrył w samarskie z Karoliny zachodniej nowy metal, któremu dał nazwę *mosandrum*. Odkrycie to dokonane podobno jeszcze przed rokiem i ogłoszone było w pismach publicznych w Filadelfii, w maju roku zeszłego. Wszakże z opozycją wystąpił Margnac, nie znajdując w przytaczanych przez Smitha reakcyach (a które na tém miejscu pomijamy, jako mogące obchodzić tylko specyjalis-

¹⁾ *Comptes Rendus*, 1878 r., pag. 632.

tów) dostatecznych danych do odróżniania tlenku tego nowego metalu od tlenku terbu.

Takim sposobem liczba ciał prostych, czyli pierwiastków chemicznych (mieliśmy ich dotąd sześćdziesiąt kilka) zwiększoną została trzema nowymi pierwiastkami metalicznymi. Kwestya jednak odkrywania nowych i do tego rzadkich pierwiastków traci na znaczeniu wobec podniesionej kwestyi przez Normana Lockyera na zasadzie dokonywanych badań spektroskopowych, że tak zwane dotąd pierwiastki chemiczne są ciałami złożonemi. Na posiedzeniu Towarzystwa królewskiego (*Royal Society*) z d. 12 grudnia r. z. (astronom ten obecnie jeden z znakomitszych), odczytał ciekawą rozprawę: *O naturze pierwiastków chemicznych* ¹⁾, roztrząsając w niej dowody, otrzymane z badań spektroskopowych nad słońcem i gwiazdami, a które mają upoważniać do wniosku, że t. z. pierwiastki chemiczne są w rzeczywistości ciałami złożonemi. Ale o tém w następnym artykule.

T. Skomorowski.

KRONIKA PARYZKA,

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Kurs profesora Chodźki w kolegium francuzkiem: *Historya i pieśni Bulgarów*.—Odczyt p. Michała Żmigrodzkiego w Towarzystwie historyczno-literackiem: *Historya cywilizacji Polski w pierwszej epoce jęj istnienia*.—Przekład Boskiej komedyi na francuzki język średnich wieków, przez Littrego.—Nowe poezycy Wiktora Hugo: *La pitié suprême*.—*Methodes Teleologique de H. Wronski*, przez Bukatego.—*Yamato* dramat japoński p. Maeda.—Artysta dramatyczny Dutertre (Bolesław Pluciński).—*Przygody Władysława Bolskiego*, dramat Cherbulier'a.—*L'ennemi des femmes*, powieść osnuta na tle życia społeczeństwa pseudo-galicyskiego.—*Fryderyk Chopin*, monografia przez p. Karasowskiego.—*Dwie uroczystości w Towarzystwie Geograficznem: jubileusz Cooka, przyjęcie podróżnika p. Savorgnan de Brazza*.—Odczyt Legouvego w Towarzystwie francuzkiej młodzieży.—Mowa Renana, z powodu przyjęcia do Akademii francuzkiej; odpowiedź Meziera.—Koncerta panien Buleskich, p. Alberta Sowińskiego.

Profesor Aleksander Chodźko obrał w tym roku za przedmiot wykładu z katedry kolegium francuzkiego, historya i poezya Bulgarów: powód wypowiedział w lekcyi wstępnej, której początek dosłownie przytaczamy.

„W ciągu ubiegłego roku spełnił się wypadek nadzwyczaj ważny dla literatury i społecznej przyszłości jednego ludu. Starsza siost-

¹⁾ *On the Nature of the Elements*, by Norm. Lockyer.

ra z rodziny ludów słowiańskich, Bułgarya, przywróconą została Europie chrześcijańskiej. Pięćset dwadzieścia pięć lat jarzma tureckiego, poprzedzonych przez trzywiekowe blisko jarzmo Bizantynów i wewnętrzny chaos, a więc siedm wieków nędzy i poniżenia, ciążyło nad tym narodem, godnym lepszego losu. Bułgarya wyszła dziś na jaw, duch jój ocalał, lecz ciało poranione. Jój szkoły założone w dzieciątym wieku, jeszcze pod opieką chrześcijańskich królów Bułgarii znikły, niezostawiwszy śladu; jój miasta i wieże rozsypują się w gruzy, język jój, który w téj już epoce służył do tłumaczenia Pisma Świętego i autorów greckich, przeżył wprawdzie, lecz zatracił dawne bogactwo pod względem leksykologicznym; stracił przypadkowanie: czasowanie utrzymało się lepiej. Ale rzecz dziwna, wyrazy pozostały w wielkiej części czysto słowiańskimi; naleciałości z języków wprowadzonych kolejno przez obce podboje: z greckiego, tatarskiego, rumuńskiego i tureckiego, są w ogólności mało znaczące. Głównym skarbem, głównym źródłem życia dla masy ludności bułgarskiej, były tradycje chrześcijańskie, któremi wykarmili się w IX-ym i X-ym wieku."

Profesor sięga następnie w głąb' wieków starożytnych, do czasu, kiedy Słowianie ukazują się poraz pierwszy w dziejach, na półwyspie Bałkańskim.

"W ostatnim wieku przed Chrystusem, mówi on, w krajach zwanych dziś Siedmiogrodem, Wołoszczyzną i Mołdawią, zjawia się państwo Daków. Mickiewicz utrzymuje, że ludy zwane przez Rzymian Dakami i Getami, tworzyły jeden lud słowiański. Irecek odpowiada na to, że trudno wyrzec coś stanowczego o jego słowiańskiej narodowości, z powodu niedostatecznych pomników językowych. Twierdzi on, że starożytna Dacya zamieszkaną była przez różne ludy, czego dowodem różnaitość w obyczajach, jak niemniej w orężu niewolników przedstawionych na kolumnie Trajana. Ztąd łatwo wnosić, że na wielkiej przestrzeni dackich posiadłości były téż i kolonie słowiańskie.

"Zajęcie Dacyi przez Rzymian, musiało oddziałać na Słowian. Jest na to wiele dowodów tak w języku jak w podaniach mitologicznych. Weźmy naprzykład wyrażenie *Kolenda*, wyraz ten pochodzi od pogańskiego święta *Calendae*, odpowiedniego co do czasu naszej noworocznej uroczystości. Sobor 691 r. zabronił chrześcijanom święcenia pierwszych dni każdego miesiąca, mianowicie 1 stycznia. Przyjęcie tego wyrazu przez Słowian, pokazuje związek ich z Rzymianami na półwyspie Bałkańskim.

"Imię Trajana, zdobywcy Dacyi (107) spotykamy téż często w powieściach, tak na Ukrainie jak i u Serbów i Bułgarów. Oddawano mu cześć boską; rękopism z XII wieku mówi, że Słowianie czcili Trojana, Chorsa, Welesa i Peruna. Imię Trojana znajduje się i w pieśni o Igorze, z tegoż wieku. W pieśniach bułgarskich car Trajan posiada skarby nieprzebrane: przysyłają mu złoto i srebro z siedmdziesięciu kopalń. Wrotami Żelaznemi Trajana, zowią nad Dunajem miejsce, gdzie według tradycyi był niegdyś most i warowny zamek tegoż nazwiska. W Serbii również pokazują wśród lasu gruzy miasta trajanowego,

a podania serbskie rozpowiadają o jakimś Trajanie, trójgłowym potworze z kozim uchem i woskowemi skrzydły; smok ten podoba sobie w ciemności, lęka się światła, znika skoro zorza zabłyśnie.”

Wszystkie te szczegóły dające pobudkę do nowych badań na półwyspie Bałkańskim, nadzwyczaj są ważne dla historii narodu naszego. Wiadomo bowiem, że jakiegokolwiek było pochodzenie owych Daków i Getów, część ich znakomita schroniła się przed napadem rzymskim za Karpaty i tu przyniosła wszystkie tradycje swój ujarzmionej ojczyzny. Właśnie wpatrując się w tę przymuszoną migracją, której dowody widoczne na kolumnie Trajana, uważając z drugiej strony, że w sześćdziesiąt lat po tym wielkim wstrząśnieniu, Getowie uciekają z ujścia Wisły w granice państwa rzymskiego z okrzykiem: *Chleba lub śmierci!* wnoszą niektórzy historycy a szczególnie Duchiniński ¹⁾, że owe ludy wypędzone przez Trajana, musiały być blisko spokrewnione z właściwymi Lechitami, a stąd łatwo się z nimi połączyły i wspólnie z nimi rozpoczęły krwawe zapasy przeciw ludom germańskim. Jakoż w rzeczy samej w końcu II już wieku ery naszej, wiadomo było w Rzymie, że ludy germańskie napadają na cesarstwo, parte przez obce ludy, zwane przez nich *barbarzyńcami północy*. Tymi barbarzyńcami byli właśnie ojcowie nasi. Okrzyk wypłoszonych znad Wisły Gotów: *Chleba albo śmierci!* był pierwszą oznaką, silnie rozbudzonego życia w Lechitach nadwiślańskich.

Odtąd życie to nie ustaje, przeciwnie, objawia się coraz silniej, a silniej. Z jednej strony Lechici podbijają kraje połabskie, płyną aż do Anglii; z drugiej zajmują Bohemią i Morawią, z trzeciej pędzą na Dniepr, zatrzymują się aż na Soży, gdzie jak świadczy Nestor, Radym zatyka sztandar lechicki tak silnie, że fale Warago-Rusów nie zniszczyły pierwotnej tradycyi. Jakoż w XII wieku widzimy ich również jak Polan kijowskich, płacących dań swym normandzkim zdobywcom, a przecież zachowujących swe rodzinne wspomnienia, nawet swoje nazwiska. Kronikarz kijowski, do tych przybyszów lechickich na Dniepr, zalicza i drużyny Wiatka, który w żarliwym zapędzie dosięga aż po Okę. Tu naturalnie, spotyka silny opór w ludach uralskich, mianowicie w Czuwassach czyli Bulgarach. Cito Bulgarowie spędzają wielką część Wiatyczan ze swych siedzib, zmuszają ich do cofnięcia się już nie na Wisłę, lecz ku Bałkanom do Mezyi. Oto jest początek państwa i narodu bułgarsko-słowiańskiego nad Dunajem. Walki bowiem zaczęte nad Oką, trwały przez długie lata i zakończyły się zupełnym podbojem Słowian przez najeźdźców bułgarskich, około VIII wieku.

Badania nad etnografią, mitologią i poezją bułgarską udowodniają coraz lepiej znaną dawno prawdę, że naród ten powstał ze zlewu dwu całkiem odrębnych żywiołów: imno-europejskiego i turańskiego. Ciekawa bardzo walka toczy się dotąd pomiędzy uczonymi, który z dwu

¹⁾ Tegoż zdania byli Lelewel, Bielowski, także W. A. Maciejowski.
P. R. B W.

żywołów przeważył w tym narodzie. Jedni opierając się na języku, a badając go według praw słownikarskich, t. j. materji wyrazów, pokazują przewagę słowiańską; inni biorąc na uwagę sposoby pojmowania i praktykowania idei państwowych, udowodniają przewagę turanizmu. Profesor Chodźko cytuje fakt nadzwyczaj ciekawy, świadczący właśnie o tym dualizmie. Car Krum, jeden z pierwszych władców bułgarskich, zabił cesarza Nicefora, i z jego czaszki kazał wyrobić puhar, którym posługiwał się przy ucztach. Zwyczaj to wprost przeciwny duchowi słowiańskiemu, tak samo jak wiele zwyczajów bułgarskich, właściwych turańskim ludom; tymczasem ów toast zwał się *zdrawica*, miał więc nazwę czysto słowiańską.

Uczony Viquesnel, pierwszy z Francuzów, który poświęcił długie lata na badanie rzeczy słowiańskich, wysoko ceniony przez profesora Chodźkę, taki wyciąga wniosek ze swoich poszukiwań co do żywołu słowiańskiego i turańskiego u Bułgarów: „Przypuszcemy, mówi on, rozbić państwa Ottomańskiego. Wówczas Serbowie, Bośniacy, Czarnogórcy, lubo mówiący jednym językiem, potworzą osobne państwa, połączone na prawach federacyi. Inny będzie ustroj państwa bułgarskiego: geniusz Bułgarów nie ścierpi federacyi; utworzą oni państwo z celem zaboreczym, jakim było niegdyś państwo Asparucha i Kruma!“ Ztąd to, według Viquesnel'a, utworzenie państwa bułgarskiego musi być niebezpiecznym dla sąsiednich pokoleń słowiańskich, których geniusz, przeciwny centralizacyi, zmusza je do federacyjnego ustroju. Pisał to Viquesnel w r. 1860. Tegoroczny wykład prof. Chodźki przyczyni się niewątpliwie do rozświetlenia tak ważnej dziejowej zagadki.

Szereg poniedziałkowych lekcji poświęcił profesor na tłumaczenie i wyjaśnienie pieśni bułgarskich. Tekst ich bierze ze zbioru Miladynowiców. Ciekawato historia tego zbioru; charakteryzuje ona wybornie trudności, jakie towarzyszyły rozwojowi Słowian południowych, od czasu ich odrodzenia się, to jest od lat około 50-ciu. Najtwardsze zapory spotykali Bułgarzy nie tyle w tureckich władcach swoich, jak raczej w zawistnych Grekach; ci bowiem potrafili wyrobić u Turków zniesienie patryarchatu bułgarskiego, a poddanie hierarchii pod patryarchat carogrodzki. Skutki tego były okropne: duchowieństwo bowiem chrześcijańskie na mocy praw tureckich, używało wielkich przywilejów. Korzystało z nich głównie duchowieństwo fanaryockie; przyszło w końcu do tego, że przed dwudziestu jeszcze laty, w parafiach nawet gdzie nikt po grecku nie umiał, obrzędy cerkiewne odbywały się w języku greckim. Można ztąd wnosić, na jakie niebezpieczeństwo narażali się ci wszyscy, którzy chcieli wyswobodzić Bułgaryą z tak ciężkiej niewoli duchowej.

Najznamienitszym z zapaśników niepodległości Kościoła bułgarskiego był Dymitr Miladinowic, urodzony w Strudze, niedaleko Ochrydy. W r. 1858 został on nauczycielem w Kukusz pod Saloniką; postarał się o wprowadzenie w tém mieście nabożeństwa w języku słowiańskim. Musiał bardzo silnie opierać się nadużyciom niegodziwego

biskupa Melitiosa, kiedy potrafił zmusić grecki synod w Fanarze do odwołania tego prałata z urzędu. Ale tenże sam Melitios we dwa lata potem mianowany został metropolitą w Ochrydzie, gdzie chciwości swojej i okrucieństwu najswobodniej rozpuścił wodze. Kiedy Dymitr podczas lata 1861 r. odwiedził rodzinę swoją w Strudze, zaskarżony przez mściwego metropolitę o zdradę państwa, odstawiony został w więzach do Konstantynopola. Młodszy brat jego Konstanty, po ukończeniu nauk na uniwersytecie Moskiewskim, przebywał wtedy w Zagrzebiu, gdzie *Zbiór pieśni bułgarskich*, gromadzony przez obu braci, drukował się kosztem biskupa Stromayera. Na wiadomość o uwięzieniu brata, Konstanty bez zwłoki pośpiesza do Konstantynopola, aby go uratować. Mimo przestroóg, pragnął odwiedzić Dymitra w więzieniu, i sam przytrzymany tam został. Biskup Stromayer dowiedziawszy się o tém, usiłował przez austryacką ambasadę uwolnić obu braci; inne rządy poparły te starania. Porta rozkazała wypuścić obu, lecz Grecy potrafili uprzedzić ów rozkaz, przekupiwszy dozorców więzienia, którzy otruli obu patryotów bułgarskich w r. 1861.

Pieśni ze zbioru Miladynowiczów dzielą się na jedenaście kategorii. Za pogańskimi czyli *samowiłskimi*, idą stare pieśni religijne, dalej bohaterskie, hajduckie, satyryczne, miłosne, obrzędowe, żniwiarskie. Zakończa dzieło rozprawa prozą o przesądach, przysłowiach i podaniach.

Jak we wszystkich w ogólności pieśniach bułgarskich, uderza i tu wyraźny wpływ geniuszu greckiego. Tenże sam wpływ, jak wiadomo, oddziałał na poezją serbskiego ludu i nadał jej ten niewystawiony urok, jakim się odznacza. Poezja bułgarska nie może sprostać serbskiej co do zewnętrznej ogłady; powodem tego język, skażony napływem obcych wyrazów, a co gorsza, zubożały pod względem grammatycznym; w duchu jej przecież spostrzegamy też same zalety, toż samo bogactwo przenośni, tęż samą delikatność uczuć, jaka cechuje poezję serbską.

Jeżeli w pieśniach Rodopu daje się niekiedy czuć wpływ turanizmu bułgarskich koczowników, mniej go widać w zbiorach Miladynowiczów; zależy to od miejscowości sąsiedniej Serbom, gdzie te pieśni były zbierane. Dajemy na dowód w przekładzie pieśń o trzech orłach, jakby żywcem wyjętą z serbskiego zbioru Wuka Karadzicza:

Pod grodem Budynem tańczują trzy koła:
W pierwszém Angelina przewodzi wesoła,
W drugiem Jankulica jak słońeczko świeci,
Młoda Sekulinka wiezie taniec trzeci.

Spojrzały ku niebu, coś szeleści w górze,
Trzy orły skrzydlate krążą tam w lazurze;
Ten co naprzód leci po powietrznym szlaku,
Niesie młodą głowę w sobolim kołpaku.

Drugi niesie rękę strojną w rękaw złoty,
I w złoty pierścionek precudnej roboty;

Trzeci niesie nogę i trzepocze pióry,
 To noga junaka w ciźmie z żółtėj skóry.
 Ten co trzyma głowę, w lot ku ziemi spłynie,
 Usiadł na ramieniu hoźej Angelinie,
 I czyjaż-to głowa, cała w krwi starzana?
 To głowa młodego brata jėj Bogdana.
 A orzeł co rękę w twardych szponach trzyma,
 W stronę Jakulicy zatoczy oczyma;
 Spuścił się powoli, siadł jėj na ramieniu:
 To ręka Jankula, poznać po pierścieniu.
 Trzeci orzeł usiadł na Sekulki ramię,
 Zadrżała jak lietek, rączęta załamię;
 Rzewnemi się łzami zaleje nieboga,
 Wszakto w żółtėj ciźmie Sekulego noga.

W innėj znów pieśni uderza nas głęboka przenośnia poetyczna.
 Któż w tėj uśpionėj dziewczynie nie pozna odrazu Bulgaryi, w żmii
 zaś wysysajęcj krew z niėj, kto nie pozna Turczyna?

Usnęła dziewa i leży.
 Z dwu stron las szumi zielony,
 Dwa zdroje krynicy świeżej
 Pluskoczą dziewie uśpionėj.
 Ludzkie nie widzi jėj oko,
 Niéma tu żywego ducha;
 Tylko Bóg nad nią wysoko,
 A pod nią murawa sucha.
 Kamień podporą jėj głowy,
 Tu żmija kryje się w norze,
 I témie ozwie się słowy:
 „Umórz tę dziewę, o Boże!
 „Gniazdo uścielę w warkoczu,
 Wygryzę ciało z jėj lica;
 Wypiję wodę z jėj oczu:
 Niech umrze młoda dziewica!“
 I próbie zadość się stało:
 W warkoczu lęże się żmija,
 Z lic hoźych ogryza ciało,
 I wodę z oczu wypija!

Pieśń o *Carze i Carowėj* ma wyraźny charakter historyczny.
 Przypomina jakieś zdarzenie, które odbiło się głębooko w pamięci ludu,
 a odrzmiętało w pieśni dalekiém echem, jak śmierć Ludgardy w pieśni
 ludu wielkopolskiego.

Usnęła moja carowa,
 Na lewém cara kolanie;
 Car rzecze do niėj te słowa:
 — „Wstań żywo, zbudź się kochanie!

We drzwi kołaczę ubogi,
 Na prośby nie bądź-że głucha!“
 — „Wstanę, rozemknę mu progi,
 Lecz proszę, nakłoń mi ucha.
 Sen dziwny miałam ja, carze:
 Wkoło mnie ciemność bez końca.
 Pusto na niebios obszarze;
 Nie świeci promyczek słońca.
 Na ziemię słońce się toczy,
 Za słońcem miesiąc upada,
 Ku ziemi. Gdzie pomknąć oczy,
 Gwiazd jasnych leci gromada.“
 — „Lubko ty moja, carowo!
 Snu twego dziwnie się straszę:
 On wróży niedolę nową.
 Słońce, to Carstwo jest nasze,
 Gwiazdy, to wrogie zastępy,
 Miesiąc, to nasza korona!“

Wtém z gwiazd zerwały się sępy,
 Ziemia krwią cała zbroczona.
 W cwał pędzi horda brodata,
 Na cara hurmem poskoczy;
 Wlecze, do grzbietu bachmata
 Ręce i nogi przytroczy!

Nie ustępuje najpiękniejszym utworom serbskim śliczna pieśń o *Marku* i narzeczonej jego *Kwiecie*. Dajemy jęj przekład, uprzedzając, iż trudno nam było oddać całą prostotę oryginału:

Zaręczył się Marko młody
 Z cudną Kwietą: już na gody
 Miłe druchny wianki plotą,
 Już obrączkę dał jęj złotą.
 O dziewczecoe junak duma,
 Wtém przychodzi czarna dzuma
 I na łożę go powali:
 Żar ogniasty pierś mu pali.
 Junak rzecze: — „Matko miła!
 Ciężko zranię twoję duszę,
 Ale prawdę wyznać muszę:
 Niemoc z nóg mnie powaliła,
 Ja niedługo umrę może;
 Idź, powołaj młode druhy,
 Niech otoczą moje łożę,
 Niech dodadzą mi otuchy.
 Zaczém śmierć mi oczy zaćmi,
 Chcę pogwarzyć jeszcze z braćmi!“

Matka idzie, lzy jój płyną,
I powraca wnet z drużyną;
Otoczyli łoże wkoło,
Pomrok wszystkim padł na czoło,
I rozbiegli się druhowie.

Gdy odeszli—junak powie:
—„Matko moja, matko złota!
Już mnie zimne zbiegły dreszcze,
Pod mój Kwiety podejdź wrota.
Gdy nie może być inaczej,
Niech zobaczą ją raz jeszcze,
Niech i ona mnie zobaczy.”

Żałość zdjęła pierś matczyną,
Idzie biędna, idąc płacze,
Dwakroć we drzwi zakolące,
Trzykroć woła: —„Śpiesz dziewczyno!
Upleć jasne twe kędziory,
I świąteczne przywdziej stroje;
Marko chory, bardzo chory,
Chce popatrzeć w oczy twoje.
Może syn mój umrze miły,
Może wstanie jeszcze z łoża!”

Idzie Kwietka, jasna zorza,
Łezki lica jój zrosiły,
Nad wezłowiem Marka stanie.
On w niej ciemno utkwiał oczy:
—„Żegnaj, żegnaj mi kochanie!”
I noc czarna go otoczy;
I ubiegła dusza z ciała.

Kwietka rączki załamała:
—„Co się zcumną stanie biędna?”
Główkę ohyli na wezłowie;
A wtém lica jój pobledną
Pierś jój zimne zbiegło mrowie;
Z ust ulata krasa świeża,
Już serduszko nie uderza.

Tam u proga cerkwi białej
Pogrzebała matka syna;
A za cerkwią śpi dziewczyna,
Druchny łoże jój usłały.

Cóż na grobie Marka rośnie?
Co tam szumi tak żałośnie?
Dwie topole tam przy sobie
Na junaka rosną grobie;
Matka łzami je polewa,
Więc wybiegły w wielkie drzewa.

A na grobie dziewy młodej
 Winna łoża buja wiosną;
 Latem świecą tam jagody
 I gałązki bujnie rosną.
 Im słoneczko mocniej pali,
 Po murawie pną się dalej;
 Wpół objęły cerkiew białą
 I zajrzały w próg nieśmiało,
 Drzew się czepią, aż powoli
 Okrążyły pnie topoli.
 Pną się w górę, pną wysoko,
 Że je ledwie dojrzy oko,
 I zmarłemu, co śpi w ziemi,
 Szumią sploty zielonemi!

Jeżeli najdrobniejszy objaw świadczący o żywotnej sile społeczeństwa naszego, czyto na polu sztuki, czy literatury, miłym jest dla nas; o ile radość nasza wzrasta, kiedy możemy powitać młodych pracowników, rzucających się na szerokie a odłogiem leżące pole historyczno filozoficznych badań. Tęj wielkiej pociechy doznaliśmy w tym roku, kiedy p. Michał Żmigrodzki, uczeń Krakowskiego a następnie Monachijskiego uniwersytetu, odczytał na dwu z kolei posiedzeniach tutejszego Towarzystwa Historycznego, obszerną pracę swoją pod tytułem: *Historja Cywilizacji Polski*, w pierwszej epoce jej istnienia, po rok 1078. Rozprawa ta, jak sam autor wyraził się w przedmowie, jest więcej jeszcze programem dalszych studyów, niż wyczerpującem opracowaniem. Pan Ż. jakkolwiek nie podaje nowych faktów, pragnie natomiast przez systematyzowanie materiałów, krytycznie już opracowanych, rzucić na przebieg dziejów, jaśniejsze lub nowe przeglądy.

Autor wychodząc ze stanowiska, że naród nasz, od pierwszej epoki dziejowego istnienia swego, ściśle był połączony z ludami germańskimi, galskimi, i innemi indo-europejskiego pochodzenia, przyjmuje za pewnik, że wszystkie objawy cywilizacji, cechujące te ludy, jak, przewaga żywiołu rolniczego, wyrób indywidualizmu, okazujące się w rozwoju stanów i t. d., tak widoczne u Indów, istniały już w zawiązku u Aryów, w czasach przybycia ich do Europy, to jest na parę tysięcy lat przed epoką właściwie historyczną.

Następnie autor stara się wykazać, o ile naród nasz wyrabiał ten żywioł aryjski pod wpływem i wewnętrznych i zewnętrznych pobudek. Słusznie bowiem mówi p. Ż: Jak każdy człowiek, gdy sumiennie policzy się z sobą, zaledwie jedną dziesiątą część własnej istoty, będzie mógł nazwać osobistym wyrobem, a dziewięć dziesiątych uzna za skutek podniety ze strony tych których w życiu spotkał, tak również i naród każdy zależnym jest od innych. Niepodobień-

stwem pisać historią cywilizacji jednego narodu, nie szukając niemal co krok rozwiązania zagadki w dziejach innych społeczeństw.

Pan Ż. dzieli swą pracę na następujące rozdziały: 1. Rozwój religii, 2. rozwój stosunków społecznych, 3. życie rodzinne i kobiety, 4. archeologia, sztuki i nauka, 5. stosunki rycerskie, 6. stosunki ekonomiczne, ostatni rozdział pod tytułem: *Polska wobec Boga i ludzkości*, jest summą poprzednich rozdziałów.

Obraz kiełkującej cywilizacji pokazuje autor nasamprzód nad Wisłą, zapewne dla tego, iż żywioł plemienny, mógł się tu zachować lepiej niż na kończynach Słowiańszczyzny, jak nad Dnieprem lub na Pomorzu. Stan cywilizacji polskiej w X i XI wieku, uważa p. Ż. jako dalsze następstwo cywilizacji państwa Wielko Morawskiego.

W rozdziale dotyczącym religijnego rozwoju, autor daje poznać wielką ważność apostołskich prac Ś. Woyciecha. Lubo Chryścjanizm oddawna już napływał do Polski dwoma prądami, od zachodu i wschodu, Ś. Woyciech dopiero, nauką swoją zaszczerpia go w duszę nadwiślań. Pokazuje autor Chrobrego, jak rozszerza wiarę w narodzie, jak uwolniony z wszelkiej zależności przez Ottona cesarza, zawiązuje bezpośrednie stosunki z Rzymem. Wprawdzie po skonie Chrobrego, poganizm podnosi jeszcze głowę, to za Mieczysława II, to po wygnaniu Ryksy; ale Kazimierz wróciwszy na tron, pracuje znów nad rozwojem religii, tak gorliwie, że duchowieństwo wychodzi już z łona narodu, i obcych zastępuje przybyszów. Tryumf Chrześcijaństwa uderza szczególnie w wymownym fakcie, iż lud na którym Bolesław Śmiały opierał się w domowych zatargach, opuszcza go w chwili gdy klątwa zaciężyła nad głową mordercy.

W rozdziale następnym, autor pokazuje zawziętą walkę kmieci z Lechitami, zakończoną zwycięstwem tych ostatnich. Kiedy, mówi on, w lat dziesięć po wygnaniu Bolesława Śmiałego, umarł syn jego otruty przez możnowładców, lud wiejski przybiegł tłumami na jego pogrzeb: ostatni to publiczny objaw życia kmieckiego stanu, na tém kończy się kmiecia epoka w dziejach cywilizacji Polski. Nastąpi po niej epoka możnowładców, wreszcie epoka szlachecka, zakończone 3 maja 1791 r. konstytucją otwierającą drogę do porównania wszystkich stanów.

Dział poświęcony życiu rodzinnemu, określający stanowisko matki w pierwotnym społeczeństwie, nadzwyczaj zajmujący. Autor zestawia tu żywe dotąd podania i tradycje, w trzech dalekich od siebie miejscach, gdzie je badał; w południowych Niemczech, w Krakowie i na Ukrainie. Z tych danych odtwarza rodzinne życie plemienia Aryów, jakim było w czasie gdy plemiona te przyszły z Azji do Europy. Jeśli te tradycje zachowały się po dziś dzień u trzech ludów jako świadectwo ich plemienną jedności; tém bardziej musiały być żywe, za czasów Bolesława Chrobrego. Oto kilka ustępów z tego ciekawego rozdziału.

„Główną zasadą religijnych pojęć ludowych, była wiara w Boga Stwórcę, i w szatana zniszczenia; dlatego to około matki i dziecka

zebrane są najliczniejsze tradycje. Matka jest sługą Boga Stwórcy, bo wydaje człowieka na świat; ztąd celem jest nienawiści szatana. Kobieta zmarła w chwili gdy dziecię się zrodziło, uważaną była za męczennicę w sprawie Boga światłości. Dziewice niosły ją do grobu odzianą w strój ślubny, w wieńcu na głowie; zmarła matka bowiem idzie prosto do nieba. Jeżeli dziecię w raz z nią umarło, kładziono je przy sercu matki. Biędna znów matka, której dziecię udusił książe ciemności; tój nawet zapłakać nie wolno! Nocą przychodzi do nięj nagie dzieciątko z koszulką w ręku, i prosi; „Nie płacz, matulu, ja koszulki włożyć nie mogę, bo cała wilgotna od łez twoich!”

Ale stokroć biędniejsza ta, której pierwszy pocałunek będzie ostatniem błogosławieństwem dziecka na życie. Czémże dla nięj wszelkie rozkosze nieba? przez tony chórów anielskich do serca jęj przeciska się ciche kwilenie sierotki. Wśród ciszy nocnej, ten płacz targa boleśnie jęj serce. Zrywa się biędna, opuszcza niebo i leci ku ziemi. Ludzie to bez litości, którzy matce nie dają trzewików do trumny! Ona musi biędna przebywać ścieszkę z nieba do ziemi po igłach i cierniskach! Czém to wszystko dla serca matki? Oto drzwi izby otwierają się, matka wchodzi; przyklekła u kołyski, bada czy nie brak czego jęj dziecięciu? pieści je, czesze, myje, odmienia mu koszulkę; ludzie słyszą jak się cieszy gdy dziecinka nie jest zaniedbaną; powraca do nieba spokojnie. Jeśli przeciwnie, widzi że ludzie poniewierają jęj dzieckiem, słysząc jak ztorzczy temu domowi; późno w noc czuwa przy kołysce, a wychodząc trzaska drzwiami z łoskotem. Jeśli i to nie pomoże, schodzi z nieba i zabiera dziecinę. Przed matką i dzieckiem podwoje niebios rozmykają się na oścież!” Te perły podań ludowych, znalazł autor rozsypane po różnych krańcach Europy: w Barcelonnie, Belforcie, Stokholnnie, Monachium, Rzymie, Atenach, równie jak w Krakowie, Gdańsku, Wilnie i różnych miejscach Ukrainy.

Inny niemniej ciekawy ustęp, opisuje tradycyjne zwyczaje przy śmierci, u rozmaitych ludów. „Gdy śmierć wchodziła w progi domowe, zbiegali się ludzie z okolicy, i trzy dni, trzy noce trwali na modlitwie przy umarłym, bo nad jego łozem toczył się straszliwy bój hordy szatanów, z zastępem dobrych duchów o duszę zmarłego. Syn lub jeden z czeladzi szedł do bydłat domowych, do każdego ula pszczolnego i wołał: „wasz pan umarł!” Na znak śmierci, przed drzwiami chaty stała gałąź drzewa, u progu zaś stało naczynie z wodą, by każdy mógł ręce w nięj umyć. Przy trupie ustawiano misę z kaszą, i na znak sojuszu z domem, każdy jadł z onęj misy; przy łozu paliły się ognie święcone. Wynosząc trumnę trzykroć stawiano ją na progu; był to znak pożegnania; łozę zaś i pościel palono, aby szatan nie mógł tego użyć na dalszą szkodę.”

Od podań z życia domowego, p. Ż przechodzi do zabytków archeologicznych, świadczących o stanie sztuk i nauk. Drogą porównawczą archeologii, odtwarza owczesny strój, uzbrojenie, domy, koś-

cioły, sprzęty domowe i kościelne. W tym celu zebrał 115 rysunków na dwudziestu siedmiu tablicach. Rozwój sztuki i nauki, tak do nas jak wszędzie wprowadziły klasztory. Autor daje więc obraz tej działalności zakonów w innych krajach, twierdząc słusznie, że takiż sam ruch rozpoczął się i u nas, wraz z założeniem tynieckiego opactwa. Wszędzie spotyka on kreślone sentencje: „klasztor bez biblioteki, to forteca bez broni.” „Kto nie uprawia ziemi, niech pisze rękopisma.” Każdy klasztor to wielka pracownia, część mnichów krząta się w polu, trzebi lasy, osusza błota i pustynie bezludne zmienia w najpiękniejsze ogrody. W każdym kraju skrzętni ci robotnicy wyszukują zajęcia odpowiedniego miejscowym stosunkom, rozwijają lokalne rzemiosło. Tak, nad Renem, powstały w tych czasach winnice, w innych stronach trudniono się wyrobem skór, płótna, sukna, serów, i t. p. Druga część mnichów, skupiona w klasztorze, przepisuje rękopisma, zdobi je miniaturami, wyrabia kielichy kościelne i pastorały, rysuje plany kościołów, które później przy pomocy wiernych, wzniesie z kamienia i cegły, śpiewając psalmy lub odmawiając pacierze. Widziano nieraz tłumy ludu, zagrzane przykładem mnichów, jak bez gwaru, bez nawoływania, w takt pieśni pobożnych, dźwigały olbrzymie płyty, przeznaczone ku budowie świątyni Pańskiej. Klasztor był przytułkiem ubóstwa i podróżnych, ale przedewszystkiem był szkołą. Każda szkoła klasztorna dzieliła się na duchowną i świecką; bywały także miejscami, szkoły dla przechodniów: mnich stał przed bramą klasztoru i jako jałmużnę duchową, rozdzielał naukę podróżnym.

Wraz z wprowadzeniem klasztorów do Polski, mówi p. Ż., tenże ruch poczyna się i u nas, tem żywiej i tem goręcej, że to byli zakonnicy sprowadzeni z obcych, dalekich krajów; kto szedł na apostołstwo do kraju napół pogańskiego, musiał mieć bardzo gorącą wiarę, wielką miłość pracy, i wielką żądzę uczenia się i nauczania drugich, bo to zazwyczaj idzie razem. P. Ż. wskazuje że do dziś dnia jeszcze, w okolicach Krakowa, można odszukać ślady cywilizacyjnej pracy Benedyktynów. Każda tam wieś ma lub miała jakieś wyłączone rzemiosło; od nich ten podział datuje bez wątpienia.

Za ważną cechę ówczesnego ruchu naukowego, autor uważa czynny w nim udział kobiet. „Mniszki tak samo pracowały na roli i w dziedzinie sztuki, tak samo znały Pismo Święte i Ojców Kościoła, a nawet klasyków greckich i łacińskich. Dlatego widzimy cały szereg kobiet ogromnego wpływu na życie społeczne; te kobiety stały nauką na podniosłości wieku: pełne serca, gorącą miały wiarę. Byłoby zbawieniem dla téj epoki, w czasach bowiem, kiedy namiętność lub zepsucie owłada duchem społeczeństwa, kobieta, która zrozumie potrzeby wieku swego, znajdzie w sercu lekarstwo na rany i umie je zagoić.”

Poprzestajemy na tém. Ostatni rozdział: „Polska wobec Boga i ludzkości,” zanadto ważny, aby go można określić w kilku słowach, szerszy zaś rozbiór przeszedłby miarę naszej korespondencji. Dodaj-

my tylko słówko o samym autorze. Urodzony na Ukrainie w r. 1848, odbył nauki gimnazyalne w Żytomierzu, uniwersyteckie w Krakowie i Monachium. Wincenty Pol wpłynął silnie na rozwój jego naukowy, w kierunku geograficznym i etnograficznym. Później profesor Mesmer w Monachium wtajemniczył go w świat sztuki i archeologii. Jako członek Towarzystwa antropologicznego w Monachium wystąpił z trzema odczytami: *O starożytnościach historycznych w Krakowie*, r. 1875; *Wstęp do nauk etnologicznych*, r. 1877; *Matka u plemion aryjskich*, r. 1878. Rozprawy te drukowane są po niemiecku.

Autor słownika francuzkiego, Littré, wykonał szczególnego rodzaju dzieło: zagrzebany od lat wielu w badaniach lingwistycznych, powziął myśl przełożenia *Boskiej komedyi* na francuzki język średnich wieków. Literatura francuzka w połowie właśnie XIV wieku, gdy się zjawił nieśmiertelny utwór Danta, nie wydała żadnego poematu, zastępującego na uwagę; krytycy składają to powszechnie na język chropawy i niewyrobiony. Littré zbija ten zarzut; utrzymuje on, że język mógł być starczyć na wyrażenie najwznioślejszych myśli, na skreślenie najświetniejszych obrazów, brakło tylko geniuszu, któryby nim zawładnął. Erudyta tłumaczeniem swoim usiłuje dowieść, że jeśli Francya nie zdołała wydać wtedy utworu odpowiedniego wartością *Boskiej komedyi*, nie język temu winien, ale raczej brak twórczego natchnienia w poetach. Przytaczamy znany ustęp o bramie do krainy wiekuistego zatracenia; pokaże on ogromną różnicę ówczesnego języka, w porównaniu z dzisiejszym.

Per moi se va dans la cité dolente,
 Per moi se va dans l'éternel dolor,
 Per moi se va parmi la gent nullente.
 Justice mut, mon souverain faitor,
 Et si me firent devine poestes,
 Raisou lantisme et premeraine amors.
 Toute esperance laisséz vous qui entrés.

Przezemnie droga w miasto utrapienia,
 Przezemnie droga w wiekuiste męki;
 Przezemnie droga w naród zatracenia:
 Jam dzieło wielkiej, sprawiedliwej ręki;
 Wzniosła mnie z gruntu potęga wszechwładna,
 Mądrość Najwyższa, miłość pierworodna:
 Kto wchodzi do mnie, żegna się z nadzieją!

(Mickiewicz).

Littré wyjaśnia w przedmowie cel swojej publikacji. Pragnął rozbudzić w młodem pokoleniu miłość do starodawnego języka, tak bardzo dziś zaniedbanego. Od lat wielu, mówi on, uważałem, że Francuzi ze szkodą własną zrywają niebacznie nie tradycyi, łączącą czasy

dzisiejsze z mową praocjów i z ich literaturą. Fałszywe uprzedzenia zaćmiły całkiem prawdę. Język z czasów Filipa Augusta i Ludwika Świętego, w ogólném mniemaniu jest jakimś barbarzyńskim gwarem, z którego gramatyczny wiek XVII zdarł dopiero grubą powłokę. Uczeni rozpowszechnili przesąd, jakoby literatura nasza nie wydała nic znakomitego przed epoką włoskiego odrodzenia! Język nasz jednak krzepki był i bogaty, a literatura wywierała wpływ na Europę od czasów najdawniejszych.

Dziś uprzedzenie znika, dzięki podjętym pracom erudyćów. Wydano mnóstwo pomników średniowiecznych; popęd dany, trzeba tylko iść dalej!

Aby utrzymać ten popęd i rozbudzić zamiętowanie w starym języku, tak długo pogardzanym, Littré podjął ów pracowity przekład Dantego. Nie rozumiemy celu: przy takim bogactwie wydawanych co rok pomników, przy pieśni Rolanda, kronice Duqueselin'a, że pominiemy tyle innych truwerskich pieśni (*chansons de Gestes*) i rymowanych kronik, przesiąkniętych żywotną barwą czasu swego; przekład dziś dokonany nie pomnoży liczby dzieł źródłowych, témbardziej, że, zdaniem tutejszych lingwistów, p. Littré nie trzymał się ściśle języka XIV wieku, współczesnego Dantemu, ale stworzył dowolnie jakiś język nigdy nie istniejący, dobierając wyrażenia i zwroty, ze wszystkich utworów XII wieku, owój złotój epoki truverów. Pracowity ten przekład, czémże inném być może, jeśli nie sztuczną łamigłówką, zabawką starego filologa.

Wiktor Hugo wydał nowy tom poezji p. t.: *La pitié suprême* (*Najwyższa litość*). Jakże tu nie wspomnieć o utworze Wiktora Hugo? Mówimy z konieczności, dlatego głównie, aby zaznaczyć nową fazę w życiu wielkiego poety, który niegdyś wpływał dodatnio na całe społeczeństwo europejskie, gdy tymczasem dziś karmi się sam trucizną i tę truciznę rzuca obficie trawionemu gorączką narodowi swojemu.

Tom składa się z czterestu osobnych ustępów, pełnych przesady i ekscentryczności. Pierwszy ustęp stanowi prolog. Noc czarna, całun żałobny rozpostarty nad ziemią. Wściekły poryk rozlega się z głębi oceanu, wścieklejszy jeszcze uderza od Forum i z piorunem kłatwy rzuca na pastwę wiekom, imiona Tyberyuszów, Osmanów i tych wszystkich, co kroczyli w krwawe ich ślady.

„Ze szczęk trupów okropnym zgrzytających śmiechem,
Z czarnej głębi trzęsawisk cuchnących zgnilizną,
Wyłażą te imiona jak potworne ptaki.
Ilekroć szkielet kośmi zachrząści w grobowcu:
Jedno imię wybieży jak larwa złowroga.”

Ten dosłowny przekład niechaj da miarę stylu, jaki Hugo przyjął w nowych swych poematach. Wybiera on najczarniejsze barwy,

aby tém jaśniej odbił przy nich wyraz przebaczenia, kończący każdy ustęp.

„Dosyć już, mówi poeta, olbrzymie Danty i Ezechiasze sypnęły piorunów na grzeszne głowy. Zadaniem ich było karcici i rąbać mieczem.” Hugo uderza w orle skrzydła i ucieka z ziemi ku niebiosom szukać wśród gwiazd promienistej sprawiedliwości.

Po tym prologu kreśli poeta obraz Ludwika XV, pięcioletnią dziecinę. W trzydziestu aleksandrynach maluje anielską tę postać, w której łączy Boską piękność Dzieciątka Jezus z urokiem pogańskiego kupidyna.

I oto owego cheruba z białymi skrzydły, dworak Villeroy wiedzie na krążganek pałacu Wersalskiego. Ztąd pokazuje mu tłum pracowitego ludu, z krzepkiemi ramiony i ogorzałym licem.

— „Patrz na ten lud, rojący się jak pszczoły w barci, rzecze do wychowanka, on twój z ciałem i duszą; twoimi pola jego i chaty, twoją krew, co kipi mu w żyłach. Gdy skiniesz, każda z tych głów upadnie pod toporem. Ten lud stworzon, aby pełzać przed tobą; ty jeden podnieś głowę, bo jak Bóg króluje w niebiosach, ty królujesz na ziemi.”

Dziecię słuca; ziarno pochlebstwa padło na bujną rolę. Z archanielskich skrzydeł wyrosły tygrysie pazury.

Do jakiegożto stopnia, poeta uniesiony nienawiścią ku królewskości, przeczy najpoważniejszym dowodom historycznym. Któż nie wie, że Ludwik XV przeżył z Maryą Leszczyńską najprzykładniej pierwsze lat piętnaście. Zapewne, że wielkie cnoty małżonki oddziaływać musiały na niego, gdyby jednakże tak był wychowany z dzieciństwa, jak to opisuje Wiktor Hugo, czyżby Marya zdołała go utrzymać? Później Ludwik, ulegając wpływom pochlebców, upadł nizko pod względem moralnym. Dzieje słusznie zarzucają mu słabość i niedbalstwo, najzawziętsi jednak nieprzyjaciele nie zowią go nigdy okrutnikiem.

Inne ustępy są parafrazą téjże saméj myśli.

Poeta sięga w głąb' nocy przedpotopowej, od Nemroda, pierwszego łowcy, powołuje na sąd wszystkich Neronów świata. „Płacmy, woła, nad ciemnotą powszechną, ale przebaczymy ślepym!”

Jakąż litość w mém sercu budzą te potwory!
Oplakuję Selimy i Heliodory,
Los Achmetów, Ramzesów, przenika mnie żalem,
Płaczę nad Kaligulą, nad Heliogabalem,
Nad Kozmasem, Omarem, nad duszą zbłąkaną
Szaleńca z Syrakuzy, szaleńca z Trianon;
Nad wściekłym Dzyngishanem, co toczył krwi rzeki,
Nad Neronem, co deptał po trupie Senekil

Nad głowami tych wszystkich, poeta szepcze słowo przebaczenia: *miserere*. Słowo to powtarza się wciąż, jakby na urągowisko, pustym

pobrzmiwa dźwiękiem, wszystkie bowiem ustępy, jak powiedzieliśmy w górze, przepełnione jadem nienawiści.

Pod tytułem: *Methodes spéciales ou Teleologique de H. Wronski*, wyszła świeżo rozprawa, zmarłego przed dwoma laty Antoniego Bukatego, poświęcona hr. Janowi Działyńskiemu. W rozprawie tej Bukaty udowodnił formułę, podaną przez Wronskiego: *Na rozwiązanie równań algebraicznych wszelkiego stopnia*, rozwiązanie, które sam Wronski uważał za wieniec i podwalinę dzieła swego: *O reformie matematyki*. Nie naszą rzeczą zdawać sprawę z tej pracy ściśle naukowej; zostawiamy to specjalistom; poprzestaniemy tylko na krótkim wspomnieniu o zmarłym autorze, który głęboką nauką, jak i wielką zacnością charakteru, zaszczytnie przez lat kilkadziesiąt reprezentował kraj swój na obcej ziemi.

Bukaty, urodzony w Augustowskiem, uczniem był Warszawskiego uniwersytetu. Należał on do tych uczonych polskich, którzy wynieśli z kraju rodzinnego bogate zasoby duchowe, a rozwijając je wytrwającą pracą, błysnęli na obczyźnie w rozmaitych wydziałach nauk i literatury.

Ulubiony niegdyś uczeń Brodzińskiego, wspominał go do końca dni swoich z najwyższem uwielbieniem. Nie poszedł on jednak drogą ukochanego mistrza; wrodzony popęd wiódł go do nauk ściśle matematycznych. Przybywszy do Paryża w r. 1832, zapisał się do szkoły dróg i mostów. Po ukończeniu jej, przebywał czas jakiś w Kanadzie; budował tam drogę żelazną; wkrótce powrócił do Europy.

Oddał się wtedy z całym zapalem badaniom matematycznych i filozoficznych prac Wronskiego. Owocem tych badań było dzieło p. t.: *Hoene Wronski i jego udział w rozwinięciu ostatecznem wiedzy ludzkiej*. Trentowski w swoim *Panteonie wiedzy* chlubnie wspomina to dzieło i odsyła do niego tych wszystkich, którzyby chcieli poznać się bliżej z pracami Wronskiego; stawia on Bukatego przy Wronskim i Leibnitzu, ponieważ jak obaj poprzednicy był zarazem filozofem i matematykiem.

Inne dzieło p. t.: *Polska w apostazji i w apoteozie*, zaleca się głębokim i samodzielnym poglądem. Bukaty wystąpił w niem silnie przeciw dwom sprzecznym prądom, jakie szarpały wówczas umysłami. Prąd jeden podniesiony przez Raspaela, apoteozuje Polskę, lecz rzuca ją na osłep w objęcia Francji; drugi przez Adama Gurowskiego wprost przeciwną zakreśla jej metę. Bukaty zbija obie teorye, dowodząc, że naród winien stać silnie na gruncie własnym, czerpiąc siły z własnej przeszłości. Trentowski rozbierał obszernie to dzieło w *Oredowniku*. Mickiewicz poświęcił mu jedną lekcję w kolegium Francuzkiem; oddał Bukatemu chlubne świadectwo, że on pierwszy wprowadził do filozofii kwestyę posłannictwa narodów.

Podczas gdy dzieło sprawiało rozgłos w świecie, autor żył w samotności i głębokiem skupieniu. Dawniej, podczas nauki w szkole

dróg i mostów, zmuszony był mieszkać z kolegami; utyskiwał w liście do przyjaciela: „Wystawisz sobie, mówi, jak wiele cierpię na tém! Samotność tak poetyczna, tak potrzebna dla duszy! Wyrwę się ja przecież, wyrwę kiedyś na łono najmilszej piastunki mojej, samotności. Rozmówię się pod opieką milczenia z mojami lubemi ideami, uzmysłowię je, przywołam na falach słuchu i wzroku, w milczeniu, w ciemności, przedmioty najdroższe sercu memu; w sferach harmonijnej sympaty, nie ujrzę żadnego cienia, żadnego tonu obcego.”

Słowa te żywo charakteryzują oryginalną osobistość Bukatego. W miarę jak myśl jego w coraz wyższe ubiegała sfery, oddalał się coraz bardziej od towarzystwa, a żył z książką i piórem. To życie abstrakcyjne, to ciągłe przebywanie w świetle idei, uczyniło styl jego nieco ciemnym dla zwykłych czytelników. Ztąd Trentowski dał mu nazwę Heraklita, przypominając to, co Sokrates wyrzekł o Heraklicie: „Cokolwiek przeczytałem i zrozumiałem w jego dziełach, znajduję, że dobrem jest; wnoszę ztąd, że i to, czego nie zrozumiałem, dobre także być musi.”

Bukaty zanadto wybiegał myślą naprzód, aby mógł stać się popularnym. Już w r. 1833 zapytuje w jednym z pism swoich: „Izali niepodobieństwem jest w postępach ludzkości, poprzerynianie kanałami szerokich pustyń Sahary?” Potrzeba było czterdziestu lat, aby śmiały ten pomysł znalazł gorliwych propagatorów. „Dajcie przewagę Francyi, pisze dalej, a Suez przekopany zostanie.” I oto Lesseps zrealizował myśl polskiego inżyniera.

Zastosowanie pary do sztuki wojennej, zajmowało Bukatego przez lat wiele. Jeszcze w r. 1841 podał memoriał w tym przedmiocie księciu Adamowi Czartoryskiemu; w ćwierć wieku potem, na trzy lata przed wojną prusko-francuzką, podobny memoriał wzbogacony nowemi pomysłami, przedstawił Napoleonowi III. Kreśli w nim obraz sztuki wojennej, jak się rozwijała systematycznie w pasmie wieków. Od Asyryjczyków, Persów i Greków, których jedyną bronią były strzały i dziiryty, przechodzi do Rzymian, którzy podbili świat krótkim mieczem i upadli, gdy ten miecz skruszył się o piersi barbarzyńców, okute w żelazne pancerze. Pokazuje następnie wielki przewrót, spowodowany wynalazkiem prochu; stopniowe doskonalenie się taktyki wojskowej i przeważne dziś znaczenie artylerji.

Zdaniem Bukatego, wybiła godzina nowego rozwoju w sztuce wojennej. Olbrzymie postępy mechaniki, zastosowanej zwłaszcza do ruchu, nowe otworzyły jej pole. „Gdyby, mówi on, Austria w ostatniej wojnie umiała była przemienić kilka lokomotyw w prawdziwe tarany wojenne, stosownie opancerzone i zjeżone działami; gdyby je w daną chwilę rzuciła na drogi żelazne, łatwo zgadnąć do czego doprowadziłaby pruskie państwo, pomimo sławnych iglicówek!”

Wykazuje przytém Bukaty wady dzisiejszych lokomotyw, rzuca pomysł nowego systemu, według którego parowozy mogą chodzić po zwykłych drogach, nieopatrzonych w szyny żelazne i podnosić się na

znaczne pochyłości. Śmiały ten pomysł znalazł już urzeczywistnienie. Widzieliśmy na wystawie modele nowych lokomotyw, zamiast kół, opatrzonych w nogi, poruszające się zapomocą mechaniki.

Memoryał Bukatego utonął w archiwach ministerium, Prusacy tymczasem, podczas wojny z Francją, zastosowali już opancerzone baterie na drogach żelaznych, na co Francya ledwie w końcu zdobyć się potrafiła.

Obok głębokiej nauki i proroczych niemal poglądów, Bukaty do końca życia zachował dziecięcą prostotę. Pamięć miał nadzwyczajną: cytował całe ustępy autorów greckich, łacińskich i polskich, raz ledwie przeczytane. Pismo Święte umiał na pamięć i powtarzał je z upodobaniem. Mimo trudnego położenia, nigdy nie odwoływał się do szczodroblowości moźnych, nawet na druk własnych rękopismów. „Wszelkie wsparcie otrzymuje się kosztem niepodległości ducha.” W poufnym liście nakreślił te wyrazy. Takie to pobudki kierowały nim przez ciąg całego życia, pozwalając mu widzieć jasno prawdy naukowe, filozoficzne. Z tych jedne miały w przyszłości dopiero doczekać się realizacji, kiedy drugie, dotyczące moralnej strony życia narodów, silnie ożywiały społeczeństwo w którym żył i stały się dla niego nieomylnym drogowskazem.

Wśród wielkiej posuchy na polu dramatycznym pojawił się w tych czasach japoński dramat p. t. *Yomato*, który powszechnie obudził zdumienie i wywołał zasłużone oklaski. Według ogólnego uznania, żaden z paryżkich teatrów nie wystąpił oddawna z dziełem tak wysokiej doniosłości. Autorem tego dramatu jest Japończyk p. Mazuna Maeda, który pełnił obowiązki komisarza na wystawie międzynarodowej. Człowiek to młody, wychowany w Paryżu; ztąd włada francuzkim językiem, jak rodowity francuz; mimo to pozostał w duszy nieodrodnym japończykiem: utwór jego napiętnowany téż cechą prawdziwie narodową.

W chwili gdy się zaczyna dramat, obcy zwycięzca panuje w Japonii. Narodowy monarcha poległ przed laty dziesięciu, broniąc do ostatka praw swoich; wierni towarzysze wytoczyli krew w boju. Pozostała jednak garstka ludzi odważnych; ci łączą się potajemnie w celu odzyskania dawniej niepodległości. Wodzem ich Jossiko, mąż dzielnego serca, otoczony niegdyś szacunkiem powszechnym; ale od niejakiego czasu, dziwna zaszła w nim zmiana: dnie i noce trawi na pijatykach. Za podniesieniem zastony, widzimy go w gospodzie, czyli tak zwanój herbaciarni. Towarzysze siedząc opodal wkoło stołu, smutném poglądają nań okiem. Jeden z nich nawet oskarża go o zdradę: wydobywa już z pochwy sztylet.

— Stój! zawoła drugi, niechaj życie będzie mu karą!

Obraz przedstawia się nader charakterystycznie. Młode Japonki roznoszą herbatę w małych filiżankach. Piękna dziewczeczka tańczy solo, druga przygrywa na gitarze, śpiewając narodową piosnkę. Towa-

rzysze rozmawiają; wśród nich krążą jacyś ludzie nieznani, chwytają każde ich słowo. Jossiko pije; rozmarzony trunkiem pada wreszcie bez zmysłów. Służba podnosi go, sadza na palankin i zanosi do domu.

W akcie drugim towarzysze stoją przed Jossiką, wyrzucają mu gorzko życie gorszące. Z podziwieniem wszystkich, wódz pijany przed chwilą, przemawia do nich trzeźwo, tłómaczy się z uczuciem wysokiej godności, w sposób nakazujący poszanowanie. Ścigany podejrzliwym wzrokiem nieprzyjaciół, aby zupełnie zbić ich z tropu, rzucił się na pozór w życie hulaszce i pijackie; opuścił żonę i dzieci, wystawił się na wzgardę i pośmiewisko, by tém pewniej działać dla dobra kraju. Podczas gdy nieprzyjaciel pomiata nim jako człowiekiem pogrążonym w rozpuście, on potajemnie zastawia sidła na jego zgubę. Za dwa dni godzina uderzy; dlategogo postanowił zedrzyć maskę z oblicza i wyznać prawdę całą.

Towarzysze pochylają głowę, błagają aby przebaczył im nieufność. Jeden tylko Massana, syn bohatera poległego w walce u boku monarchy, nie dowierza mu jeszcze. Towarzysze zmuszają go przeciw do milczenia. Potrzeba wysłać do Jeddo, człowieka nieposzlakowanej wiary: wybór padł na Massanę. On zdaniem wszystkich, wywiąże się najlepiej z niebezpiecznej misyi. Śmiały Massana gotów spełnić zlecenie, prosi tylko aby mu pozwolono odwiedzić po drodze wieś rodzinną, pożegnać żonę, dzieci i starą matkę.

Trzeci akt przenosi nas do wioski japońskiej. Włóścianie po całodzienną pracę, schodzą się na ucztę wieczorną. Wśród dziatwy i domowników przyswieca wspaniała postać pani domu. To Kozana, wdowa po poległym bohaterze, matka dzielnego Massany. Matrona zajmuje pierwsze miejsce u stołu; jedząc ryż patyczkami, rozmawia z młodszym synem, daje mu surowe napomnienia.

Massana przybywa nakoniec. Żona wybiega ku niemu z radością. Mąż ściska ją, wita małego synka, ale na widok matki usuwa na bok żonę i dziecię, rzuca się do jej nóg z najgłębszym uszanowaniem. Lecz chwile jego policzone, śpieszyć musi do Jeddo. Aby nie zranić serca drogięj matki, Massana wybiega bez pożegnania za próg domu, rusza w drogę z rozdartém sercem.

Zatrzymuje się u fontanny, znużony siada na murawie.

— Co pomyśli o mnie dobra matka, zapytuje sam siebie, powie słusznie, zem jej uchybił. I rozmyśla co czynić. Jeśli powróci, zmaruje kilka godzin, nie dopełni zlecenia.

Podczas gdy walczy sam z sobą, przechodzi młoda dziewczeczka, ta sama która śpiewała piosenkę w pierwszym akcie. Zatrzymuje się u studni i czerpie wodę, pije, a potem wyśpiewuje radośnie, szczęśliwa że wraca do chaty:

— „Matka moja, wytnie mi dwa policzki, za karę, zem uciekła od niej, a potem wszystko pójdzie w niepamięć. Tak niestety! jam uciekła z kochankiem; z razu taki był słodki, odprowadził mnie tu do

zdroju, a potem... porzucił i odszedł. Ptaszeta świergotały wtedy... czemuż one dziś nie śpiewają? czy dlatego żem ja tyle łez wyplakała?"

Massana poruszony pieśnią dziewczki, lotem strzały śpieszy do domu. Miłość rodziny przemogła w sercu jego nad głosem powinności. Pozostaje w domu do rana. Nazajutrz o świcie, Jossiko z towarzyszymi przybywa do wioski. Pewni, że Massana już w Jeddo, druchy spostrzegają go z przerażeniem, wyrzucają mu zdradę... matka i żona łomaczą go, jak mogą.

— Zbyt surowo, rzecze młoda Hassima, sądzicie człowieka, którego całą winą, że uległ pocziwym uczuom, przy ognisku domowym.

— Godzi się, odpowie Jossika piorunującym głosem, zwać uczciwymi uczucia, dla których człowiek przepomina o najświętszej powinności.

Jossiko miał prawo rzec te słowa: on poświęcił dla wyższej sprawy szczęście i spokój przy domowym ognisku!

Matka Massany odgadła straszną prawdę, zmierzyla okiem przepaść. Poważna matrona, zamknęła oczy mężowi, który poległ dla wielkiej sprawy, pogrzebała go własną ręką. Idzie więc na grób bohatera, drogiego całej Japonii, pragnie zacerpnąć tam natchnienia. Po chwili wraca na scenę, oblicze jęj tchnie powagą i głębokim spokojem. Szydlerce pociski Jossika i towarzyszków, godzą w nieszczęśliwego Massanę.

— Przebacz mi! zawoła Kossana, on jeszcze młody, poświęceniem życia całego powetuje winę i zatrze hańbę własną. On przysięże wam na to!

— Zgoda, odpowie Jossika, ale jaką da nam rękojmię?

— Massana człowiekiem jest serca, mimo chwilowej słabości, odrzeczże poważna matrona; przysięga przypieczętowana krwią matki, świętą będzie dla niego!

To rzekłszy zatapia oręż w piersi własnej.

Na tém kończy się dramat. Słyszeliśmy jednak, że p. Maedo dodał jeszcze akt piąty, w którym Massana, odkupiony krwią szlachetnej matki, spełnia cuda poświęcenia i umiera w sposób godny bohaterkich rodziców.

Dramat ten odegrany był w teatrze Gaité, na poranku międzynarodowym, pod dyrekcją panny Dumas. W tym roku jeszcze ukaże się wraz z dopełnieniem, na deskach teatru historycznego. Wytworne kostyummy, wykonane wiernie pod okiem autora, dodają mu uroku.

Rolę Massana odegrał pan Dutertre; krytycy podnieśli wysoko zdolność młodego artysty: publiczność obsypała go słusznymi oklaskami. Osobistość tego artysty: nie może być dla nas obojętną; jestto młody polak, urodzony w kraju naszym, p. Bolesław Pluciński, tak się rzeczywiście nazywa: przed laty piętnastu przybył do Paryża mając lat dziesięć; w szkołach tutejszych wyuczył się doskonale francuskiej mowy, dzięki zaś staraniom światłego ojca, włada ojczystym językiem z równą doskonałością. Naukę deklamacyi, jak i akcyi dramatycznej,

zawdzięcza p. Georges Rey, reżyserowi odeońskiego teatru. Paryż po raz pierwszy miał sposobność poznać młodego Dutertre w roli odpowiedniej wysokim jego zdolnościom, nie pierwsze to jednak jego pole. Od lat dwu, w towarzystwie artystów, pod dyrekcją słynnej Agar, występował on po wielkich miastach francuzkich, jak niemniej w Szwajcaryi, Belgii, Holandyi. Towarzystwo panny Agar przedstawiało tam tragedye Kornela i Rassyna, artysta nasz grał w nich role młodych bohaterów; wykarmiony tragedją klasyczną, przeszedł wyborną szkołę, wszystko wróży mu zatem świetną przyszłość.

Obok pięknego dramatu, w którym Japończyk Maeda wprowadził w grę najwznieściejsze uczucia, jakie wstrząsnąć mogą ludzkim sercem, dziwnie blado przedstawia się dramat Cherbulier'a, grany w Wodewillu, w którym podobało się autorowi wywlec na scenę zmyślonę *Przygody Władysława Bolskiego*. Szczególnym zbiegiem i tu i tam widzimy matkę w obec syna, przepominającego dla osobistych uczuć o najświętszej powinności. O ileż to charakter japońskiej matrony, wyżej pojęty i utrzymany logiczniej. Podczas gdy ta konając przelewa w pierś syna bohaterski swój zapal, pani Bolska poznawszy w swym synu nizezemnika, rzuca klątwę na głowę wiarołomcy.

Azaliż wyklęty syn niema prawa odpowiedzieć piorunującym głosem: „takim mnie masz, jakim mnie wychowałaś, matko! Piskłę wylęglę w sówiem gniaździe, nie przemieni się w orła, nie uleci w słoneczne szlaki!” Różnica między dwoma typami matron, łatwą jest do pojęcia. Pierwszy typ stworzył rodowity Japończyk, przesiąkły do szpiku kości domową tradycją; drugi typ wysnuł z chorobliwej fantazyi, obcy doktryner, szwajcar, któremu szło jedynie o dramatyczny efekt, bez względu na prawdę psychiczną.

Pogoń za oryginalnością jest chorobą dzisiejszych powieściopisarzy; aby wynaleźć coś nowego szukają wątku w obcych, nieznanym im społeczeństwach. Biedna Galicya nasza stała się ulubioną ich pastwą. Sacher Mazoch pierwszy uczynił ją przedmiotem pośmiewiska, naśladowcy jego dokładają ze swjej strony coraz to nowych barw do skarykaturowanego obrazu. Tym sposobem powstał jakiś niepojęty dziwotwór. W tych właśnie czasach pojawiła się powieść niewiadomego autora czy autorki p. t. *L'Ennemi des Femmes* (Wróg kobiet). Tym wrogiem jest Lwówianin *Dyogenes* (?); zwolennik Schoppenhauera, widzi on w kobiecie główną przyczynę złego. Nie wierzy w miłość, uważa małżeństwo za prawdziwą plagę ludzkości. Sceptyk spotyka się wreszcie oko w oko z kobietą piękną *Nadjeżdą Ossokni*: ma to być typ Galicyanki! Ta *virago* stoi na czele opozycyjnego dziennikarstwa we Lwowie, trzęsie opinią publiczną. Pełną zapału wymową równie jak płomienistym piórem porywa serca i umysły. Rozmówiona w ludzie wiejskim, broni energicznie jego praw; ztąd Rusini galicyjscy widzą w niej opiekunkę, imię jej wspominają z błogosławieństwem.

Spotkanie dwu tak wydatnych osobistości, sprowadza walkę za-ciętą, nieprzebraną. Walka to nie na same pióra i słowa: obie stro-ny porywają za oręż. Kobieta odnosi wreszcie tryumf. Dyogenes po-chyla głowę, czuje się zwyciężonym. Nadjeżdza przebacza, spór kończy się małżeństwem.

Obok głównej bohaterki występuje piękna *Petrówna*. Same na-zwiska osób świadczą, że Galicya nie może być polem ich działań. Ale nieszczęściem, powieściopisarze francuzcy źle obznajmieni z geografją, a i etnografia mniej ich jeszcze obchodzi. Na wzór starożytnych Gre-ków i Rzymian, którzy wszystkie ludy rozsiadłe za obrębem ich dzie-dzin zwali Scytami lub barbarzyńcami Północy, dzisiejsi francuzcy au-torowie micszają najodrebniejsze plemiona, przez co rozsiewają błędy i dawny tworzą chaos. Co można było przebaczyć Grekom i Rzymia-nom, kiedy puszcze i bagna osłaniające część Europy, rodziły bajki o tajemniczych Kolchach i Hyperboreach, to nie do przebaczenia dziś w epoce parowozów i telegramów, zbliżających najdalsze przestrzenie. Na co pytamy, zdadzą się międzynarodowe wystawy, które w lat kilka, napędzają do wielkich ognisk ludy ze wszystkich krańców świata, jeśli te ludy nie znają się dziś lepiej, jak za czasu Greków i Rzymian?

Od tych niesmacznych i trywialnych utworów, w których społe-czeństwo nasze występuje w tak złém, a tak fałszywém świetle, przejdź-my do ślicznej pracy rodaka naszego, przełożonej świeżo na język angielski. Mówimy tu o monografii Fryderyka Chopina, skreślonej po niemiecku, w obszernym tomie, przez p. Maurycego Karasowskiego. Francuzki przekład wkrótce téż ogłoszony zostanie. Zanim to nastą-pi, czytamy obszerne wyjątki, drukowane w dwu ostatnich zeszytach przeglądu *Correspondent*. Przekonani jesteśmy, że dzieło takiej do-niosłości, napisane piórem tak wytrawném, a tak pociągającym, znaj-dzie się wkrótce w każdym ręku i odstłoni przed Francuzami to polskie społeczeństwo, tak pokrzywdzone przez dzisiejszych dramaturgów i po-wieściopisarzy.

Piękna to praca w pełném słowa znaczeniu, podjęta z miłością, obmyślana głęboko. Autor łączy w sobie dwa niezbędne warunki do wykonania takiego dzieła: jako pisarz włada wytrawnie piórem, jako znakomity muzyk, umie zrozumieć i ocenić geniusz Chopina, określić znaczenie jego kompozycyi, wskazać mu właściwe stanowisko w sztuce muzycznej, którą dano mu było popchnąć nowemi tory. Nie dziwi nas téż wcale, że monografia Chopina doczekała się w krótkim czasie w Niemczech, powtórną, znacznie rozszerzoną publikacyi, że znalazła tłumaczów na francuzki i angielski język. Dziwimy się tylko niepoję-tą dla nas obojętności warszawskich i galicyjskich wydawców, którzy pomijając podobny klejnot literacki, stwierdzają prawdę przysłowia: trudno być prorokiem między swymi.

Ileżto prawdy, ile rzewnego uroku w tym obrazie domowego ogniska Chopinów, przy którym rosło genialne dziecko, otoczone mi-

łością rodziców i rodzeństwa. Jak wybornie oddane różnorodne wpływy, co oddziaływały na umysł i serce młodzieńca; te lekcye Elsnera, który przeczuwając w nim pierwszorzędnego artystę, pozwalał mu rozwijać się z całą swobodą; owe coroczne wycieczki na wieś, gdzie zbliżenie się do ludu naszego, pilne wsłuchanie w jego pieśni, wyrły niezatarty ślad w duszy młodego kompozytora; złożyło w nią na przyszłość nieprzebrany źródło twórczych natchnień. Nie będziemy powtarzać tych drobnych napozór, ale nadzwyczaj ważnych rysów, które autor jako głęboki psycholog, umiał pochwycić i uwydatnić. Pierwsze lata Chopina, ujęte w osobny obrazek, dopełniony własnoręcznymi listami, drukował pan Karasowski w *Bibliotece Warszawskiej* r. 1861; w ośm lat później, nowy obrazek ogłoszony w témże piśmie, ukazuje nam artystę w pełni geniuszu, błyszczącego na świeczniku paryzkim, wtajemnicza nas w szczegóły jego życia, targanego walką, na bolesne wystawionego zawody.

Autor wzbogacony nowemi źródłami, rozszerza ramy życiorysu, w powtórném zwłaszcza wydaniu monografii niemieckiej. Opisuje tu ostatnie chwile Chopina w sposób nadzwyczaj rzewny. Szczegóły te, powtórzone według listu naocznego świadka ks. Aleksandra Jełowickiego, a zgodne zupełnie z opowieścią pana K., czytaliśmy niedawno w *Kronice Rodzinnej*; zatrzymywać się nad nimi nie będziemy. Przechodzimy więc śpiesznie do ostatniej części znakomitej monografii, do charakterystyki genialnego mistrza. Każdy rys psychiczny oddany tu najwierniej. Autor pokazuje w Chopinie najsamprzód człowieka, następnie artystę na tle współczesnej mu epoki.

W człowieku maluje dziwnie piękną i sympatyczną postać, wielką serdeczność w obejściu, skłonność do milczenia, powagę, wysokie poczucie osobistej godności. Kochał on sztukę z całym zapałem, z całym poświęceniem; pragnął służyć jej, rozwijać ją, podnosić do nieskończonych wyżyn; ale przejmowała go wstrętem myśl sama, aby ją uczynić narzędziem zarobku lub drogą do zdobycia zaszczytów. W czasach rozchwania romantycznego, wbrew panującej modzie, zachowywał nieskazitelną prostotę. W ogólności nie cierpiał przesady w każdym dziale sztuk pięknych. Utwory Michała Anioła przestraszały go; Rubens był mu nieznośnym. Obrazy Eugeniusza Delacroix, promotora romantyzmu w sztuce malarskiej, z którym łączyła go ścisła przyjaźń, raziły smak jego estetyczny; co témbardziej zadziwia, że Delacroix zachwycał się każdą jego kompozycją. Geniusz Beethovena nie był wcale sympatycznym Chopin'owi; w dziełach tego mistrza nie mógł dopatrzyć delikatnych zaokrągleń; ich założenie było dlań zbardzo kolosalne, wybuch namiętności zbyt gwałtowny. O Schubercie mówił z poszanowaniem; zarzucał mu jednak zbyt dużą powódź fantazyi, odbierającą urok prostoty znakomitym zładiną utworom.

Lubo urodzony z ojca Francuza i wtajemniczony od dziecka w mowę francuską, Chopin umiłował nadewszystko język macierzysty.

Harmonijny dźwięk mowy polskiej przypadał szczególnie do jego muzycznego ucha. Nieraz rozbierając z przyjaciółmi zalety cudzoziemskich języków, mowę polską wynosił pod niebiosa; nie mógł się dosyć nachwalić pełnych jej tonów, malowniczych wyrażań, jej giętkości połączonej z męską siłą, słowem, wielkiego jej bogactwa. W chwilach wesolego humoru lubił powtarzać zwroty wieśniaczej mowy, oryginalne i malownicze przy całej rubasznosci swojej; naśladował wybornie mazurów i krakowiaków. Mimo że doskonale mówił po francuzku, zachował przecież jakiś akcent odkrywający w nim cudzoziemca.

W ocenieniu Chopina jako kompozytora, p. Karasowski pokazuje się również biegłym krytykiem w sztuce muzycznej, jak głębokim myślicielem, który umie wnikać w pobudki twórczych natchnień i odnieść je do pierwotnego ich źródła. Ukazuje on geniusz Chopina w harmonii z wielkim ruchem umysłowym, jaki objawiał się w całym europejskim świecie po dokonanej olbrzymiej w dziejach epopei. Jako punkt wyjścia, przytacza słowa Musseta, słynnego poety francuzkiego, wyjęte ze *Spowiedzi syna wieku*:

„Kiedy wojny ukończyły się i wygnany Cezar dogorywał na dalekiej wyspie, gdy ściany błyszczały od portretów Blüchera i Wellingtona, z podpisem: „Zbawcom świata“, wówczas siadło na gruzach młode pokolenie, smutne, pogrążone w dumaniu. W żyłach tej młodzieży płynęła też sama krew, co niedawno rozlała się po świecie wrzącymi potokami. Młódź ta marzyła o białych śniegach Moskwy, to o skwaranych piaskach Egiptu; w duszy każdego falowało morze wspomnień, myśl gorączkowo ugasała pragnienia, leżące po za obrybem możliwości. Gdzie spojrzeć, na ziemię czy w gwiaździste niebo, wszędzie pustka, step głuchy! Dojrzali mężowie nie wierzyli w nic, uczeni żyli w ciągłych sporach, poeci głosili rozpaczliwe uczucia. Zwątpienie jak zaraza grosało w świecie ucywilizowanym!“

Reakcja była konieczną. Zrzyty klasycyzm nie mógł nakarmić serc łaknących krzepkiego posiłku. Nagły zwrot objawił się w poeciach wszystkich ludów, odbił się zarówno w poezji jak w innych działach sztuki. Myśl nowa, kiełkująca już tu i owdzie, wschodziła bujnie jak wschodzi ziarno po wiosennych roztopach. Ludzie przychodzili wszędzie do przekonania, że aby odrodzić się z martwoty, sztuka musi brać pokarm z życia i z obyczajów ludu wiejskiego. Ten nowy kierunek poetyczny, jak i nowy filozoficzny pogląd, znalazł u nas przedstawiciela w Kazimierzu Brodzińskim. Głosił on idee swoje z katedry uniwersyteckiej i po czasopismach, a co więcej urzeczywistniał je w poetycznych utworach, czerpniętych z serca ludu. Pełna zapału młodzież ugrupowała się wokół Brodzińskiego; przerażeni klasycy stanęli z innej strony: rozpoczęła się walka. Młodzież nastąpiła na łeb hydrze, kiedy zjawił się w szrankach genialny szermierz znad Niemna, i jednym zamachem zdusił w proch centaury!

P. Karasowski maluje tę chwilę gwałtownego przewrotu, i w gronie zapaśników pokazuje młodziuchnego Chopina. Właśnie kiedy wal-

ka wrzała z całą zaciętością, iskra twórcza zbudziła się w piersi artysty. „Zyjąc, mówi autor, pomiędzy młodzieżą która marzyła o poezyi ludowej, i nie bez powodu widziała w niej podstawę przyszłego rozwoju, Chopin wziął się pilnie do badania melodi narodowych, i przez artystyczne ich obrobienie, starał się nadać im trwałe stanowisko w sztuce muzycznej. Jakoż doszedł do celu. Żaden kompozytor nie potrafił oddać tak pięknie i tak wiernie owych smętnych rysów, przenikających nawskroś ludowe polskie melodye. Cała muzyka Chopina tchnie szlachetnym, pełnym wdzięku i prostoty zachwytem: ona godnym jest dopełnieniem, właściwie mówiąc, ilustracją naszej poezyi, wspartej na ludowym żywiole.“

Porwany w wir zewnętrznych wypadków, rzucony wśród obcych zdała macierzystego gniazda, Chopin wybiegał duchem coraz wyżej, a owa tęskna zaduma, cechująca ludowe pieśni nasze, coraz to harmonijniej zlewała się z wewnętrznym stanem duszy jego, i coraz silniej wyciskała piętno na twórczym geniuszu artysty. „Wprawdzie, dodaje autor, we wnętrzu jego pałał nieraz młodzieńczy ogień, i słodkie melodye płynęły zpod mistrzowskiej jego ręki; jednak zpoza uśmiechu błyszcząca zawsze ła: tęskna myśl wybiegała zawsze ku rodzinnemu gniazdu i ku cierpiącym braciom.“

Obok tych duchowych pobudek, jakie działały na artystę, pokazuje autor zewnętrzne wpływy, pod jakimi wyrabiał się i rozwijał twórczy geniusz kompozytora. Nie poddany wyłącznie żadnemu kierunkowi, w pierwszych utworach opierał się na Hummlu. Wpływ ten oddziaływał tylko na formę; w wyborze myśli Chopin okazywał od początku zupełną indywidualność.

„W mistrzu naszym, mówi pan K., łączyła się młodzieńcza elegancya z silną wrażliwością, słodycz z energią, nadzieja z głęboką zadumą, a to wszystko w takiej pełni, że snadno było widzieć, jak niewyczerpane źródło kryje się w jego duchu. W rzeczy samej bogactwo idei Chopina tak było wielkie, że nieraz jedną i tę samą myśl wyrażał w najrozmaitszy sposób, a przy każdym powtórzeniu, dzięki zewnętrznym arabeskom, czy harmonijnym zwrotom, czynił ją zawsze odmienną i zajmującą.

„Wszelkie rodzaje upiększeń, które cechują starą włoską metodę śpiewu, mówi dalej autor, umiał Chopin spożytkować z wysoką inteligencją. Pierwsze dzieła jego były bezwarunkowo wynikiem ówczesnych muzycznych tendencji; ale fantazyja naszego kompozytora sięgała nierównie głębiej, niż wszystkich poprzednich fortepianistów: on odkrył nam nową erę i utworował sobie nowe drogi; nie żeby chciał okazać się oryginalniejszym od innych, lecz że samodzielność geniuszu zmuszała go właśnie do tego.“

W ocenie kompozycji Chopina autor rozwinął całe bogactwo krytycznych swych poglądów. Każdy wyraz ma tu głęboką wagę; radziabymy wszystko powtórzyć. Ograniczeni szczupłością ram naszych, możemy tylko zrywać po drobnym kłosku z tego bujnego żniwa.

Wybornie autor charakteryzuje owe mazurki, które Chopin podniósł do takiej godności w świecie muzycznym i nieśmiertelnią potęgą geniuszu. „Zda się, mówi pan K., jak gdyby kompozytor chciał na chwilę rozerwać się wesołością motywu, i zagłuszyć nią sam siebie, niby upajającym narkotykiem, aby tém smętniej utonąć potem w morzu tęsknej zadumy.“

O słynnym polonezie z As Dur dowiadujemy się ciekawych szczegółów, które czynią ten piękny utwór prawdziwie legendowym. Późno w noc Chopin ukończył to dzieło; po raz pierwszy chciał w całości poprobować go na fortepianie. Dograł zaledwie do połowy; nagle słyszy jak drzwi rozmykają się; cały orszak polskich rycerzy w stalowych kolczugach i hełmach, z krzywą szablą u boku, wkracza w podwoje sali. Obok rycerzy stąpają lekko matrony w robronach i kornetach, dziewice w wiankach nad czołem, z długo puszczonei kosami. Orszak wkoło okrąża salę, szczęk szabl i chrzęst kolczug zlewa się harmonijnie z czarodziejską muzyką. Chopin przejęty strachem, ucieka z sali; przez całą noc nie śmiał powrócić do niej. „Jakoż w rzeczy samej, dodaje pan K., *crescendo* w środkowej części daje nam obraz pędzącego konno rycerstwa: słyhać zda się kopyta rozszalałych biegunów, poszczęk mieczów i zbroic!“

„Ballady, mówi autor, przedstawiają tyle nowości i tyle różnorodnych form, iż krytycy długo nie wiedzieli do jakiej zaliczyć je kategorii. Nazwano je właściwie poetycznym opowiadaniem; tak samo określić można *Scherza*. Chopin nadał im pierwszy śmiałą i samodzielną formę; natchnął je Szekspirowskim humorem.“

W marszu żałobnym widzi słusznie autor najwybitniejszy wyraz geniuszu polskiego kompozytora. „Ten mógł tylko utworzyć takie arcydzieło, w czyjej duszy odbiła się boleść milionów!“

Krótki nasz zarys nie może dać pojęcia znakomitej pracy pana Karasowskiego. Mamy wszelką nadzieję, że dzieło takiej doniosłości, popularne już w Niemczech i Anglii, ukaże się wkrótce i w języku ojczystym. Będzie to najpiękniejszy kwiat w artystyczno-krytycznej literaturze naszój.

Towarzystwo geograficzne paryzkie obchodziło uroczyste stoletnią rocznicę śmierci sławnego Cooka, zamordowanego jak wiadomo na jednej z wysp Sandwich, przez dzikich jój tubylców. Członek Towarzystwa Wilhelm Haber, opowiedział żywot sławnego żeglarza angielskiego, syna prostego wyrobnika, odkrywcy nowych lądów, którego imię miało stanąć w dziejach geografii, przy imieniu Krysztofa Kolumba. Inny członek, p. Hamy, dał poznać naukowe korzyści tych wypraw, które o piątą część powiększyły rozmiary lądów znanych na kuli ziemskiej. Nakoniec p. Cronier de Varigny, przybyły niedawno z Oceanii, gdzie spędził lat czternaście, wykazał postęp cywilizacyi w tej części świata, dokonany w przeciągu wieku.

Wielka sala posiedzeń przemienioną była w muzeum. Towarzystwo Londyńskie przysłało na uroczystość wszystkie pamiątki po Cooku, jego własnoręczne rękopisy, listy, mapy, rysunki, oręż, odzież i t. p. Osoby prywatne, tak z Anglii jak z Francji nadesłały mnóstwo akwarelli i fotografii przedstawiających odkryte przez niego kraje.

Rozdawano obecnym mapki z oznaczeniem dróg Cooka, jak niemniej broszury, obejmujące wyliczenie napisanych przez niego dzieł i broszur. Ilość ich bajeczna, świadczy co człowiek dokonać może, gdy wszystkie myśli i dążenia, do jedynego skierować umie celu.

Drugą uroczystość wyprawiło Towarzystwo geograficzne, na powitanie podróżnika francuzkiego p. Savorgnan de Brazza, przewodzący ostatniej wyprawy w głąb Afryki środkowej. Przejmująca to była chwila, kiedy w wielkiej sali sorbońskiej, wobec kilku tysięcy zgromadzonych osób, młody podróżnik, ogorzwały słońcem podzwrotnikowem, wybladły i wychudły skutkiem trzyletnich trudów, ukazał się na estradzie, wśród dwu towarzyszków: dr. Belay i majtka Hamona, przybranego w błękitny kaftan marynarski. Tysiące rąk przyklasnęło nieustraszonemu zapaśnikowi. Oklaski te powtarzały się co chwila, podczas gdy dowódca wyprawy opowiadał bajeczne swoje trudy i zawzięte walki, toczony tak z ludźmi jak z przyrodą. Nie naszą rzeczą iść w trop za dzielnym podróżnikiem; powiedzmy tylko, że ktoby chciał zarzucić brak energii młodemu pokoleniu, musi odwołać zdanie, patrząc na ludzi tak żelaznej woli, tak niezmordowanej wytrwałości, jak Brazza i jego towarzysze. Zdeptali oni 1300 kilometrów, na przestrzeni dotąd nietkniętej europejską stopą; ziemię tę skropili własną krwią, nie w przenośnym ale w rzeczywistym słowa znaczeniu; w ciągu pół roku bowiem, brnęli piechotą, boso, z poranionymi nogami, po gorącym piasku afrykańskim: zapas obuwia utonął podczas przeprawy. Dodajmy do tego dotkliwy nieraz brak wody i wszelkiego pożywienia; dodajmy chmary dzikich, którzy gradem strzał zasypywali przybyszów z dalekiego, nieznanego im świata; dodajmy powtarzające się zdrady samychże przewodników, a przyznać musimy, że miłość nauki prowadząca do takich ofiar, staje się niezaprzeczoną bohaterstwem. Co więcej, ci ludzie pełni poświęcenia, tak umieli w końcu wyprawy zjednać sobie dzikich tubylców, że dość było im wywiesić sztandar francuzki, aby pod tym palladyum, zapewnić sobie zupełne bezpieczeństwo.

Owocem tej trzyletniej wyprawy jest odkrycie całej kotliny rzeki Ogowe, której część tylko niższa, oblewająca kolonią francuzką Gabon, nakreślona była dotąd na mapach. Oprócz tego podróżnicy odkryli bieg dwu rzek, Alimy i Likony, wpływających do Kongo, a nieznanych dotąd geografom.

Brazza z całą prostotą, bez przechwałek, bez częściej deklamacji, opowiedział trzyletnie trudy swoje, zakończył wreszcie pięknymi słowy:

„nie żal mi podjętych mozolów, jeśli trzeba powtórzyć je znowu, rozporządzajcie mną; gotów jestem!” Słowa te przyjęto z najwyższym uniesieniem; ściany drżały od przeciągłych oklasków.

Towarzystwo wręczyło złoty medal dzielnemu eksploratorowi.

Wśród licznych stowarzyszeń istniejących w Paryżu, na szczególną uwagę zasługuje, tak zwana *Unia francuskiej młodzieży*, założona przed laty trzema, w celu szerzenia światła między robotnikami. We wszystkich okręgach Paryża istnieją kursa wieczorne urządzone jej staraniem. Członkowie Towarzystwa wykładają na nich historią literatury, higienę i inne nauki. Uczniowie szkoły sztuk pięknych oprowadzają robotników po muzeach, pokazują im arcydzieła pędzla i dłuta. Aby powiększyć zasoby swoje, Towarzystwo urządza raz w rok dramatyczny poranek: artyści pierwszych teatrów paryżkich biorą chętnie udział w przedstawieniu; najsymplicyjsi mówcy występują z konferencją. W tym roku, widowisko odbyło się w teatrze *Gaité*; przemawiał Akademię Légouvè. Poranek przyniósł 9000 franków.

Légouvè wziął stosunki rodzinne, za główny przedmiot konferencji; posłużyło mu do tego, własne dzieło, niedawno wydane, o którym mówiliśmy w tym roku: *Nasze córki i nasi synowie*. Z tego tematu improwizował przeszło godzinę, ze zwykłym sobie talentem dotykając kolejno najżywoźniejszych zagadnień. Między innymi przebiegł życie Jana Prie, prostego Bretończyka, który zamiłowany w badaniach przyrodniczych, został z szewca sławnym naturalistą. Przedmiot sam nastęrczył pole do uwagi; biegły mówca umiał skorzystać z niego. „Dziwiono się nieraz, rzekł, nad ogromną liczbą monety kursującej we Francji, otóż głowy we Francji nierównie bogatsze od worków. Po wsiach i wioskach naszych, więcej znaleźć intelektualnych zdolności, zagrzebanych beczynninie w umysłach, niż starych luidorów zaszytych w wełnianej pończochę. Martwy kapitał, spiący w mózgach francuzkich, przechodzi nawet bogactwem, żniwa i winobrania nasze. Wy, którzy trzymacie w rękę władzę, karczujcie zatem grunt umysłowy, niszcząc zastarzałą ciemnotę, a nie jeden Jan Prie wypłynie z łona ludu!”

W końcu prelegent dotknął najdrażliwszego pytania: wystąpił śmiało przeciw dwom żarliwym promotorom amnestyi dla komunardów: Ludwikowi Blanc i Wiktorowi Hugo. Uznając potrzebę jednorocznój służby wojskowej dla młodzieży francuskiej, wyrzekł pełne znaczenia słowa: „Gdyby 18 marca r. 1871, znalazło się w Paryżu z jakie tysiąc młodzieży, zaprawnej roczną służbą do karabina, byłiby niewątpliwie utworzyli ognisko, pociągnęli za sobą ludzi dobrej woli a chwijnego umysłu i starli w pierwszym zarodzie tę bezecną inzurekcyą. Tak, bezecną, powtarzam! Dać amnestyą komunardom, znaczy toż samo, co niewinnieć noc Bartłomieja!”

Cała sala przywodziła grzmiącym oklaskiem. Dowód wymowny że słowa Blanka i Hugo, wyrzeczone z trybuny, nie znalazły oddźwięku w trzeźwych umysłach Paryżanów!

Po długim oczekiwaniu, kilka dni temu nastąpiło wreszcie publiczne przyjęcie p. Renan do akademii francuzkiej. Uroczystość ta budziła powszechną ciekawość, mieli bowiem wystąpić wobec siebie, dwaj uczeni stojący na dwu całkiem przeciwnych krańcach. Wiadome są zasady Renana, miał mu odpowiedzieć p. Mezieres gorący i praktykujący katolik.

Mowa Renana, mimo całej świetności stylu, nie zadowolniła, wielu nawet z jego najgorliwszych zwolenników. Dlaczego? bo spodziewano się ze strony przeciwnika dogmatu o bóstwie Chrystusowym, że wystąpi w obronie swój zasady, że wesprze nią silnie antychrześcijańskie szkoly w zawziętej ich walce przeciw wielkim dogmatom. Tymczasem uczony ten filolog, świetny ten stylist, zawiódł zupełnie ich nadzieje. Oświadczył on, że badania jego o Chrystusie nie mają bynajmniej na celu ani wykazania prawdy bezwzględnej, ani jój propagandy; głównym albowiem celem uczonego jest pobudzić ludzi do myślenia, wyrwać ich z martwoty, dać im uczuć piękno, dać umiłować sławę! Te zasady Renana nie były dla nikogo tajemnicą, ale wypowiedzenie ich w akademii, szczególnież dziś, musiało oburzyć antagonistów Chrześcijaństwa. Sam Renan scharakteryzował wybornie wszystkie pobudki, jakie wiodły go do prac naukowych; oto jego własne wyrazy: „talent rozbudzony jakąś doktryną, daje poniekąd miarę jój prawdy!” Temi słowami kończy on długą mowę.

Najciekawszy ustęp z przemówienia Renana jest ten, gdzie wspomina życie i zasługi poprzednika swego Claude Bernarda, który zrodzony w chacie wieśniaczęj u podnóża Alp, dzięki geniuszowi swemu i wytrwałości w pracy, umiał zabłysnąć jako pierwszorzędną gwiazda na widnokręgu naukowym i wytknąć światu nowe drogi w dziedzinie fizjologii.

Genialne pomysły Bernarda otworzyły Renanowi szerokie pole do apoteozowania potęgi wiedzy ludzkiej i olbrzymich postępów XIX wieku. Ale skreślony przezeń obraz wielkiego fizjologa, nie byłby dokładnym, gdyby Mezieres w odpowiedzi swojej, nie dopełnił go kilku drobnymi, lecz ważnymi nadzwyczaj rysami. Mezieres pokazał w uczo- nym anatomście, który przez lat kilkadziesiąt, ze skalpelem w ręku, szukał w drgających ciałach, organicznych jestestw, tajemniczej zagadki życia, Mezieres, powtarzamy, pokazał w Bernardzie mędrca, wyznającego z całą prostotą, że są granice, poza które myśl ludzka przekroczyć nigdy nie zdoła. „Wiedza, mówi Bernard, zatrzymuje się u przyczyn bliskich zjawiskom; ale poszukiwanie pierwszych przyczyn leży za obrębem jój możności. Uczony przechodząc kolejno od jednej przyczyny do drugiej, sięga naostatek do *przyczyny głuchej*, która nie sły- szych pytań naszych i nie odpowiada już na nie.”

Według tradycji akademickiej, Mezieres wymienił cenniejsze prace Renana, podniósł właściwe im zalety. Z wielkim taktem przemilczał on o najgłośniejszej z tych prac, o *Życiu Jezusa*, nie chcą pobieżnie dotykać podobnego przedmiotu. Zatrzymuje się za to, nad *życiem Apostołów*. Do pochwał jakimi obsypuje świetny styl autora, dorzuca wielką szczyptę soli atyckiej.

„Ożywiłeś pan, mówi, grody starożytnej Hellady; przenosisz nas w wieki ubiegłe, z taką potęgą wyobraźni, że czytając te opisy, zdaje się nam, jakoby je kreślił naoczny świadek, towarzysząc wędrowek św. Pawła. Mamże jednak wyznać całą prawdę? Do podziwu naszego mięsza się jakaś obawa. Czujemy się raczej porwani blaskiem talentu, niż przekonani siłą rozumowania. Potok poezji tryska tak obficie ze słów pańskich, że patrząc na bogactwo poety, wątpimy niekiedy o roztropności historyka.

Zapytujemy się, z jakich dokumentów czerpnąłeś pan, nieznanie nikomu szczegóły? Wiele już pisano o świętym Pawle, nikt jednak, nie żył z nim dotąd w takiój jak pan, poufałości. Piszesz o nim, jakbyś widział go na oczy własne. Jakoż widziałeś go, bo malujesz w nim szpetnego żydka, pokazujesz go od stóp do głów. „Był on jak mówisz, krępy, mały, przygarbiony. Z szerokich ramion wybiegała dziwacznie mała łysa główka. Twarz blada tonęła w gęstej brodzie. Nos miał orli, oczy przenikliwe, swiwi czarne, zrosnione na czole. Nie pochlebiasz pan wiele bohaterom swoim!”

Z tonu żartobliwego przechodzi wreszcie Mezieres, do surowych zarzutów, ogładzonych przeciw całą wytwornością akademickiej dyalektyki; oto są jego słowa:

„Piękność formy, tak silnie porywa cię, panie, że są chwile, kiedy gotów jesteś, poświęcić dla niej wartość myśli. Przeraziły mnie słowa zasłyszane przed chwilą: „Prawda doktryny mierzy się talentem jej zwolennika.” Azaliż prawda nie istnieje sama przez się, niepodległa od swych tłumaczy? azaliż dostatecznym jest, aby wielki pisarz wystąpił przeciw prawdom, które uważamy za wiekuiste, a tym samym przetworzyć je miał w kłamstwa? Wszystkoż byłoby próżnością, oprócz sztuki wyrażenia pięknym językiem fantastycznych polotów wyobraźni, prócz pogoni za marną chwałą świata.

Piękne określenie Mezyera, że prawda istnieje sama przez się i własnym świeci blaskiem, przypomniało nam żywo śliczne słowa Jana z Czarnolasu, nakreślone przed trzystu laty:

Sama ona nagrodą i płacą jest sobie,
I krom nabytych przypraw, świetna w swój ozdobie.

Kończymy kronikę zapisaniem dwu pięknych koncertów, któremi artyści nasi zachwycili w tym roku paryżką publiczność. W jednym z nich wystąpiły dwie utalentowane paniutki: Jadwiga i Wanda Buleskie. Jadwiga, uczennica słynnego Vieuxtemps, wytworną grą na

skrzypcach, od lat dwu budzi w Paryżu podziw i słuszne zdobywa oklaski. Wanda, biegła fortepianistka, uczennica Beriota, gra utwory Chopina z wdziękiem i prawdziwem zrozumieniem. Koncert młodych artystek naszych, odznaczał się nadzwyczajną elegancją. Rozpoczęło go tryo Mozarta; obok dwu siostr dał się w nim słyszeć na wiolonczeli, p. Jacquard, profesor konserwatorium paryżkiego; zakończyła wieczór przesłiczna serenada, na skrzypce, fortepian i śpiew sopranowy.

Drugi koncert znakomitego fortepianisty, p. Alberta Sowińskiego, oprócz bogatego układu i całej świetności, miał jeszcze i ten pociągający urok, że nasz zacy artysta wystąpił w nim poraz pierwszy publicznie, od smutnego wypadku jakiemu uległ przed laty dwoma. Liczni jego wielbiciele mieli sposobność przekonać się, że złamana ręka, nie straciła dawniej biegłości ani siły. Z nowych utworów kompozytor nasz dał słyszeć raz pierwszy, wielki koncert na dwa fortepiany z towarzyszeniem kwintetu. Na drugim fortepianie grała panna Amelia Majdrowicz. Nowy ten utwór (op. 128), w formie klasycznej, pełen śpiewności, ma przejścia bardzo oryginalne. Niezmordowany artysta, oprócz trzech własnych kompozycji wykonanych solo, odegrał jeszcze na cztery ręce, z p. Antonim Kątskim, uwerturę do swojej opery p. t. *Le Modèle*. Łatwo pojąć jak poruszyła wszystkich złączona gra dwu mistrzów takiej siły. Głębokie też sprawiła wrażenie kantata p. Sowińskiego, poświęcona Piusowi IX, na pamiątkę przyjęcia w Rzymie pielgrzymów polskich; utwór to pełen powagi i namaszczenia. Wykonała kantatę biegła śpiewaczka p. Boidin Puisais, z towarzyszeniem chórow.

Ucho słuchaczy polskich dziwnie pieścił powtarzający się co chwila dźwięk narodowych melodi. Dwie śpiewki w naszym języku, z muzyką p. Sowińskiego, wykonane przez p. Maryą Majdrowicz, urozmaiciły poważny koncert. Mówimy tu o ślicznym Mazurze *Echo*, ze słowami p. Underowicza i o dumce wyśpiewanej u podnóża cudzych gór, zakończonej żałosną zwrotką:

Nad Alp szczyt biały—nad lodozwały,
Świat miłszy znam,
Ach! dla mnie jeden, na ziemi Eden:
Jam duszą tam!

Kiedy w pośród koncertu, poważna polska matrona hr. B...; wzięcia bukiet czcigodnemu nestorowi muzyków polskich, wielka sala Herza wstrzęsła się od przeciągłych oklasków. Był to zapewne jeden z najpiękniejszych tryumfów, jakie otrzymał p. Albert Sowiński w ciągu długoletnich prac na polu artystycznym.

Nazajutrz po koncercie, jeden z ziomków naszych przysłał artyście dziękczynny wiersz, skreślony pod wpływem świeżego wrażenia. Kto wyśpiewał te cudne pieśni? zapytuje poeta:

Onto, on zawsze, on Orfeusz drugi,
Już blaskiem sławy półwickowej odzian,

Co go nie znużył wiek ni trud tak długi,
 On starzec—myślę się, on wieczny młodzian!
 Z jegoto ręki, z jego serca płyną
 Te cudne dźwięki, co nigdy nie zginą.

Autorem tych rzewnych wierszy jest p. Wacław Gasztowt, zrodzony we Francyi. Prezyduje on towarzystwu młodzieży, wychowanėj jak on sam w szkole Batignolskiej. Towarzystwo to liczy stu kilkudziesięciu członków, pracujących w rozmaitych wydziałach.

PRZEGLĄD

LITERATURY POLSKIEJ.

1. Compendium politicum, seu brevis Dissertatio de variis Poloni Imperii Vicibus etc. Varsaviae, 1760, str. XII i 169. Scripsit Pyrrhys à Varillaëo, Eques Gallus. (Podręcznik polityczny czyli krótka Rozprawa o rozmaitych kolejach państwa polskiego i t. d. Napisał Pyrrhys de Varille) ¹⁾.
2. Dzieje Polski w zarysie, przez Michała Bobrzyńskiego. Warszawa, 1879, str. V i 457 w 8-ce.

Niejeden, przeczytawszy tytuł łaciński i rok wydania 1760, pierwszėj z powyższych książek, przetrze zapewne oczy i jeszcze raz przeczyta, ażeby się przekonać, czy go wzrok nie myli. Za drugim razem już napewno przekonany, że się nie omylił, zapyta być może: po co? *cui bono?* przypominać dzisiejszym ludziom książeczkę napisaną w języku umarłym, a do tego przed stu z górą laty? Otóż dla usprawiedliwienia się z tego anachronizmu dodajemy, że nie zdarzyło nam się czytać jėj rozbioru nigdzie, a na rozbiór taki bardzo zasługuje; powtóre, łączy ją pokrewieństwo treści ze świeżo napisanemi *Dziejami Polski* p. M. Bobrzyńskiego, o których kilka słów mamy powiedzieć. W tym celu podamy krótką treść obu książek i zakończymy kilku uwagami, jakie nam ich czytanie nasunęło.

O autorze *Podręcznika politycznego* dowiadujemy się z przedmowy, że był nauczycielem domowym u książąt Sanguszków, przemieszkujących wówczas w Lubartowie, zkąd datował inne swoje dziełko: *Reflexions politiques sur la Pologne*. Londres, 1772. Z dawnych katalogów przekonujemy się, że Pyrrhys napisał oprócz dwu powyższych książek jeszcze dwie inne, mianowicie: *Lettres sur la Pologne et ses diètes* (Varsovie, 1769), tłómaczone na język polski, oraz *Lettres sur la Constitution de la Pologne et ses diètes* (Varsovie, 1771). Dalej

¹⁾ Po polsku wyszło to samo p. t. *Zebrańie polityczne różnych odmian panowania polskiego*. Warszawa, 1763.

dowiadujemy się, że został zaszczycony szlachectwem polskiem i nie chcąc równie jak niegdyś Gallus „próżno jeść chleba polskiego“, pragnął się wywdzieczyć narodowi bardzo zdrowymi radami i uwagami w epoce, gdy się zanosilo na ważne reformy polityczne. Ponieważ nie mogliśmy dostać polskiego tłumaczenia owego *Compendium* czyli *Podręcznika*, trzeba było poprzestać na łacińskim oryginale, z którego obecnie króciutką zdamy sprawę.

Z przedmowy do stanu rycerskiego, napisanej bardzo oględnie, żeby nie podrażnić czutej na „złotą wolność“ szlachty, widzimy, że autor zanim książkę swoją oddał do druku, prosił „najznakomitszych mężów“ i w tej liczbie St. Konarskiego o jej przejrzenie. Równocześnie, w tym samym 1760 roku wyszła pierwsza część dzieła Konarskiego *O skutecznym rad sposobie*, a duch tej ostatniej książki dziwnie jest zgodny z duchem Pyrrhys'owego *Podręcznika*, osobliwie w krytyce *wolnego nie pozwalam, liberi veto*. Okoliczność ta pozwala się domniemywać, że Pyrrhys służył za narzędzie rodziny książąt Sanguszków, dzielającej reformistyczne plany, które naówczas Czartoryscy przygotowywali; a następnie, że Konarski mógł mu ułatwić pracę. Jak na cudzoziemca bowiem, okazuje Pyrrhys doskonałą znajomość osobliwie prawa publicznego polskiego, i nie zdaje nam się, żeby po kilku latach pobytu w kraju, zdołał tak pilnie przewertować główniejszych naszych kronikarzy i *Volumina Legum*. Jakkolwiekby, nie odmawiamy mu tytułu autorstwa, a w tém przyznaniu się, że pracę swoją dawał do przejrzenia „najznakomitszym mężom“, widzimy tylko jego skrupulatność i sumiennosc w sądzeniu o sprawach, których mógł dobrze nie rozumieć. Tém bardziej zaś czujemy dla niego uznanie, że myślał o napisaniu *Dziejów Polski dla młodzieży* wtenczas, gdy jeszcze nie istniały książki tej treści Teodora Wagi i Jana Bielskiego. Píše tedy Pyrrhys: „Dwie rzeczy zdają mi się być w szkołach bardzo potrzebne dla pożytku i nauki szlachetnej młodzieży: 1) krótka historia praw polskich, tycających się jedynie formy rządu, z pominięciem ustaw, tycających się prywatnych korzyści lub też dla starości zaniechanych; 2) jasny i jak najkrótszy opis urzędów tak ministeryalnych jak i ziemskich. Do tych dwu chętnieby dodał trzecie dzieło, obejmujące historią wojenną książąt i królów polskich, któreby, pominiawszy prawa i formę rządu, opowiadało tylko sprawy wojenne narodu, oraz uczyło, jak dzięki rozmaitym przymierzom z tyłu i tak różnych prowincyi urosło Królestwo. Taką to historią praw i wojen, jak niemniej opis urzędów, zamierzam *po polsku* ułożyć, ażeby młodzież tém chętniej nauczyła się jej i tém łatwiej zrozumieć mogła... Byłoby też bardzo do życzenia, ażeby ci, którzy przewodniczą wychowaniu młodzieży, szczególnież Konarski, mąż z tyłu względów drogi Rzeczypospolitej, odnowiciel nauk, postarał się o wypracowanie pod swoim okiem tego, że tak nazwę *Podręcznika wolności*“ (*Compendium polit.*, 65—66). Czyniąc więc jakoby zadość temu planowi wykładu historii naszej w szkołach, wypracował Pyrrhys pierwszą część programu i napisał

Historią prawa publicznego polskiego, albo raczej Historią rządu i ważniejszych zmian jego przez sejmy skutecznionych. Po przedmowie do stanu rycerskiego, Podręcznik, o którym mówimy, zawiera wiadomości wstępne o początku narodów i rozmaitych form rządu. To co tu czytamy, nie przedstawia nic nowego. Że człowiek z natury do społecznego życia jest stworzony; że w społeczeństwie przyrodzone własności swoje najlepiej może rozwinąć i dobra nabyte zachować; że rząd jest naturalnym i koniecznym wynikiem życia społecznego; że mu przysługują prawa: stanowienia władzy, prowadzenia wojny, wydawania uchwał, wymierzania sprawiedliwości, rozporządzania groszem publicznym, udzielania dostojęństw i nareszcie zwoływania na obrady narodu—wszystko to rzeczy znane, i nawet wówczas dla ukształceńszych ludzi nie obce. Przypomnienie wszakże tych ogólników w porze ciężkiej anarchii u nas, było bardzo potrzebne. Co się tyczy form rządu, tych po staremu rozróżnia Pyrrhus trzy, mianowicie: monarchią, arystokracją i demokracją, i podług tych trzech form rozważa dzieje dawnego rządu naszego. Dzieli zatem całą naszą historią na trzy części: w pierwszej mówi o *monarchii*, która od bajecznego Lecha aż do Kazimierza W. istniała. W tej części odróżnia jeszcze monarchią pogańską do Bolesława Chrobrego, i chrześcijańską od Bolesława do Kazimierza W., a więc przez 336 lat istniejącą. Druga część poświęcona rządowi *arystokracji*, które się ciągnęły od Kazimierza W. i Ludwika Węgierskiego do Kazimierza Jagiellończyka. Trzecia część mówi o *demokracji*, czyli o sejmach, i tu odróżnia trzy epoki, mianowicie gdy uchwały na sejmach przechodziły *większością głosów* (*pluralitate*) t. j. od Kazimierza Jagiellończyka do Zygmunta I; następnie gdy sejmy poczęły zrywać *mniejszość*, co się ciągnęło do Jana Kazimierza; i nareszcie, gdy do ważności uchwał zaczęto wymagać *jednomyslności* głosów, czyli gdy nastąpiło *liberum veto*.

Że podział ten więcej ma sensu i słuszności za sobą, niż utrzymujący się długo po naszych książkach na epoki: podbijającą, upadającą i t. d., to każdy przyzna, kto rozumie ważność organizmu rządowego w życiu narodu, kto pojmuje, że siłę narodu stanowi nie kilka mil kwadratowych więcej lub mniej, lecz energia samego rządu, jego stosunek do poddanych i wartość tych ostatnich. Podział więc politycznej historii naszej taki, jak go podał Pyrrhus, uważamy za bardzo właściwy i nawet dla dzisiejszego historyka stosowny.

To co nasz autor mówi o monarchii pogańskiej do wprowadzenia Chrześcijaństwa, niewiele warte. Na usprawiedliwienie jego wszakże to można powiedzieć, że i dziś pomimo wydanych rozmaitych *Monumentów* historycznych, niewiele więcej od niego wiemy. Sam on zaś uważa dzieje Popielów, Leszków i Krakusów za bajeczne, i króćć i rozsądniej je zbywa, niż niektórzy spótcześni a głośni nasi historycy. Już więcej pewnego mamy z czasów monarchii chrześcijańskiej. Monarchia ta była prawie absolutna, albowiem rada panów, duchownych, i świeckich, nie ograniczała króla w wykonywaniu władzy. Z tych

panów tworzy się z czasem senat, który już od Kazimierza W., a tém bardziej od Ludwika Węgierskiego stanowczo wpływa do rządów i tym sposobem monarchia przechodzi w arystokracją. Powoli tymczasem wzrasta stan szlachecki, który z początku przyklaskiwał panom, gdy chodziło o ograniczenie władzy królewskiej; ale gdy spostrzegł, że senat teraz do spółki z królami rządzi, zaczął myśleć o zdobyciu sobie także udziału w rządzie. Okoliczności sprzyjały temu dążeniu szlachty. Jagiełło w r. 1404 a 18 swego panowania, postanowił wykupić zastawioną Krzyżakom ziemię Dobrzyńską. Ponieważ zaś Ludwik prawie zupełnie szlachtę od podatków uwolnił, a Jagiełło także zobowiązał się do utrzymania tego przywileju; zatem dla zebrania summy potrzebnej na wykup owęj ziemi, trzeba się było odwołać do narodu. Jakoż polecono województwom, żeby się nad tą sprawą naradziły i rezultat narady złożyły na zjeździe powszechnym przez wybranych posłów. Taki był początek zjazdów czyli sejmików. A chociaż król i senat chcieli tylko wysłuchać zdania szlachty co do nałożenia poborów, i wcale owych posłów do rady nie wzywali; jednak szlachta poczuła, że jest potrzebną, i że może coś dla siebie wytargować. Jakoż dobiła się szlachta prawa udziału w rządach w lat 50, gdy Kazimierz Jagiellończyk w r. 1454 obiecał między innymi, że żadnych uchwał nie postanowi, ani ziemian na wojnę nie ruszy bez ich zgody i zezwolenia. Zdobywszy sobie tak cenny przywilej, szlachta pracowała nad jego rozszerzeniem za Alberta i Aleksandra, póki nareszcie Zygmunt I w roku 1510 nie uznał nietykalności posłów prawem publiczném i tych, co by się na nich targnęli, nie ogłosił za winnych *laesae majestatis*. Demokracja zatem wznosiła się ciągle pod Jagiellonami, z których Zygmunt I może najwięcej do wzrostu pomógł, oraz upadek jęj przygotował, zwłaszcza od sejmu z roku 1536, na którym *mniejszość* odniosła górę. Wtedy, jak mówi Pyrrhus, stan rycerski stronniectwami magnatów porwany i ambicyą ich przejęty, chybił swojego przeznaczenia; wtedy rozum ustąpił miejsca *zuchwałstwu*, wolność *wyuzdanu*, a honor *złotu*. Gospodarowanie stanu rycerskiego za ostatniego Jagiellona, a témbardziej po jego śmierci, zaczęło się na dobre i doprowadziło do przesławnej jednomyślności, do *liberum veto* za Jana Kazimierza 1652 r. „Nie chcemy, powiada autor, wchodzić, czy to było *nadużycie* czy nie; dość że od wprowadzenia *wolnego głosu*, już za Jana Kazimierza zerwano 7 sejmów; za Michała 4, za Jana III 7, a 30 za obu Augustów Sasów, i to w czasach najtrudniejszych“ (*Compendium polit.*, 117). Dodawszy do tego i te wypadki rozejścia się sejmów bez skutku, gdy jeszcze nie tamowało ich *liberum veto*, okazuje się, że od Zygmunta I do Stanisława Poniatowskiego, 70 sejmów rozeszło się na niczém, otwierając szeroko wrota anarchii. Trafnie więc powiedział pewien nuncyusz o sejmach polskich: *comitia laborant morbo comitali*.

Taka jest treść książeczki Pyrrhysa, której równęj dotychczas nie mamy. Jeżeli prócz tego zważymy, że dla łatwiejszego oryentowania się, dołączył 9 tablic, obejmujących genealogie panujących, sto-

pniove ograniczanie władzy królewskiej, rozkład i etat siły wojskowej podług konstytucyi z roku 1717, skarb i rozmaite rodzaje podatków, z przytoczeniem cyfr pokazujących stan naszego budżetu w początkach XVIII-go wieku: zgodzić się trzeba, iż Podręcznik ten był wyborem *Vade-me-cum* politycznym nie tylko dla młodzieży, lecz i dla starszych. Na wóz ten godziłoby się dzisiaj ułożyć podobne *Compendium*, korzystając z nowszych rezultatów dziejopisarstwa. Jedno tylko w książeczce tej zdaje nam się być niepraktycznym, mianowicie to, że autor ubolewając nad bezsilnością praw, radziłby zaprowadzić jakiś Najwyższy Trybunał, któryby czuwał nad egzekucją praw zarówno ze strony panującego jak i poddanych, a był wyższym od obu; gdyż „tylko pod mocą praw istotna wolność i dobro publiczne mogą być zachowane“ (*Compendium polit.*, 137). Pojmował tedy nasz autor państwo całkiem po nowożytnemu jako państwo prawne (*Rechtsstaat*). Czy jednak ów najwyższy trybunał nie doszedłby z czasem w opiece nad królem, do tego samego co i sejmy szlacheckie, nad tém Pyrrhys nie zastanowił się, a cały projekt wyraził w ogólnej formie życzenia.

Mamy w literaturze naszej kilka książek podręcznych szkolnych do uczenia dziejów ojczystych; że wszystkie one, pomimo niejakich zalet, nie odpowiadają wymaganiom i pedagogicznemu i naukowemu; że żadna z nich nie poszła drogą wskazaną przez Pyrrhysa; że dobry podręcznik do nauki dziejów ojczystych ciągle jeszcze stanowi *desideratum*, o tém wszystkim wiadomo.

Dlatego pojawienie się *Dziejów Polski* p. M. Bobrzyńskiego powitaliśmy jako książkę potrzebną i pożądaną. Z kolei więc musimy się jój przyjrzeć i ocenić, co nam nowego w tym przedmiocie podaje, o ile od utartej rutyny odstępuje, do jakich wniosków dochodzi, i na jakich dowodach je opiera.

Zauważmy najprzód, że *Dzieje Polski* p. Bobrzyńskiego nie stanowią ścisłego, choćby krótkiego wykładu naszej historii, lecz szereg rozumowań o niej z przytoczeniem wybitniejszych faz życia i rozwoju prawa publicznego. Z tego względu książka ta mogłaby być nazwaną prawnopolitycznym podręcznikiem do nauki historii. Autor nie opowiada szczegółów, faktów drobiazgowych; przypuszcza je w swoim czytelniku jako znane. Nawet faktów ważnych, stanowiących przełomy w rozwoju naszych dziejów nie przytacza w całej rozciągłości, lecz kreśli je ogólnemi rysami i dopiero z tego wyprowadza pewne wnioski. Czytelnik zatem albo musi mieć w głowie całą historią, albo inną książkę pod ręką, ażeby mógł zrozumieć jak należy rozumowanie autora. Taka metoda pisania dziejów, czyni wykład ich dostępnym tylko dla umysłów dojrzałych, już jakotako w historii wyćwiczonych; dla począynających się uczyć, mało lub niewiele przynosi korzyści. Nie uważamy bynajmniej metody takiej za złą, lecz charakteryzujemy książkę dla dania o niej pojęcia tym, którzy jój nie czytali.

Ale chociaż podobna metoda pisania historii jest sama w sobie usprawiedliwioną, jednakże z drugiej strony kryje wiele niebezpie-

czeństw dla piszącego, a czasami i dla czytającego. Dzieje bowiem, choćby jednego narodu, składają się z takiego mnóstwa najrozmaitszych faktów znanych, tak różnostronnych i poplątanych ze sobą, że pomimo najbystrzejszej krytyki i najlepszej woli, mogą prowadzić autorów do najrozmaitszych poglądów, wprost sobie przeciwnych; do wniosków, które się podobają pewnej szkole, pewnemu stronnictwu, pewnemu systematowi rządowemu. Cóż dopiéro mówić o faktach nieznanach, które przecież składały na równi ze znanymi wątek dziejów, a których już dziś nie możemy wciągnąć do uzasadnienia wniosków! Kronikarze dzisiejsi notują ledwie niewielki utamek zdarzeń codziennych tak, że z tych okrucichów niełatwo odbudować całość dziejową, choćby lat kilkunastu. Kronikarze dawniejsi jeszcze mniej faktów podawali, a temsamém z tych utamków najgenialniejszy historyk zaledwie przybliżony obraz całości utworzyć jest zdolny. Dlatego téż historia, nie mówiąc o innych wielu trudnościach, nie tylko nie może być nauką ścisłą, lecz co gorsza może służyć do tworzenia najdziwaczniejszych hipotez; do usprawiedliwienia szaleństw i zbrodni, marzeń i z góry powziętych teoryi; słowem, może stanowić arsenał broni obosiecznej, być mistrzynią życia, jak ją nazywali starożytni, oraz nauczycielką śmierci politycznej. Że takim narzędziem politycznym historia, albo lepiej mówiąc historyk być może, to wiadomém jest nawet tym, co historii nie piszą, tylko ją czytają. Tak więc metoda, którą obrał p. Bobrzyński do wykładu naszych dziejów, kryje niebezpieczne sidła i jedynie w ręku bardzo wytrawnego dziejopisarza może doprowadzić do wniosków przedmiotowych i jakotako trwałych. Zobaczmy zatem do jakich wniosków doszedł autor.

Najprzód dajmy opis zewnętrzny samej książki i jój treści. Z przedmowy dowiadujemy się, że autor nie ma „większej ambicyi, jak ażeby zarys ten utworował drogę dziełu Szujskiego w tych drażliwych kwestyach, w których się z nim będzie zgadzał” (str. V). A więc będą drażliwe i drażliwsze kwestye. Ta drażliwość zapewne dotyczy tych, co będą czytali; boć w historii traktowanej obiektywnie, *sine ira et studio* drażliwych kwestyi niéma. Historia, to sąd potomności o czasach i ludziach dawno zmarłych; wobec tego trybunału, drażliwości muszą ustać i w historyku i w czytelniku. Historyk, o ile można wnosić, pozbył się drażliwości; czytelnicy są jeszcze bardzo drażliwi, skoro jeden z gazeciarzy wziął p. Bobrzyńskiemu prawie za zbrodnię jego *Dzieje Polski* (*Gazeta Polska* z kwietnia r. b.).

Po przedmowie następuje wstęp, w którym autor zastanawia się nad pojęciem i podziałem historii polskiej na okresy. Tu, na samym początku, czytamy osobliwe twierdzenie, mianowicie, że „cel, do którego zmierza dziejopisarstwo każdego narodu polega na tém, żeby pojedyncze zdarzenia historyczne związać i skupić w wielkie, jednolite grupy, a tém samém podział dziejów na okresy obmyślc” (str. 1). Namby się zdawało, że celem dziejopisarstwa jest najprzód poznanie faktów czyli prawda historyczna, a następnie zastosowanie téj prawdy do życia

publicznego. Podział na okresy, to tylko środek, nie cel historyi, ażeby lepiej objąć całość historyczną, która stanowi wążek nierozzerwany. Że ten podział nie powinien być bezzasadny, na to zgoda. A zatem jaki ma być? Autor dzieli całość naszych dziejów na trzy okresy: patryarchalny, patrymonialny i prawny. Pierwszy okres „państwa patryarchalnego, państwa Bolesławów, kończy się w połowie XIII wieku z chwilą, gdy na Polskę spadły nawały Mongołów.” Drugi okres obejmuje: „ustrój państwa polskiego średniowiecznego, zwanego patrymonialnym, które od połowy XIII wieku przetrwało aż do końca XV stulecia.” Okres trzeci nastąpił, gdy „złamano średniowieczne przywileje i urządzono państwo nowożytne, tak zwane prawne.” To ostatnie nie mogło się należycie rozwinąć, strawiła je anarchia i położyła mu koniec 1773 r. Z dziejów po tym roku możnaby utworzyć nowy okres, którego autor nie nazywa żadnym terminem, ani go w książce nie dotyka.

Z tego widzimy, że za podstawę podziału naszej historyi wzięto punkt widzenia prawny, albo lepiej mówiąc prawno-polityczny. Nie można zaprzeczyć, że jest on zasadniejszy wogóle i usprawiedliwiony rozwojem historycznym, chociaż nie może być uważany za jedyny. Jaki mógłby być inny, o tém nie chcemy się rozwodzić, gdyżby to przechodziło granice obecnego sprawozdania.

Dalej następuje rozdział „O nauce historyi polskiej i jój umiejętném badaniu.” Tu wspomniawszy pobieżnie o dawnych kronikarzach, autor podniósł nieco szczegółowiej zasługi Naruszewicza i jego szkoły (?). A do szkoły téj zalicza Ossolińskiego Józefa, Czackiego, Albertandego, Gołębiowskiego, Niemcewicza, Bandtkego i innych. Szkoła ta, podług mniemania autora, nie zdawała sobie „zgoła sprawy z wielkich przewrotów społecznych i politycznych, przez jakie przechodził naród; brakło jój wszelkiego głębszego pojęcia rzeczy, zaniedbała wykrywania ogólnych wad narodowych, uważając je jako kalandr własnego gniazda i świętokradztwo” (str. 12—13). Tu mielibyśmy do nadmienienia, że o szkole Naruszewicza mowy być nie może, przynajmniej w takiem rozumieniu szkoły, jak to dziś Niemcy rozumieją, gdy mówią o szkole historyografii pruskiej lub austriackiej. Jestto przenoszenie pojęć dzisiejszych w czasy, co najmniej o pół wieku dawniejsze. Żeby znów ta mniemana szkoła historyczna nie zdawała sobie „zgoła sprawy z przewrotów politycznych i społecznych; żeby jój brakło *wszelkiego* głębszego pojęcia rzeczy, na to się nikt nie zgodzi, kto dzieła jój czytał i pamięta, że ani świat, ani nauka jakakolwiek nie od niego dopięro się poczynają.

Z tego „zaskorupienia i płytkiej deklamacji” wyrwał dziejopisarstwo nasze dopięro J. Lelewel i jego szkoła. Ale i ta szkoła układała dzieje *a priori*, nakręcała fakta historyczne do swojego systematu. Do szkoły Lelewelowskiej zalicza autor Chodźkę Leonarda, Moraczewskiego, Wróblewskiego, Szujskiego, Morawskiego i w. i. Za przykładem Lelewela niektórzy z nich widzieli u nas już za Bolesławów jakieś

gminowładztwo, wyłączali naród polski i jego przeszłość zpod praw ogólnych, przyznawali mu jakąś misją wyjątkową w ludzkości, nazywali Polskę Chrystusem narodów (str. 16—20).

Charakterystyka szkoły Lelewelewskiej jest, zdaniem naszym, sprawiedliwsza i zgodniejsza z duchem dzieł zaliczanych do niej, aniżeli ocena szkoły Naruszewiczowskiej; daleko jej przecież do tego, żeby była całkiem sprawiedliwą. Zdaje nam się nawet, że w książce podręcznej, będącej jak sam autor przyznaje kompilacją tego co inni zrobili (Przedmowa, str. IV); taka dorywcza charakterystyka licznych pisarzy jest niepotrzebna, a nadto jak w tym razie bardzo wątpliwą wartości. Wygląda to, jak gdyby autor chciał wszystkich naszych historyków do szkoły zapędzić, mówiąc im: słuchajcie, byliście jak w rogu, uczcie się odemnie! Nazywamy takich śmiałych reformatorów fanfaronami i mówimy sobie, że dłuższa praca, większe doświadczenie, sądy ich zmodyfikują.

W tym stanie naszej historyografii „był więc dla nas, jak powiada p. Bobrzyński, *ostatni (?)* czas, ażeby się ocknąć i nad przeszłością naszą rozpocząć pracę nową i na lepszych podstawach opartą“ (str. 27). Praca taka wielkimi (?) postępuje kroki, korzysta przedewszystkiém z rezultatów (a przecież były błędne?), jakie jej pozostawiły dwie szkoły poprzedzające, a *pleniące (?)* z nich szczegóły błędne i szkodliwe, zachowuje sobie zdrowe i pożyteczne (str. 29). Szkoda tylko, że ta nowa szkoła „skupia się dopiero niemal wyłącznie w drobniejszych rozprawach i monografiach“ (*Ibid.*).

Z kolei następuje rozdział zawierający krótką naukę o państwie i społeczeństwie. Są to bardzo pospolite i znane wiadomości, które można spotkać w każdej encyklopedyi nauk politycznych, ani bardzo nowe, ani bardzo potrzebne. Przypuszczać bowiem należy, iż ten, kto się uczy historii, słyszał o tém wszystkiém na pierwszej lekcyi. Ale z pomieszczenia tych wiadomości nie myślimy czynić zarzutu autorowi, może się bowiem zdarzyć czytelnik, który nie wie co jest państwo, a co społeczeństwo.

Po tych przygotowaniach literacko-bibliograficznych, zaczyna się już właściwa historia okresem pierwszym od X do połowy XIII wieku, w którym państwo polskie było patryarchalne. Ponieważ Polaków losy umieścić w rzędzie szczepów słowiańskich, więc najprzód opowiada autor o tych szczepach, mianowicie o Rusi i Bulgarach, Serbach, Kroatkach, Słoweńcach i Czechach. O Polakach mówi w następnym rozdziale i tym sposobem rozpoczyna właściwe dzieje Polski. W tych postrzeżeniach ogólnych o Słowianach, spotykamy słuszne lubo nie na miejscu będące utyskiwania nad tém, że „Słowianie nie wyrobili w sobie poszanowania prawa i despotycznej władzy; że nie mieli poczucia siły, jaką daje wewnętrzna karność i zgoda; że w skutek tradycyjnej swojej niezgody i przesadnego zamiłowania wolności, nie byli jeszcze dojrzałi“ (str. 45—46). Wszystko to może być prawdą, ale nie jest znów tak specyficzną cechą słowiańską, lecz raczej znamieniem wszys-

tkich ludów pierwotnych. Ani też poszanowania prawa nie można kłaść na równi z poszanowaniem despotycznej władzy, zwykle bowiem rzeczy te nie chodzą w parze: despotyzm i prawość wyłączają się. Kto miłuje i szanuje jedno z nich, musi nienawidzić drugie. Despotyzmu bez samowoli i swawoli pojąć trudno; prawo zaś jest prawem dlatego, że samowolą i swawolą czyto jednostki czy masy ludu powściąga.

Zbliżamy się nareszcie do samych Polaków i przyglądamy się, jak z oddzielnych plemion tworzy się naród, jaką była jego religia, jakie związki polityczne, jakie ludy (zdaje się że powinno być rody, *gentes*). Cały ten ustęp jest u Roeppla porządnie wyłożony, przyczém niemiecki autor dodaje, że w braku źródeł społecznych, tylko z późniejszych przez analogią można sobie tworzyć jaki taki obraz pierwotnych stosunków społecznych u Słowian, zanim rozpoczęli byt historyczny. Nasz autor posuwa się do twierdzenia, że „ludzie nie łączyli się wtenczas jeszcze w żadne wsie lub osady, że każdy w ostępie leśnym zakładał sobie osobne domostwo” (str. 55). Biorąc miarę z dzisiejszych tak zwanych dzikich ludów, u których nic podobnego nie widzimy i przypuszczając, że przodkowie nasi w VII lub VIII wieku byli jeszcze dzikimi, trudno sobie wyobrazić pomiędzy nimi stanu podobnego do tego, jaki kreśli p. Bobrzyński. Jest też to *tabula rasa*, na której każdy etnograf może pisać co mu się podoba.

Wśród plemion lechichich, najdzielniejszy Polanie mieszkający nad Wartą wybili się zpośródka innych, ujarzmili sąsiadów i dali początek państwu Polskiemu. Kiedy to nastąpiło, trudno powiedzieć na pewno; dość, że około połowy X wieku książę tego waleczniejszego szczepu, Mieczysław, przyjmuje wiarę chrześcijańską, wchodzi w związki z cesarstwem Niemieckiem i tym sposobem ratuje swoje plemię od zagłady, jaką już Niemcy zgotowali dla innych plemion słowiańskich mieszkających dalej na zachód nad Odrą i Elbą. Miał to być ze strony Mieczysława głęboko obmyślany krok polityczny, ale też i zdrada względem reszty Słowian—ba, nawet w samej Polsce, jak utrzymuje p. B. „umysły płytko sądzące a krzykliwe, jakich nigdy nie braknie, nie mogły czy nie chciały mądrego *postępywania* Mieczysława zrozumieć” (str. 70). Może to postępowanie było i mądrém, o to nie będziemy się spierali; ale z kąd się wzięły „umysły krzykliwe” w tych czasach, gdy mało kto mógł rozumieć jakąś politykę książęcą, gdy jeszcze nie było antagonizmu między Lwowem a Krakowem, między Stańczykami, demokratami i świętojurcami? Nareszcie może były takie krzykały, a może ich i nie było. Kto to wie? Kto tu ma słuszość? Czy ten, co twierdzi bez dowodu, przejęty dzisiejszemi pojęciami; czy ten co przeczy dlatego właśnie, że niema dowodu? Przecież kto coś twierdzi, dowieść tego powinien; w przeciwnym razie, powiedzą, że na wiatr mówi.

Bolesław Chrobry był dzielnym wojownikiem, zdobywcą, organizatorem państwa i pochwały dla niego są słuszne i dawno uznane

za sprawiedliwe. Niemniej jednak nie chce nam się wierzyć, ażeby to państwo które Mieczysław i Bolesław Chrobry w przeciągu ośmdziesięciu lat zbudowali, było „groźne całej Europie” (str. 81). W taki sposób przebiegamy pokrótce następne panowania, o których nie wiele można powiedzieć dla braku źródeł. Jest to bardzo właściwe traktowanie, gdyż i Salomon z próżnego nie należy, a kto pisze historią nie romanse owych czasów, ten nie może jak Bartoszewicz, rozsnuwać na tomy całe, wątku wystarczającego ledwie na kilka lub kilkanaście kartek. Nie mamy więc za złe p. Bobrzyńskiemu, że nas niedługo przy pierwszych Piastach zatrzymał. Na krótkość zatem jego nie będziemy narzekali, tylko przy tej krótkości należało być ściślej w redakcyi swoich myśli, i nie wygłaszać zdań podobnych do tych, jakieśmy przytoczyli, i jakich więcej się znajduje w opisie każdego panowania.

Jak Bolesław Krzywousty Polskę podzielił, jakie ztąd wynikły domowe kłótnie i osłabienie całego kraju, tego nie widzimy potrzeby za autorem powtarzać, jako rzeczy dostępnych dla każdego w pierwszej lepszej księżce. Przejdziemy więc do drugiego okresu, który trwał od połowy XIII do końca XV wieku. W okresie tym słusznie zwrócono uwagę na kolonizacyą niemiecką, która zaludniła spustoszone przez napady Mongołów wsie i miasta; a chociaż mogła ztąd wyniknąć germanizacya, jakiej już Szlązk uległ, jednak miała i dobre swoje następstwa, mianowicie pewien ład i gospodarność, które przybysze z sobą przynosili i które się udzielały polskiej ludności (str. 133). W tym także okresie, dzięki podziałom kraju, wydobywa się rycerstwo czyli szlachta, oraz hierarchia kościelna coraz bardziej niezależna od panującego; zmienia się stosunek rozmaitych stanów społeczeństwa: magnaci przychodzą do świadomości swój siły i biorą udział już stanowczy w radzie księcia lub króla.

Rozszarpany kraj zaczyna się powoli zrastać, upadłą królewskość podnoszą: Przemysław, potem Władysław Łokietek i Kazimierz W. Nim do tego przyszło rządził Wacław czeski (1296—1306), a chociaż rządy te były krótkie, autor przypuszcza, że bez nich, możebyśmy się już nie zdobyli sami na jednolitą monarchią (str. 144). Prawda, że kraj był rozbity na dzielnice, korona w prochu, tylko co podniesiona (Przemysław), myśl jedności politycznej zatracona: pomimo tego wszystkiego, a raczej dla tych wszystkich okoliczności nie łatwo uwierzyć, ażeby Wacław czeski zdołał w ciągu kilku lat swoich rządów tyle zdziałać, dla jedności, iżby bez niego do niej nie przyszło. Jednoczenie państw z rozproszonych odłamów odbywa się wiekami nie w kilku latach; o tém wiedzą wszyscy a zwłaszcza historycy. Dlatego powyższe wyrażenie autora kładziemy na karb pośpiechu i fantazyi. Wogóle do historyka nie należy sfera możebności: coby było nastąpiło, gdyby Wacław czeski nie był u nas rządził, tego ani autor, ani nikt nie zgadnie.

Rządy Łokietka i Kazimierza W. są w książce p. Bobrzyńskiego wcale dobrze opracowane: obaj monarchowie cieszą się sympatją autora i słusznie. Jednak w ustępach, gdzie mowa o Krzyżakach, przydałoby się więcej godności pisarskiej: tak gdy autor opowiada wojny i zatargi z obu Piastami jak i później, gdy kreśli walki za Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka. Niemców można nie lubić; to rzecz gustu, ale polityka ich nie była lepsza ani gorsza od polityki wszystkich czasów.

Po śmierci Kazimierza W., podczas bezkrólewia i za rządów Ludwika węgierskiego, możnowładztwo zyskuje przewagę w sprawach publicznych. Chwila to w naszej historii ważna i autor słusznie nad nią się zastanowił i słusznie pewien okres od tego czasu datuje (1370—1423). Mamy tylko wątpliwość małej wagi. Mianowicie, zdaje nam się, że twierdzenie o formalnym ślubie Wilhelma i Jadwigi, będących dziećmi, jest zbyt kategoryczne (str. 174). Jeżeli Rzym unieważnił ślub, to nie musiał on być formalny.

Rzecz to, jak powiedziano, nie tak wielkiej wagi i nie wspominamy o niej, gdyby nie dowodziła raz jeszcze, że autor w redakcyi swoich myśli nie bardzo był ścisłym. Albo co powiedzieć o takim zakończeniu charakterystyki, bardzo zresztą prawdziwej, Zb. Oleśnickiego: „Zgryziony nawskróś umarł w tymże roku (1454) Zbigniew, człowiek który o dziesięć lat żył zadługo?” (str. 211). Rozumiemy, że dla sławy Oleśnickiego byłoby lepiej, gdyby pod koniec życia swojego nie był rycerstwa do „anarchii przyzwyczajął”; lecz czy kto żył zadługo o dziesięć lat, czy o tyleż zakrótko, o tém historyk nie może decydować. Jako figura retoryczna, wyrażenie owo nie podlega zarzutowi.

Trzeba oddać słusność autorowi, że schyłek XV i początek XVI wieku w całej jego książce jest jeszcze najlepiej opracowany. Widocznie, że czasy te gruntowniej badał, osobiście ze strony prawno-politycznej i dlatego zgodniej z faktami i spokojniej je opisał.

Walka magnatów z koroną, zdobywanie przez nich coraz większych przywilejów, za Jagiellonów wątplenie władzy monarchicznej, która prawdę mówiąc bronić się nie umiała; wszystko to czyta się w *Dziejach Polskich* z mimowolnym przyznaniem prawdy, jakkolwiek rzeczy to ani nowe, ani tak niepojęte, jakby się poczynającym historykom zdawało. Nie rozumiemy tylko nieuzasadnionych sympatii w historyku do pewnych panujących, a znów antypatii do innych. Wprawdzie istotna wielkość charakteru w panujących, podoba nam się więcej niż małoduszność i ograniczone ich zdolności. Każdy woli Warneńczyka ginącego marnie, niż Poniatowskiego, którego damy powstrzymują w podróży do obozu, żeby kataru nie dostał: sympatya lub antypatya w tych razach jest uzasadnioną. Ale nie wiemy, dlaczego historyk miał tak wysoko podnosić Jana Alberta, jak czyni p. Bobrzyński; a tak znów lekceważyć Zygmunta I i Zygmunta Augusta, których autor bez ceremonii traktuje. Czy dlatego, że dotychczas traktowano tych monarchów wprost przeciwnie? Miałyby w tém pojmowaniu leżeć owe

drażliwsze punkta, dla których autor zamierzył torować uznanie? Sądzimy, że są jeszcze inne. To, że Jan Albert „wolałby się wyzuć z własnej koszuli, niż się podzielić choćby z bratem, swojemi zamysłami,” niekoniecznie dowodzi wielkości (str. 231). Nie jest też dowodem małości Zygmunta I, że monarchów do zgody zachęcał (str. 248), jakkolwiek wojowniczy animusz naszego autora, radby go z tej ociężałości wyruszył. Są w panowaniu tego króla inne nieogłędne czyny (np. stosunek do Prus książęcych), które krytykować można, ale nie przystało gniewać się na niego, za nakłanianie do zgody monarchów europejskich. Zygmunt August nie należy do genialnych monarchów: był dojrzałym, miękkim, bez trwalszych przekonań religijnych i politycznych; nie był jednak taką pospolitą figurą, jakim go autor w swój książce przedstawił. Dokonaną przez niego unii w Lublinie można to i owo zarzucić; ale nie zgodzimy się nigdy, żeby to był „błąd zasadniczy” (str. 287). W wielu miejscach całkiem już nie rozumiemy autora. Tak np. mówiąc o kandydatach do tronu po Zygmuncie Aguście, powiada, że „kandydaturze Iwana Groźnego, przykład Jagiełły przyświecał i że myśl ta była, niewątpliwie największa i najpolityczniejsza, z całego bezkrólewia” (str. 302). Co dla jednych jest niewątpliwem, o tém drudzy mogą bardzo wątpić. Czy unia Brzeska za Zygmunta III była błędem, o tém z nieszczęśliwych wojen kozackich, nie można wyrokować; były bowiem do nich i bez unii liczne przyczyny, o których nie tu miejsce rozprawiać. Zdaje nam się przecież, że unifikacja religijna, jakkolwiek przedsiębrana z pobudek religijnych, mogła z czasem stać się potężnym czynnikiem politycznym. Błąd leżał nietylko w samej myśli, ile w wadliwem jej przeprowadzeniu. Tak się nam zdaje. Lecz jakkolwiek na fakt ten patrzeć będziemy, nie należy on do pospolitych, a ludzie, co myśl do niego podali, nie byli idyotami. Cały ustęp traktujący o tej sprawie dowodzi, że autor patrzył na nią nie swojemi oczami i korzystał tylko z tego, co strona przeciwna lub nieprzyjazna o niej pisała (str. 334—336).

Panowanie Zygmunta III opisał p. Bobrzyński nadzwyczaj nieprzychylnie. Paradoksów na kilku kartkach nagromadził tyle, że do ich zbitcia potrzebaby drugiejk takięj, jak jego, książki. Czyż bowiem nie jest paradoksem węzłowate zdanie, że „lepiej jest króla, który kraj zdradza, z tronu stracić, niż go na nim ponizonego zachować” (str. 333). Stosuje się to do Zamoyskiego, którego autor karci zato, że nie postąpił z Zygmuntem III tak, jak Karol sudermański. Coto za zdradę popełnił Zygmunt III? Może jego polityka była błędną; może p. Bobrzyński w jego miejscu byłby się trzymał innęj, ale zdrajcą Zygmunt nie był. Tenże Zygmunt w swojej szkole miał „wychować anarchistów” i poniewierać „najświętsze interesa narodu” (str. 339); jego to polityka była źródłem rokoshu Zebrzydowskiego; była ona jawna, ale czelna i konsekwentna (*Ibid.*). Nietylko fakta są naciągane w tej filipice, ale i język godzien nie historyka, lecz galicyjskiego dziennikarza. Dlaczego polityka Zygmunta była *czelna*? Czy autor rozumie

teraźniejsze znaczenie tego wyrazu? Broniąc niby w swęj książce zasady monarchicznej, autor znajduje okoliczności łagodzące i dla rokосу Zebrzydowskiego i dla anarchicznych dążeń Jana Zamoyskiego, byle tylko sponiewierać samego króla. Jestto co najmniej niekonsekwencya; zaraz bowiem o kilka stronnie niżej twierdzi, że „upadek nasz wewnętrzny datuje się dopiero od rokосу Zebrzydowskiego” (str. 344). Zresztą autor w rozmaitych epokach widzi początek upadku, tak, że nie wiadomo ile tych początków naprawdę było.

Władysław IV nazwany jest królem „fantastą” zato, że przy pomocy kozaków nie przygasił „anarchii szlacheckiej, krwią szlachecką,” lecz się uląkł krzyku szlacheckiego (str. 375). Jużto do krwi autor ma wielki pociąg. Czyżby żelazny księżę pruski zapalił w nim tę chętkę swójm *Durch Blut und Eisen*? W ustach potężnego ministra zastosowane do polityki będącej w robocie, brzmi to groźnie; pod piórem literata, stosowane do polityki, o której nawet niewiadomo napewno, czy się z nią król nosił, wygląda komicznie. Nie możemy też przystać na twierdzenie, żeby panowanie Władysława IV przepełniło czarę naszą niedoli (str. 375). Bywały potém czasy jeszcze gorsze, o czém wiedzą malcy uczący się początków naszej historii. Jeszcześmy za Władysława IV byli bez opieki zwanęj dyplomatycznie gwarancją; niepełnoletniość i kuratela nastaly z 1717 rokiem. A może to właśnie była genialna polityka, podobna do tęg, którą p. Bobrzyński już w bezkrólewiu po Zygmuncie Auguście uwielbiał?

Że rządy następných królów po Władysławie IV były wielce niedołączne; że kraj zniszczyły najazdy szwedzkie, kozackie i inne; że te nieszczęścia pochodziły częścią z błędnej polityki zagranicznej, częścią ze swawoli i anarchii wewnętrznej: to także znane było jeszcze przed ukazaniem się *Dziejów Polski* p. Bobrzyńskiego. Zaznaczymy tylko dość wysokie, może zawysokie mniemanie o Janie Kazimierzu (str. 376). „Pan trzeźwy i doświadczony w radzie, energiczny w postanowieniu, a nieugięty w nieszczęściu,” nie abdykuje z płaczem. Sprawiedliwsze są pochwały dla żony jego Maryi Ludwiki, która podobno więcej okazywała w tych ciężkich czasach rozumu i energii, niż mąż wdychający do klasztoru lub przynajmniej do złożenia cierniowęg korony.

Pod panowaniem Jana Sobieskiego czytamy zdanie, z którego możnaby przeciw autorowi wysnuć wnioski, o których zapewne nie myślał, gdy swoję wiarę polityczną jako historyk wygłosił w owém zdaniu. Jakoż czytamy: „Historyk patrzący głębięj w przyszłość (lepięj czyni gdy patrzy w przeszłość), nie może za zbutwiałym organizmem Rzeczypospolitęj i jego zaślepionymi stronnikami obstawać; lecz na stronę *każdego zamachu* stanu, wychodzącego czyto od króla, czy tęg od mądrzejszych ludzi w narodzie, stanowczo z sądem swoim przechylić się musi” (str. 399). Ale w Sobieskim była „natura polska, miękką i mało ambitną.” Nasz autor bardzo lubi Cromwellów i my tęg przeciw gustom ludzkim nie niémamy do powiedzenia. Jedno możnaby za-

rzucić tak tu jak i w innych miejscach, mianowicie, że tak się historyi nie pisze. Nie chodzi o to, co Sobieski mógł lub powinien był zrobić, lecz o to co zrobił.

Za obu Sasów rozkład wewnętrzny i nicość w stosunku do zagranicy: oto dwie cechy życia narodowego w tych czasach. Politycznie stał się naród zerem. To prawda; ale nieprawdziwy jest lub mocno przesadzony obraz wychowania, które tylko „batami na kobiercu” miało przenikać ze szkoły i domu do umysłu młodzieży. „Płaszczzenie się miało zastępować ducha prawdziwej karności, której jedynym bodźcem jest szlachetna ambicya” (str. 427). Bodziec (?) karności ma leżeć w szlachetnej ambicyi? Co to znaczy? Nie chodzi nam o wartość tej pedagogii, tylko o logiczny związek myśli. Oto jak samo wspomnienie bąta narobiło bigosu gramatycznego! Chwała Bogu, że teraz kańczug wyugowany z karności; przynajmniej oszczędzi to przyszłemu historykom składania na niego winy.

Pomimo tak spaczonój edukacyi, okazały się umysły wyższe, wychowane w szkole Stanisława Leszczyńskiego, rozumiejące poníženie i upadek narodu, a wyrazem ich stały się projekta reformy politycznej najprzód układane przez Potockich po śmierci Augusta II, i Czartoryskich po śmierci Augusta III. Różnica między projektami obu rodzin magnackich leżała w tém, że pierwsi spodziewali się przeprowadzić odrodzenie kraju przy pomocy Francyi, drudzy przy pomocy Rosyi: podobieństwo zaś tkwiło w niepowodzeniu obu projektów. O programie Potockich (Józef wojewoda kijowski, i Teodor prymas) autor krótko wspomina; zato program Czartoryskich z pewnym zamiłowaniem i szerzej traktuje. Dał mu zaś tytuł „Zamach Czartoryskich” (433). Nazwa zamachu, t. j. francuzkie *coup d'état*, jako termin do oznaczenia planów ksiąząt Czartoryskich, nie bardzo jest stosowna w XVIII wieku. Dziś lepiej to wyrażenie rozumiemy po rozmaitych „zamachach” dokonanych we Francyi i gdzieindziej. O wyraz jednak nie będziemy się spierali; zauważymy jedynie, że autor lubi zamachy i to wszelkiego rodzaju (str. 399). Nie będziemy także trudzili czytelnika rozprawianiem o moralności lub niemoralności „zamachów”. Wiadomo bowiem, że państwa nie zawsze moralnymi drogami powstają, i że moralność prywatna a polityczna nie jedno znaczą. Ale pomijając te subtelne pytania, zobaczymy co nasz autor mówi o tym zamachu Czartoryskich:

„Że plan Czartoryskich był czynem szalonój śmiałości, rzecz rzeczywista; że jednak był jedynym podówczas czynem przedsięwziętym w głębszej politycznej myśli, rzecz niewątpliwa. Wydać o nim sąd historyczny trudno, niemal niepodobna. — (Jednak autor taki sąd wydaje). — Zrozumieć go można, przypuszczając rozumowanie, że Polska w skutek swego wewnętrznego rozstroju niezawisłość swoją polityczną musi wkrótce utracić, lepiej więc żeby się rzekła jój dobrowolnie, a raczej uznała swoją faktycznie już istniejącą od Rosyi zawisłość, ażeby zato weszła w skład Rosyi cała, niepodzielna, z rządem silnym

autonomicznym, zbudowanym po *zgwalceniu* (?) anarchii z pomocą Rosyi“ (str. 436).

Zgadamy się, że trudno wydać sąd historyczny o planach książąt Czartoryskich; gdyby jednak były takie jak się autor domyśla, sąd taki byłby łatwiejszy. Zdaje nam się przecież, że Czartoryscy o czém inném myśleli, niż o tém, żeby cały niepodzielny kraj stał się prowincją rossyjską z rządem autonomicznym. Jest więcéj prawdopodobieństwa, że chcieli przy obcój pomocy odrodzić kraj i uczynić go niezawistym. Ze się zawiedli, to tylko wina samego projektu, oraz naiwności działaczy, którzy dobrodusznie myśleli, że lepszych od siebie graczy w pole wywieść potrafią. Chociaż aforyzmami spraw politycznych trudno rozstrzygać, zdaje nam się przecież, że do planu Czartoryskich można zastosować aforyzm ogólny: niepowodzenie, mieści w sobie najdotkliwszą krytykę i potępienie wszelkich projektów. Mogą być plany w teorii genialne, ale jeżeli ci co je układali, źle obliczyli okoliczności, siły swoje i przeszkody;—jeżeli następnie plan się nie udaje, jestto sąd ostateczny o jego wadliwości. Niemasz innego kryterium planów czy projektów, tak prywatnych jak i politycznych, nad ich powodzenie lub niepowodzenie. A gdy nadto czytamy, że Czartoryscy brali od pośta rossyjskiego pieniądze dla kaptowania stronników, musieli być rzeczywiście bardzo naiwni, jeżeli przypuszczali, że to woda na ich młyn (Roepel: *Polen um die Mitte des 18 Jahrhunderts*, str. 115—116). Wszystko to nie dowodzi ani genialności planów, ani wysokiego rozumu twórców, nie mówiąc nic o moralności. Pieniądzy darmo nigdy nie dają. Czartoryscy sami wprowadzili jako bogaci, może i nie brali pieniędzy dla siebie; ale już samo żądanie ich dla popierania cudzych zamiarów, nie jest tak zaszczytne, żeby ich program usprawiedliwić przed potomnością. Można przypuścić, że gdy się historycy lepiéj nad tą epoką zastanowią, i działające osoby i środki działania poznają, genialność owych projektów czy zamachów okrutnie zmaleje i posłuży do wrażenia téj dawno znanéj maksymy, że nierozumném jest wzywać obcych do godzenia domowego sporu. Strony spór wiodące mogą sobie, jak to bywało gdzieindziej, dużo krwi upuścić, często wytępić; ale rozum nakazuje na własnych śmieciach spór rozstrzygnąć. Gdy najprzód reformatorowie religijni wzywali u nas obcych o poparcie swoich żądań, i gdy następnie reformatorowie polityczni poszli w ich ślady: wzywani o pomoc zmiarkowali, że ojcowie nasi sami nie zdołają się rządzić i dali im opiekę.

Na pierwszym rozbiórce kraju w r. 1773 kończy p. Bobrzyński swoje *Dzieje Polski*. Uwagi dodane na końcu służą do usprawiedliwienia autora, który się tłumaczy, że nie jego wina, iż dzieje nasze tak źle wyglądają pod jego piórem. Luźne te uwagi mieszczą w sobie sporo zdrowych lubo nie nowych twierdzeń i tyleż paradoksów. Wszędzie znać sadzenie się na oryginalność, która u autora polega na tém po większej części, by ganić co inni chwaliли. „Nie mieliśmy rządu, i ta jest jedna, jedyna naszego upadku przyczyna“ (str. 447). Jedną

przyczyną nigdy tak ważnego zdarzenia wytłómaczyć nie można. Był też i rząd, prawda że słaby, nasz zaś autor lubi rządy twarde i mocne, dlatego nasz dawny wydaje mu się żadnym. A jednak przez ośm wieków naród politycznie istniał, coś robił i zrobił, więc bez rządu zrobić nie mógł. Słowem, przesady w każdym wierszu co niemiara; autor uczernił murzyna i złożył swój pędzel w przekonaniu, że wielkiego dzieła dokonał. Negatywne rezultaty, do jakich doszedł, i pesymizm którym zakończył swą książkę, i nas usposobiły niebardzo optymistycznie. Iluzyi stracić nie obawiamy się; dla genialnych projektów, jak ów w bezkrólewiu po Zygmuncie Augustcie, mamy głuche uszy; chcemy prawdy historycznej, choćby gorzkiej jak piołun, byle nie pamfletu. Książka p. Bobrzyńskiego jest procesem inkwizycyjnym, wytoczonym całemu narodowi, i potępieniem go na mocy skompilowanych wyjątków z innych książek. Nie wiele na tém zyskamy, gdy gniazdo nasze brudniej będzie wyglądało w literaturze niż było w rzeczywistości. A to wszystko *cui bono*? Nienawidzieć przeszłości, żeby ukochać teraźniejszość? Tego nas uczą inni, obcy. Do podania lekarstwa choremu trzeba mieć bardzo wprawną rękę!

Umyślnie wzięliśmy do rozbiuro i porównania dwie książki, podzielone stuletnim okresem czasu, traktujące ten sam przedmiot i prawie tą samą metodą. Po rozważeniu obu, bez wahania powiemy, że autor pierwszej, cudzoziemiec, w tych nieszczęśliwych czasach żyjący, gdy smarkaczów jeszcze bizunem karano, z większą bez porównania godnością i smakiem wypowiedział te same gorzkie prawdy narodowi, które mu p. Bobrzyński zbyt po kawalersku i obcesowo, przeplatane rozmaitemi niepotrzebnymi wycieczkami, ogłosił w XIX wieku. Ton całej książki, a zwłaszcza końcowych uwag, nadzwyczaj mentorski, zdaje się mówić: Nie znalście swojej historii; ja wam dopiero zagadkę upadku waszego rozwiązałem! Wprawdzie *audaces fortuna juvat*, ale u pana Bobrzyńskiego śmiałość większa niż siły. Przychodzimy coraz więcej do przekonania, żeśmy sami po większej części byli sprawcami własnego upadku. Zaczynamy lepiej pojmovać tę maksymę, że tak naród jak i człowiek jest sam kowalem własnego szczęścia lub nieszczęścia; ale też wiemy, że i otoczenie i zbieg okoliczności zewnętrznych i konszachty sąsiadów, mogą skrzyżować usiłowania jednostki i społeczeństwa. Dlatego też w sądzie takich zdarzeń jak upadek narodu jakiego, bierzemy w rachubę oba czynniki: indywidualną wartość społeczeństwa i zbieg okoliczności. W historii nie może chodzić o składowanie winy na jabłko lub na węża, lecz o zrozumienie faktu i strzeżenie się tych błędów, które do niego w przeszłości doprowadziły. Dawniejsi historycy nasi winę upadku składali głównie na sąsiadów; nowsi przypisują ją wyłącznie narodowi: w tej jednostronności poglądów tkwi błąd niebezpieczny: dlatego pragnęlibyśmy zwrócić nań uwagę i przypomnieć autorom, zwłaszcza piszącym książki szkolne, że nie chcemy ani panegiryku, ani pamfletu.

Wprawdzie każdy autor odpowiada tylko za to co zrobił i napisał, nie zaś za to, czego nie napisał. Więc też jedynie w kształcie życzenia dodamy, że wolelibyśmy czytać w *Dziejach Polski* p. Bobrzyńskiego cośkolwiek o skarbie, wojsku, sprawach ekonomicznych niż dyatriby, skierowane przeciw temu lub owemu królowi. Może ten ktoś inny, któremu p. Bobrzyński, na wzór ś. Jana Chrzciciela, drogi prostuje, zapozna czytelników z temi poziomemi sprawami, a wielką politykę zostawi do dalszego czasu.

Nareszcie, spełniając zadanie sprawozdawcy, musimy wyliczyć przynajmniej częśćkę licznych błędów językowych i niektóre dotyczące faktów. I tak, co do błędów faktycznych: wygnanie Aryanów nastąpiło za Jana Kazimierza, nie za Władysława IV (str. 425); Konarski nie zakładał „pierwszych szkół“, tylko istniejące reformował (str. 435). Przypuszczamy, że autor miał na myśli konwikty. Nie godzimy się też na poglądy co do niektórych faktów, gdyż dzieje czego innego uczą. Żeby związki Słowian z Carogrodem w wieku IX miały być bardzo „zbiawienne“, o tém można wątpić, wiedząc, jak sam Carogród był w tych czasach zdemoralizowany (str. 51). Pogląd na całą sprawę kozacką jest fałszywy (str. 377). Zdawałoby się, że autor nie rozróżnia kozaków od ludu małoruskiego, i dążenia jego uważa za to samo z dążeniami kozaczyzny; miejscami tak się przejawia losem tych rycerzy hajdamackich, jak gdyby służył osobiście pod Chmielnickim. Czyni to zaszczyt uczuciu historyka, ale też uczucie nie pozwala mu widzieć słuszności drugiej strony. Czerń kozacka inaczej wygląda w „szumkach i dumkach, na czajkach u porohów“, niż na tle istotnej historii.

Język książki p. Bobrzyńskiego, biorąc na ogół, dość wyrobiony; pisownia konserwatywna, przynajmniej w większej części wyrazów takich, które nawet Akademia Krakowska w swoich wydawnictwach *zajotyżowała*; dużo jednak możnaby zarzucić interpunkcyi, składni i czystości naszej mowy. Oto krótki wyciąg z długiej listy błędów w ogóle gramatycznych: *Óstatni* czas, str. 27 i 325; *jak długo* istnieje, str. 37; dzieło *wyrwane*, 86; *średni Śląsk*, 115; rozpuścić zagony *na* kilka kierunków, 121; *unoszące* się grody, 123; *stek* przeciwieństw, 123; ludzie nauki, 124 (czemu nie *ludzie naukowci?*); rozglądać się *za* sposobem, 129; o wiele *ostrzej* oddzieliło się duchowieństwo, 134; występować (użyte kilkanaście razy zamiast występować, str. 135, 141, 211, 247 i t. d.); rozchorzec się, 150; *pod* Worską, 181; napotykać *na* trudności, 186; neofityzm Jagiełły, 189 (byłże Jagiełło wychrzta z żydów?); wikarye (czy wikaryaty?), 190; występy Oleśnickiego, 194 (byłże kardynał komedyantem? debiut = występ); wielmoża, 202; pod Kulikowem, 234; *nad* Orszą, 247; pod *oboma* postaciami, 268; odszkodowanie, 270 (czy to *Entschädigung?*); artykuły Henryciańskie, 303 i 309; *justrowa* szczerba, 310; rabulistyka parlamentarna, 314; odraczać walkę przyszłym pokoleniom, 319; podkopać koronę, 329; dynastia, która się znieawidziła u całego protestanckiego narodu, 329; Zygmunt postanowił *samemu* zasiąść na tronie, 354; tak długo aż, 361; wawel-

sko-bydgoski traktat, 391; szablon myśli, 405; liczny statek, 406 (kwestarz pędzi statek (?) na wozie); *nikczemna* kobieta (żona Sobieskiego: nieco trywialnie traktowana), 407; zamęście Augusta, 434 (ożenienie się); rzecz rzeczywiata, 436; wywołaao, 438 (ma być obwoływano).

Resztę błędów, osobliwie będących wynikiem nieuwagi, *lapsus calami*, opuszczamy. Zbyteczny pośpiech nie pozwolił widocznie autorowi odczytać i rozważyć swojej pracy. Te same myśli, gdyby były wyrażone oględniej i ściślej, mniejby raziły. Raziła nas nie nowość, lecz paradoksalność wielu poglądów: ganić to, co inni chwalili, nie stanowi jeszcze oryginalności, a na taką oryginalność autor z namysłem się usadził. Osądzić dobrze naród jakiś, rzecz niezmiernie trudna, zwłaszcza dla początkujących historyków; sąd taki może być wynikiem ledwie długiej pracy historycznej, genialniejszej głowy i wtajemniczenia się w życie publiczne, przez branie w niem czynnego udziału. Warunki te rzadko się spotykają w jednej osobie, i ztąd sądy historyczne o narodach, głoszone przez profesorów i bibliotekarzy, hołdujących pewnym teoryom *a priori* powziętym, bywają tak dziwaczne. O nas wydał kiedyś ks. Bismarek dość trafny sąd, żeśmy dążyli przez *wolność* do jedności i dlatego upadli: *Durch Freiheit zur Einheit*; a wskazując na nas jako na *Memento*, radził Niemcom żeby szli odwrotną drogą: *Durch Einheit zur Freiheit*. Zdaje nam się, że w tém o nas zdaniu kanclerza niemieckiego więcej jest słuszności, niż w księgach wielu historyków *ex professo*, ale stojących zdala od życia publicznego i kierunku spraw rządowych.

Pomimo niezgadania się z autorem na rozmaite jego poglądy, cenimy w nim pracę około dziejów ojczyznych, których tragiczne rozwiązanie natchnęły, jak nam się zdaje, niejedną gorzką prawdę, może zagorzko wypowiedzianą. Chcemy wierzyć, że gorące zamiętowanie przedmiotu przy niewątpliwych zdolnościach, pozwoli mu z czasem sądzić ludzi i rzeczy mniej namiętnie, i przysłużyć się narodowi niejednym pożytecznym dziełem.

F. K.

PIŚMIENICTWO

KRAJOWE I ZAGRANICZNE.

Inflanty Polskie, poprzedzone ogólnym rzutem oka na siedmioletnią przeszłość całych Inflant. Skreślił Gustaw Baron Mantuffel, przedmowę napisał J. I. Kraszewski. Poznań, nakładem księgarni J. K. Żupańskiego 1879 r. w (wielkiej 4-ce str. 167 z wielą drzeworytami).

Pierwszą monografią o tej części dawniej Rzeczypospolitej Polskiej mamy z przeszłego wieku. Dzieło to wyszło w Wilnie p. u. *Inflanty w dawnych swych i wielorakich, aż do wieku naszego dziejach i rewolucjach z wywodem godności i starożytności szlachty tamecznej, tudzież praw i wolności zdawna i teraz jej służących, zebrane i polskiemu światu do wiadomości w ojczystym języku podane*, przez Imci pana Jana Augusta Hylzena, Kasztelana Inflanckiego, Starosty Bractawskiego, Marszałka naówczas wielkiego Trybunalskiego, Wielkiego ks. Litewskiego, 1750 r. dnia 3 Stycznia w Litwie, w Drukarni I. K. Mci. Akademickiej S. I. (w 4-ce, str. 414, i LV).

Autor tego dzieła należał do grona znakomitych mężów, którego żywot, wymownym piórem skreślił Julian Bartoszewicz. Życiorys ten, pełen zajmujących szczegółów, które nam dają charakterystykę tej wydatnej postaci, zacnego obywatela i gorącego miłośnika kraju. Zabrał się Hylzen do skreślenia tej monografii, w głównym celu, oznajomienia bliżej stanów wyższych społeczności polskiej z jego ojczyzną Inflantami, w której ród jego osiadł przed laty i w niej stale przebywał.

W pierwszej części swego dzieła Hylzen podaje dzieje Inflant: panowanie Zygmunta Augusta, i unię zawartą z Polską pod Gotardem Kettlerem. W drugiej, mniejszych rozmiarów, przechodzi dzieje szlachty inflanckiej, mówi o Kurlandyi i *Piltynie*. Część ta, jakby herbarz szlachty inflanckiej jest wielce ciekawą. Autor właściciel dóbr obszernych w tej krainie nad Dźwiną, zajmował się gorliwie losem ludu tamecznego. Pomiedzy tym ludem *Lotewskim* pozostały gusła z czasów pogańskich; wiara chrześcijańska była tam, ale raczej z formy i imienia jak z rzeczy w tej ziemi. Hylzen pracował nad jego oświatą i dobrobytem. Zakładał *missye* po dobrach swoich, zwiedzał chaty, opiekował się choremi, zakładał szpitale, sprowadzał Siostry Miłosierdzia, budował szkółki po wsiach, lokował summy na wsparcie ubogich swoich poddanych. Chociaż tak zbliżony do ludu kasztelan, i zbratany z nim sercem, w dziele swojém, czego nie mało

żałować należy, nie podał nam żadnych wiadomości o owych Łotwakach, których język znał gruntownie. Część etnograficzną zbył zupełnym milczeniem.

Od chwili wydania dzieła Hylzena upływa właśnie 129 lat, gdy nowa monografia Inflant wzbogaciła literaturę naszą, daleko obszerniejsza i dokładniejsza od pomienionej wyżej Hylzena. Zasluga w tém niemała J. I. Kraszewskiego, który, gdy wyszła w Rydze książka p. n. *Polnisch-Livland* 1869 r., jako osobna odbitka z Dziennika rządowego Inflanckiego, uprosił autora, ażeby szacowną tę pracę uzupełnił, rozszerzył, a wzbogaciwszy szczegółami obchodzącymi żywo czytelników polskich, przygotował do druku. Trafił nasz *jubilat* szczęśliwie, gdyż autor, który tę pracę historyczną skreślił pierwotnie po niemiecku, Gustaw baron Manteuffel szlachcic inflancki, równie biegły włada i językiem polskim; przychylił się więc chętnie do prośby znakomitego naszego pisarza, i przesłał mu obszerniejsze dzieło p. n. *Inflanty Polskie*, przypisując je w hołdzie *Akademii Umiejętności w Krakowie* jako najwyższej Instytucji naukowej w kraju. J. I. Kraszewski upewniony o gotowości wydawnictwa tak przygotowanego dzieła przez dobrze zasłużonego księgarza w Poznaniu I. K. Zupańskiego, napisał przedmowę, w której wykazuje całą wysoką wartość monografii barona Manteuffla, podnosząc bezstronność autora w sądach o przeszłości, zarysy dziejowe, a zarazem wierne sprawozdanie z obecnego stanu Inflant.

Rzecz nową dla heraldyki i genealogii polskiej, stanowi część dokładnie opracowana, w której autor mówi o szlachcie inflanckiej.

Na czele znajdujemy *Ogólny rzut oka na siedmiowiekową przeszłość Inflant*. Kraina ta, dopiero w XII wieku odkrytą została. Kupcy bremeńscy płynąc po morzu Bałtyckim w r. 1159 ku miastu *Visbia*, burzą zanieśieni, wpłynęli do ujścia *Dźwiny*. Wylądowawszy o kilka mil w górze rzeki, rozpoczęli z krajowcami handel zamienny, którego korzyści zachęciły ich do częstszego odwiedzania tego oddalonego wybrzeża. Pierwsze to wylądowanie kupców rozpoczyna usadowienie się w Inflantach żywołu niemieckiego, a następnie założenie osobnego państewka i równocześnie biorą początek dzieje krajowe.

Duch spekulacyjny mieszczan z Niemiec północnych nie zaniebdał skorzystać z każdej okoliczności, wszystko zachęcało ich do coraz częstszych wypraw w te oddalone strony. Żeglarze, corocznie niemal odwiedzali wybrzeża Bałtyku, do nich przyłączył się wkrótce pobożny zakonnik Mejnard jednego z holsztyńskich klasztorów, on też był pierwszym apostołem Inflant pomiędzy Liwami. Ostoięty opieką coraz częściej przybywających tutaj kupców niemieckich i coraz gęściej zamieszkujących już stale osadników niemieckich, Mejnard mianowany biskupem inflanckim niedługo apostołował: po nim tę godność objął opat Bartold, który nie idąc w jego ślady, wezwał na pomoc apostołstwu swemu siły oręża nad bezbronnym ludem.

Odtąd zaczynają się karty dziejów téj krainy, krwawemi zgłoskami pisane. Połączone plemiona Estów, Litwinów, Rusinów, niedługi opór stawiać mogły przeciw dobrze uzbrojonym Niemcom, którzy tłumnie zbiegali, gdy papież Innocenty III ogłosił krucyatę. W r. 1199, na czele zastępów najezdniczych Niemców, stanął nowo obrany biskup inflancki Olbrycht de Appeldern, w starych kronikach noszący przydomek de *Buzhow*. Człowiek energiczny, widzący cel do którego miał dążyć, niezmordowany w działalności, był zaprawdę właściwym założycielem państwa inflanckiego. Corocznie udawał się do Niemiec, i przyprowadzał zastępy nowych bojowników, którzy niemając co robić we własnej ojczyźnie, biegli ochotnie na hasło rozszerzania wiary chrześcijańskiej, dobrego bytu i bogatego łupu.

Olbrycht de Appeldern w pierwszym roku po objęciu rządów biskupich 1201 r., założył miasto Rygę, wkrótce zaś potem dla skutecznego poparcia sprawy chrześcijańsko-niemieckiej, ustanowił *Zakon rycerski, Kawalerów mieczowych*. W ciągu trzydziestoletnich rządów, Olbrycht zdołał owoładnąć całą Estonię, Łotwę i wyspę Ozylską (Oesel).

Nie będziemy się rozszerzać nad dalszemi dziejami, jaki udział brała Dania w losach Estonii, walki Kawalerów mieczowych i ostateczną ich klęskę, jaką im zadała ręka dzielnej, bitnej, pogańskiej Litwy. Występują na czoło teraz Krzyżacy, którzy już się wzmogli w potęgę groźną i apostołstwo swoje, zwycięzko, dynem pożarów i krwawym mieczem szerzyli.

Reformacya Marcina Lutra, gdy żywioł niemiecki już zakwitnął w Inflantach, łatwo się przyjęła.

Autór trafnie robi uwagę i zbija twierdzenie, jakoby światło i postęp filozofii wywołały w Inflantach ten przewrót, a następnie, że one sprzyjały jego rozwojowi. Żaden kraj pod tym względem, nie był bardziej zacofanym. Prędzej można powiedzieć, że pycha i zazdrość, które tyle razy uzbrajały przeciw sobie rozliczne członki politycznego składu Inflant, były pierwszą i główną przyczyną, prędkiego postępu reformacyi w tym kraju. Mistrz Plettenberg sprzyjał reformacyi, bo ta usuwała i niszczyła groźną potęgę duchowieństwa.

Szlachta złożona z wazalów biskupich, po zniesieniu biskupstw stawała się *allodialną* właścicielką dóbr dotąd tylko na prawie lennem przez nią posiadanych i tym sposobem uwalniała się od wielu obarczających ją ciężarów. Dawne inflanty stanowiły właściwie Państwo związkowe. Arcybiskup ryski, biskupi: derpski, ozylski, rewelski i kuroński, tudzież zakon krzyżacki panowali nad krajem i wraz z miastami, oraz szlachtą duchowną i rycerską, zjeżdżali się na sejmy w celu wspólnych narad nad sprawami państwa. Gdy z upływem XV wieku, wewnętrzne niespokoję pomiędzy arcybiskupami i zakonem krzyżackim nieco ucichły, od Północy zagroziła niszcząca burza. Car Iwan Wasiliewicz odnowił jakieś odwieczne pretensye, roszcząc prawa do okolic Dorpatu, zażądał nadto rocznego haraczu.

Mistrz krzyżacki Walter Plettenberg 1502 r. tak stanowczo odniósł zwycięstwo, że niebezpieczeństwo przesiedlenia krajowców do Moskwy, zupełnie usuniętem zostało i samodzielność państwa zapewniona. Pięćdziesiąt lat kraina ta używała spokoju, kiedy Iwan Wasilewicz w r. 1556 kazał wkroczyć wojskom swoim. Wśród niepowodzeń oręża, stany inflanckie szukały zagranicznej pomocy. Rewel i Estonia poddały się 1560 r. Szwedom, właściwe zaś Infanty, mistrz prowincjonalny i arcybiskup oddali się pod opiekę Zygmunta Augusta, który po długo ciągnących się układach, wcielił je do Rzeczypospolitej 1562 r. jako oddzielne Księstwo, z wyraźnym zastrzeżeniem, że Stany Inflanckie przy Auszpurskiej koncesyi mają być zachowane, że sądy, zamki i starostwa mają być szlachtą narodu inflanckiego opatrzone; ostatniemu zaś mistrzowi Gotardowi Ketlerowi na prawie lennem wiczyście oddał Kurlandya, która odtąd oddzielną rozpoczyna historyczną kronikę.

W czasie przeciągających się z Polską układów, a mających na celu prawdziwą wolność i zapewnienie przywilejów, których treść zawartą została w wickopomnem: *Privilegium Sigismundi Augusti*, Ryga potrafiła utrzymać swą niezależność przez lat dwadzieścia, po upłynieniu których, bezwarunkowo Polsce poddać się musiała.

Pod opieką wówczas potężnej Rzeczypospolitej, rozwijały się swobodnie Infanty; groźnych chmur ciężarnych burzami, mogły się jedynie spodziewać od strony Szwecyi i Moskwy. Jakoż ta ostatnia za Stefana Batorego, w toczącej się wojnie, dała uczuć jój skutki. Gdy na mocy przymierza w Kiwerowej-horce całe Infanty przy Polsce pozostały, pomimo pokoju, do dawniej pomyślności niemogły powrócić, gdyż żywioł niemiecki zaczął je przygniatać. Dał się uczuć nawet ucisk religijny. W kraju tym za radą Ojca Possewina chciano założyć obóz (jak wyraża autor), którego działalność miała się rozciągnąć na Wschód i kacerską Anglię."

Usiłowania w tym kierunku wywarte, zakłóciły spokój społeczny Infant; gdy nowe klęski padły na nie, po wstąpieniu na tron Zygmunta III. Spory jego o panowanie w Szwecyi ze stryjcem księciem Sudermanii Karolem IX, wywołały krwawą wojnę, której areną stały się Infanty. Okres to najsmutniejszych dla nich dziejów. Pomimo zwyciężkiej przewagi oręża nad Karolem IX i pogromu pod Kircholmem, który szeroko usławił imie Jana Karola Chodkiewicza, syn uzurpatora, bohaterski Gustaw Adolf 1611 r. wstąpiwszy na tron ojca, po zdobyciu Rygi 1621 r. rozsiadł się w Infantach i wniespełna półwieku, Rzeczpospolita utraciła główną część Infant, którą stratę uświęcił traktat Oliwski 1660 r. Odtąd ta część kraju, między Rygą, Dorpatem, Wendenem, Wolmarem, Fellinem, Parnawą i Walkiem, przez polaków „Infantami szwedzkimi" nazwaną została; pozostała zaś przy Polsce, mała część Infant, złożona z dawnych wójtostw krzyżackich Dyneburskiego, Rzezyckiego i Lucyńskiego, oraz obwodu maryenhauskiego, miano Infant Polski (Livonia Polonica) nosić począta. Te, wiernie odtąd dzieląc losy Rzeczypospolitej, przy pierwszym jój podziale do Rossyi od-

padły, Inflanty zaś szwedzkie otrzymały nowego pana i znalazły się znowu pod tymże rządem co Estonia.

Autor daje nam obraz zajmujący dziejów Inflant pod panowaniem szwedzkim: nie pomyślny to okres tém więcej, gdy pożoga wojny dała się srodze we znaki temu krajowi. Na mocy wreszcie traktatu Nysztackiego w r. 1721, Rossya objęła nad niemi władzę.

Po tym zarysie historycznym wylicza autor biskupów i arcybiskupów inflanckich, poczynając od r. 1186, aż do zniesienia biskupstw wszystkich 1628 r. i przystępuje do drugiej części to jest opisu *Inflant Polskich*, które obecnie stanowią część dzisiejszej gubernii Witebskiej, zamieszkanój przez Łotyszów, a mianowicie trzy jój powiaty, dyneburski, rzeżycki i lucyński. Ta część Inflant Polskich głównie zajmuje uwagę naszego autora i na czele znajdujemy pogląd na ich dzieje od początku, do ostatnich czasów. Następnie przystępuje do geograficznego opisu téj krainy, wymienia rzeki, z których główną i graniczną jest Dźwina i jeziora. Określa glebę rolniczą, lasy, pomiędzy któremi przechowały się *dziewicze ostępy*, dotychczas ludzką stopą niedotknięte.

Wymienia gatunki zbóż przeważnie uprawianych, chów inwentarza gospodarskiego, obfitość miodu, drobiu i jarzyn uprawianych na wielką skalę. Wspomina o bogactwie flory Inflant polskich; o pokładach obfitych torfu i wymienia pomocnicze w tym względzie dzieła, jak Józefa Geralda Wyżycznego i Adama hr. Platerra dwie prace: *Opisanie hydrograficzno-statystyczne Dźwiny, oraz ryb w niej żyjących i Rzut oka na skład geognostyczny Polskich Inflant*. (Wilno, 1832 r.).

Oddzielny rozdział (IV) autor poświęca pisarzom rodowitym Inflantczykom, którzy do opisu téj krainy ręki swój przyłożyli. Na czele stawia Kazimierza Bujnickiego, redaktora *Rubona* i ostatniego tłómacza *Psałmów Dawida*, którego przekład można postawić obok *Psaltera* Jana Kochanowskiego. Adam Plater zajmował się archeologią Inflant; najobszerniejszy zaś ustęp poświęca wspomnieniu Jana Augusta Hylzena, kasztelana inflanckiego i jego dziełu *Inflanty*, o którym wyżej wspomnieliśmy. Dzieło to szczegółowo p. Manteuffel opisuje, zwracając uwagę na jego strony dodatnie i ujemne.

Ogólna ludność Inflant polskich w r. 1867 wynosiła około 225 tysięcy głów, złożona z Polaków, Rusinów, Rossyan, Żydów i w mniejszej ilości Niemców; wiejską zaś stanowią głównie łotewscy włościanie i polscy właściciele dóbr, z których jedni ród swój wywodzą od krzyżacko-niemieckiej szlachty i dlatego aż do obecnych czasów nie przestali być członkami kurlandzkiego rycerstwa, drudzy zaś są potomkami rodzin polskich i litewskich, które za czasów Rzeczypospolitej w téj krainie osiadły. Polscy włościanie między Łotyszami całe wsie osiedli, zachowali czystość języka i łączą się tylko pomiędzy sobą.

Następnie szczegółowo wymienia nam osiadłych Litwinów, starowierców czyli Roskolników, Rusinów i Łotyszów, podając zarazem wydatniejsze zarysy charakterystyki.

Wielce zajmujący jest rozdział, poświęcony wyłącznie etnograficznemu opisowi Łotyszów, z podaniem wraz w drzeworytach typowych postaci łotewskich: męzkich, niewieścich i dzieciennych. Wydatnemi rysami maluje autor ich charakter i usposobienia duchowe. Jeżeli pomiędzy męzkim pokoleniem nie braknie słusznego wzrostu i krzepkich, między kobietami znajdujemy piękne postacie z oblicza i kształtów.

Mają Łotysze swe pieśni. Oto z nich jedna w wiernym przekładzie:

„Dokąd jedziesz braciśżeńku
W czapce nieprzybranój w kwiaty?”
— Śpiesz siostrzyczko do ogródka,
Przystroj bratu czapkę w róże.”
— Przystroiłam nucąc piosnkę
I oddałam lejąc łezki!”
„Płacz lub nie płacz, siostru luba,
Już mię więcej nie zobaczysz!
Koń mój jeno wróci z boju,
Niosąc wieści o twym bracie
I zapytasz się rumaka,
Gdzie pozostał jego jeździec?”
„Tam pozostał pan mój w boju,
Gdzie jak dęby mężni padli;
Gdzie broń w polu rozrzucona
I gdzie Dźwina krwią się broczy!
Wiatr ich włosy porozwiewał,
Słońce kości ich zbieliło!”

Język Łotysza polsko-inflanckiego jest czysto łotewski, różni się tylko akcentem od używanego w Inflantach szwedzkich, w których brakujące lub wyszłe z użycia wyrazy, zastąpiono niemieckimi, tutaj zaś polskimi, a na granicy Pskowskięj gubernii rossyjskimi. Który z tych dwu dyalektów jest poprawniejszy, nie zostało rozstrzygnięte; na korzyść Inflant polskich przemawia ta okoliczność, że Łotysz z Inflant szwedzkich łatwo naszego rozumie, którego nazywa *Pohls* (Polak), kiedy nasz już rozmówić się z tamtym nie może.

Po opisie fabryk i dróg komunikacyjnych, rozdział VIII najobszerniejszy ze wszystkich, poświęcony jest herbarzowi niejako rodów szlacheckich, w których głównie żywił polski przeważa. Znajdujemy w nim nazwiska Tyzenhauzów, ród Hylzenów już całkowicie wygasły; Borchów, rodzina Manteufflów, jak wyraża autor: „orężem służyli królom polskim i zacząwszy od Zygmunta Augusta krew swoją przelewali w bojach Rzeczypospolitej.” Brali oni swój początek w ziemi Kaszubów, którzy się nie liczą do plemienia Germanów, ale staro-mazurskiego. Dom Platerów z przydomkiem de Broel, Romerów; przechodzimy już do nazwisk więcej polskich i litewskich: Belińskich, Bieliń-

skich, Benisławskich, Brzezińskich, Bujnickich, Chodkiewiczów, Czapskich, Gąsiewskich, Gołębiowskich, Karnickich, Kimbarów, Kublickich, Oborskich, Pocijów, Sapiehów, Skirmuntów, Sobieskich, Sołtanów, Suchodolskich, Wereszczyńskich, Weyssenhoffów, Żebrawskich i w. i.

Ustęp poświęcony żydom osiadłym w Inflantach polskich, maluje nam ich dokładnie, a w drzeworycie dołączony typ polsko-inflanckiego żyda faktora, w obliczu i postaci schwytyany, wiernie przedstawia inteligencję właściwą z przebiegłością połączoną.

Opis miast porządkiem powiatów, oprócz historycznych wspomnień, daje nam wiadomość o ich stanie obecnym, ludności i przemysle. Dołączone są obok nich widoki w drzeworytach.

Zamyka autor szacowną pracę swoją wykazaniem błędów ważniejszych, jakie wydatnieją w dziełach, poświęconych opisom Inflant, przez pisarzy niemieckich.

W dodatkach znajdujemy: wyszczególnienie miast, miasteczek, dóbr i kościołów w Inflantach polskich, według ich stanu z roku 1866. Obejmuje powiaty: 1) Dyneburski; 2) Rzeżycki; 3) Lucyński; oraz bibliografię, wyszczególniającą dzieła traktujące o Inflantach polskich. W końcu dołączone są trzy mapy: wybrzeży Bałtyku, przebiegu Ewikszy i ogólnej mapy Inflant polskich.

Księgarz J. K. Żupański, otrzymawszy rękopism gotowy do druku i przejrany przez J. I. Kraszewskiego, nie pożałował hojnego nakładu, ażeby pracę tak szacowną i tak żywo nas obchodzącą, w odpowiedniej szacie podać. Jakoż pod względem piękności papieru i druku, starannego odbicia, dzieło ozdobił 32 drzeworytami, z dodaniem trzech map litografowanych, świetnie się wywiązując ze swego zadania.

Praca barona Manteuffla jest drogocennym przyczynkiem do opisu *Starożytniej Polski*, w którym zajmie nieposlednie miejsce, uzupełniając jęj opis wydany przez Tymoteusza Lipińskiego i Michała Bałńskiego.

d. 6/IV 79 r.

K. Wł. W.

Wykład arytmetyki handlowej. Część ogólna obejmująca zastosowanie zasad arytmetyki do potrzeb i zwyczajów kupieckich przez Stanisława Kramsztyka magistra nauk fiz-mat. urzędnika Ban. Pol. i nauczyciela Szk. Hand. Pryw. w Warszawie. Warszawa—Nakładem Szkoły Handlowej 1879 r. str. 258 w 8-cc.

Książka ta składająca się ze wstępu traktującego o układzie miar dziesiętnych, dziesięciu rozdziałów i dodatku poświęconego wyłącznie miarom i wagom różnych krajów, obejmuje kompletny wykład ogólnej arytmetyki handlowej.

Zadanie arytmetyki handlowej różni się od zadania arytmetyki ogólnej tem, że gdy w tej ostatniej chodzi głównie o ugruntowanie zasad działań arytmetycznych, w arytmetyce handlowej, zasady te przyjmuje się jako znane, a natomiast zwraca się całą uwagę na ułatwienia i skrócenia w wykonywaniu samych działań, oraz na zastosowania tych działań, do potrzeb i zwyczajów handlowych.

To też autor arytmetyki handlowej wyklada zaraz w rozdziale pierwszym o ułatwieniach i skróceniach w dodawaniu, odejmowaniu, mnożeniu i dzieleniu, rozciągając ułatwienia te nietylko do liczb całkowitych, ale także do ułamków dziesiętnych i zwyczajnych. Rozdział drugi poświęcony jest mnożeniu i dzieleniu przybliżonemu. Na podstawie własności liczb, wyłożonych w rozdziale pierwszym, wynik każdego z czterech arytmetycznych działań daje się otrzymać niekiedy daleko prościej, aniżeli używając potemu sposobów zwyczajnych; lecz wynik ten jest zawsze matematycznie ścisłym. Często jednak zachodzi potrzeba nie tyle matematycznej ścisłości owego wyniku, ile szybkości w otrzymaniu jego przybliżonej wartości; lub także, gdy dane są do pomnożenia lub do podzielenia przez siebie liczby niepewne t. j. mogące różnić się od ich istotnych wartości *in minus* albo *in plus* o ilości nie przechodzące danych wielkości, i potrzeba oznaczyć granicę niepewności iloczynu lub ilorazu. Rzecz dotycząca właśnie tego rodzaju zadań jest wyłożoną w rozdziale drugim.

Oba wymienione rozdziały stanowią część czysto teoretyczną dzieła p. Kramsztyka; w pozostałych ośmiu traktowana jest arytmetyka handlowa w ściślejszym tego wyrazu znaczeniu. I tak, rozdział trzeci zawiera naukę o liczbach mianowanych, rozdział czwarty o regule trzech prostej i złożonej, rozdział piąty o regule łańcuchowej, rozdział szósty o obliczeniach odsetkowych, rozdział siódmy o rachunku procentów prostych, rozdział ósmy o regule spółki, rozdział dziewiąty o regule mieszaniny i rozdział dziesiąty o średniej stopie procentowej i wspólnym terminie wypłaty.

Taka jest w najogólniejszym zarysie treść dzieła p. Kramsztyka. Wyborny układ, treściwość i jasność wykładu, tudzież dobór i obfitość przykładów zalecają ze wszech miar książkę tę pragnącym zapoznać się gruntownie z zasadami arytmetyki handlowej.

Wł. Gosiewski.

Bartolomeo Berecci architekt kaplicy Zygmuntowskiej † 1537 oraz kilka wiadomości do świeżej publikacji p. t. Album ozdób z kaplicy Zygmuntowskiej i t. d. Skreślił Wł. Łuszczkiewicz prof. Szkoły Sztuk Pięknych i Członek Akademii Umiejętności. Kraków, nakładem Zarządu Muzeum Tech. przemysł., 1879 r. (w 8-ce str. 35).

Muzeum Techniczno-Przemysłowe w Krakowie, gorliwą starannością prywatną założone, i dziś zadziwiające bogactwem zgromadzonych przedmiotów, rozpoczęło piękną publikacją p. n. *Album ozdób z kaplicy Zygmuntowskiej i z dwóch nagrobków: kanonika Stanisława Borka (†1566) i wielkiego marszałka Piotra Kmity († 1505) w katedrze Krakowskiej*. Ilustracje tego Album są fotograficzne, gdyż Kraków zakładu drzeworytniczego nieposiada w swych murach, ztąd droga jaką Muzeum do tego przedsięwzięcia doszło, nieobyla się bez trudów i niemałego nakładu. Fotografie bowiem wykonane być musiały z odlewów gipsowych, umyślnie w tym celu na oryginalnych rzeźbach sporządzanych. Zarząd pomienionego Muzeum wydawnictwem położył sobie za cel, przyczynienia dróg dla postępu sztuki, która we wzorach przeszłości, szuka dziś dla siebie nauki i materiałów dla poważnych studyów nad dziejami arcyzmu w Polsce.

Tekst krótki do tych reprodukcji fotograficznych dodany, nie może zaspakajać pragnęcej wiedzy, szerszych wiadomości o tego rodzaju zabytkach. Zaradzając tej potrzebie profesor Szkoły Sztuk Pięknych i członek Akademii Umiejętności w Krakowie Wł. Łuszczkiewicz, który wielu cennymi monografiami wzbogacił już historję sztuki w Polsce, wydał nową pracę, p. n. wyżej przytoczonym, jako uzupełniającą tekst w albumie pomieszczony.

Wiele tu ważnych znajdujemy wiadomości do dziejów sztuki naszój. Oznaczone mamy ostatnie chwile *gotycyzmu* i pierwsze powstanie *renesansu* za Zygmunta I. Nie od Niemców nauczyliśmy się poznawać styl *odrodzenia*, ale otrzymaliśmy je wprost z Włoch z ich gniazda. Z tąd też powolnego przejścia z *gotycyzmu* do *renesansu* w architekturze, i wpływu *renesansu* na miejscowe sztuki rysunkowe i malarstwo, nie znają właściwie dzieje sztuki w Polsce. Malarstwo miejscowe z charakterystyką średniowieczną zatrzymuje się aż do połowy XVI wieku; wpływ *odrodzenia* nie dosięga go wcześniej.

Kaplica Zygmuntowska, zbudowana w miejsce zburzonej kaplicy *Wniebowzięcia*, fundowanėj przez Kazimierza Wielkiego, wzniesioną została przez króla Zygmunta I Jagiellończyka. W niej pochował ukochaną pierwszą swoję małżonkę Barbarę z Zapolych († d. 2 października 1515 r.) i śmierć jej obudziła w nim myśl, ażeby wcześniej pomyślał o spoczynku wieczystym. Sam to król w sile wieku będący

pisze do Jana Bonara wielkorządczy i podskarbiego, mówiąc o wydatkach na wznoszenie murów zamku na Wawelu: „Bo choć wiele nakładamy na czasowe budowle, nieradzibyśmy powstrzymać się od wydatków na to mieszkanie, w którym wiecznie przebywać mamy.” Na grobie Barbary Zapolskiej postanowił z gruntu postawić nową, odpowiednią wspaniałości swych pałaców kaplicę przy katedrze, i zamiar swój spełnił.

Autor, ze szczególną troskliwością, bada kto był twórcą modelu téj, zadziwiającej dziś jeszcze prawdziwych znawców, kaplicy? I objaśnia że był nim Bartłomiej Berecci, który następnie stałe osiadł na Kazimierzu, przedmieściu Krakowa.

Zgromadzone w téj rozprawie zajmujące materiały, są cennym przyczynkiem zarówno do dziejów sztuki w Polsce, jak do panowania Zygmunta I. R.

Dopelnienia historii prawodawstw Słowiańskich, nakładem zapisu ś. p. Michała Konarskiego opracowywane i w kilku artykułach osobne dzieła stanowiących, drukiem ogłoszone przez Wacł. Aleks. Maciejowskiego. Artykuł pierwszy zawiera: Dzieje Polski przedchrobrowej aż do początku panowania w niej rodziny Piasta, zaczerpnięte ze źródeł pomnikami tychże dziejów, od Aug. Bielowskiego wydanemi nie objętych i opowiedziane z uwagą na ościenne kraje, na Ruś, Litwę i Czechy, a osobliwie na starodawne i dzisiejsze Niemcy. Warszawa, w drukarni K. Kowalewskiego, 1872 r.

Dziełko to nestora naszych obecnie żyjących uczonych tyle zagranicą, dla swój niez mordowanej pracy, płodności i świeżości umysłu, mimo wieku zgrzybiałego podziwianego, przeszło z biurka autora do handlu księgarskiego, a ztąd do rąk czytelników, nie zwróciwszy wcale na siebie takiej uwagi, na jaką w świecie naukowym zasługuje. Dla czego? Niezawodnie dla tego, że pomysły w tém dziełku przez autora wyrażone są zbyt nowe, przyjętym dotychczas za prawdziwe pomysłom uczonych tak słowiańskich jak germańskich diametralnie przeciwne, a zatem dla uczonych cięższego kalibru niepożądane, a dla uczonych lżejszego kalibru niezrozumiałe. A przecież z tych właśnie powodów powinno by to dziełko w wysokim stopniu zainteresować świat uczonych i obudzić spory badaczy, które z czasem mogą dzieje pierwotne Słowiańszczyzny w ogóle, a Polski w szczególe na granitowym osadzi gruncie. Przedewszystkiem mogą te pomysły, przepuszczone przez

rozczyń głębokiej a wszechstronnej krytyki, wyświecić należycie i stanowczo etnograficzny i cywilizacyjny stosunek Słowiańszczyzny do Teutonizmu i to na korzyść Słowiańszczyzny.

Jeżeli bowiem pomysły p. W. A. Maciejowskiego okażą się prawdziwymi, a raczej, właściwie rzecz biorąc, najbliższymi do historycznej prawdy hipotezami: to w takim razie zarozumiałe wyobrażenia Germanów o swojej wyższości cywilizacyjnej w obec Słowian, zachwiać się, a nawet upaść muszą, o ile, że te pomysły są światłem różanej jutrztenki, zwiastującej słońce tej prawdy, że ziarna cywilizacji arskiej wcześniej się w Słowiańszczyźnie, niż w Teutonizmie przyjęły i rozplemiły, że z ręki Słowianina, a nie odwrotnie wziął Germanin ziarno Tryptolema, ziarno społecznej cywilizacji.

Dotychczasowi uczeni nasi badacze dziejów, mistrze słowa i myśli, zapuszczając się w badania pierwocin dziejowych Słowiańszczyzny, nie znając wcale etnograficznego skalpela lub zamało się nim posługując, kiedy doszli tam gdzie ginie ślad tradycji i pomników niemych rodzinnych, a zaczyna się świadectwo pisarzy narodów starożytnych, które się z nowożytnymi narodami arskimi stykały, poszli na pasek klasycznych pisarzy i scholastycznym trybem *iurabant in verbu magistri*. Ztąd poszło, że Tacyta poglądy wyrażone w dziele jego: *De origine situ moribus ac populis Germaniae*, nietknięte ostrzem krytyki, uchodżyły i uchodzą dotąd za słowa wyroczeni w kwestyach dotyczących pierwocin dziejów germańskiego plemienia. Tenże Tacyt powiedział w rozdziale L. cytowanego dzieła: *Ipsos Germanos indigenas crediderim, minimeque aliarum gentium adventibus et hospitibus mixtos*; t. z. „Co się tyczy narodu Germanów, to tych uważałbym za tubylców i to bynajmniej nie pomieszanych z przybyszami i osadnikami innych narodowości.” Czytałem kilka komentarzy dzieła tego napisanych przez niemieckich uczonych, a we wszystkich znalazłem zgodę ze zdaniem Tacyty i wiarę w jego pomysły. Nic w tém dziwnego: *Credimus, quae volumus*. Książka Tacytowa o Germanii jest kądziędem dla Niemców. Podchlebia ona pochwałami hojną dłońią przez Rzymianina ich przodkom udzielonemi, a znana ich na polu politycznym i naukowym zachłanność, gdyby nie miała zarodu w ich krwi i charakterze, toby jej podstawę znalazła w tém dziele Tacyty. Wszak Tacyt uważa Germanów za naród przymieszkami obcych narodów nie pokalany, a widzi w nich pierwotnych mieszkańców rozległych krajów nietylko między Renem a Odrą, ale i między Odrą a Wisłą, ba nawet i za Wisłą i za morzem aż w Skandynawii ich upatruje. Tak tedy Germanin, wyciągając łupieżczą rękę po kraje polskie i germanizując mieszkańców tychże, działa niby w myśli prawa historycznego. To tylko przyплыł morza, które przed wieki odplynęło.

Tymczasem prawo to mniemane Niemców, jest bezprawiem w obliczu prawdy naukowej. Tacyt nie ufundował dla historii Germanów granitowego gruntu; świadectwa jego, acz cenne, są pełne błę-

dów, złudzeń i mniemań, które w obliczu krytyki opartej na gruncie etnografii znikają, jak mary nocne przed światłem słonecznym.

Tacyt nie podróżował po ziemiach, które zaludnia germańskiego szczepu ludami, nie czytał dokumentów ich, nie znał ich mowy, obyczajów, ale znał tylko ludy na prawym brzegu Renu osiadłe, wieści o nich czerpał z podań o tych ludach przez towarzyszków broni Cezara, Warrusa i Germanika szerzonych. Krótko mówiąc, kto zna aparata historyograficzne pisarzy ówczesnych, jakże może przypuścić, że Tacyt zdołał o ludach poza Elbą lub Wisłą prawdziwe podawać wieści?! Co wiedział o części, to przeniósł na całość, całość tę rozszerzył, a na świadectwie o niej położył pieczęć, którą dopiero W. A. Maciejowski odczytał, błąd w niej dostrzegł i w imię prawdy skruszyć się ośmielił.

Trzy kardynalne błędy historyczne popełnił Tacyt w księdze o Germanii. Najprzód nieprawdą jest, jakoby Germanowie byli tubylcami w krainach między Renem a Narwią i Bugiem; powtórnie nieprawdą jest, jakoby naraz to jest w jednym czasie całą tę przestrzeń zamieszkiwali byli; potrzecie nieprawdą jest, jakoby Germanowie na wskazanych przezeń ziemiach siedzący nie byli pomieszani z ludami innego szczepu.

Dwa pierwsze błędy prostują pisma najznakomitszych badaczy naszych jak Lelewela, Bielowskiego, Szajnochy, Kętrzyńskiego (*Die Lygier*) i w. i., przyznając twierdzeniom Tacyta względną prawdę; trzeci błąd najważniejszy pozostał niezaczepiony krytyką aż do Maciejowskiego, a i dziś jeszcze nie został on w nauce historycznej uchylony. Pierwszy wskazał nań, nie domysłem wiedziony, ale zasadami etnograficznymi powodowany, W. A. Maciejowski, twierdząc, że ten naród, który Tacyt (roz. 38 do 46) uważa za największy pomiędzy narodami szczepu germańskiego, bo według Orozyusza aż z pięćdziesięciu czterech ludów złożony, to jest naród Swewów, którym siedziby od Renu aż do Bugu naznacza, nie jest narodem germańskiego, ale słowiańskiego pochodzenia. Tezę tę obrabia p. W. A. Maciejowski już od lat kilkudziesięciu w różnych rozprawach, artykułach, dziełach i rozmowach z uczonymi. Najobszerniej obrobił ją w dziełku, o którym właśnie mówimy. Tu już wywody swoje ze źródeł etnografii zaczerpnięte opiera na pomnikach historycznych, każąc tabeli heraklejskiej, dziełom historycznym Józefa Flawiusza i pismom Tacyta świadczyć za swoim zdaniem. Cytuje on w tym artykule zdania imortstwa pisarzy, tak starożytnych, jak nowożytnych i biorąc je na reortę etnograficznej krytyki, wydobywa z nich potwierdzenie swęj tezy.

Teza ta jest w dziedzinie badań historycznych tak ważną, że jeżeli zostanie stwierdzoną, będzie miała w poglądach historii ludów europejskich takie znaczenie, jakie miały i mają prawdy przez Kopernika odkryte w wyobrażeniach geograficznych i astronomicznych. Tezę tę zapisuje nam w spuściznie duchowej geniusz niestrudzonego badacza, co jak cedra libańska niezmienną kwitnie pod ciężarem dziewiętego krzyżyka młodością. Zadaniem młodszego pokolenia jest podjąć miłościwie tę wielką myśl, poświęcić dla niej potrzebne chwile czasu

i albo ją odrzucić, jak wiedźmę fałszu, albo zdobyć dla niej w dziedzinie umiejętności historycznej zasłużone stanowisko i rozniecić słońce prawdy, którego ona jutrzeńką.

Celem niniejszego artykułu jest tylko zwrócenie uwagi badaczy dziejowych, zwłaszcza młodych na wielką tezę poruszoną w cytowanym dziełku W. A. Maciejowskiego. Drogi, jakimi ma iść badacz, środki, jakimi się w tym badaniu ma posłużyć wskaże mu samo to dzieło.

Nie mając czasu do rozpoczęcia tych krytycznych studyów, zajęty nader uciążliwymi i zbyt licznymi pracami swego zawodu, nie będąc wreszcie historykiem z powołania, zachęcam drugich zdolniejszych do tej pracy. Jednakże i sam się od niej zupełnie nie usunę, ale bodaj cegiełkę przyłożę do budowy tej piramidy badań, którą stworzyć musi teza p. W. A. Maciejowskiego.

W przedmowie do przekładu *Germanii Tacyty* przedstawię swego czasu myśl tę w świetle, jakiego dla niej dostarczają pisma Tacyty.

Tarnów, d. 18 listopada 1878.

Fr. Habura.

Samobójca, poemat. Toruń, druk Buszczyńskiego, 1878.

Nie rozległy ten poemat (około 1,200 wierszy), ale w pewnych ustępach o olbrzymim *ramieniu* świadczący, napisany w r. 1835, parę razy był już drukowany, nigdy jednak w całości. Treści do poematu dostarczyła śmierć młodego człowieka, który z tęsknoty za swoimi odebrał sobie życie. Autor bynajmniej nie miał myśli pisać apologii samobójstwa, owszem, jako chrześcjanin potępia je w zupełności, choćby nawet ze szlachetnych pobudek brało swój początek. Przedmowa napisana w 30 lat później, t. j. w roku 1865, swoją treścią niewiele ma łączności z poematem, chyba o tyle tylko, że znamionuje rozwój owych ujemnych idei, przeciw którym „dziś rządy występują, a które w danej kwestyi sprawiły, że to, co w pierwszej ćwierci bieżącego stulecia objawiało się jako fakt pojedynczy i odosobniony, zamieniło się obecnie w jakiś chorobliwy stan społeczeństwa.“

Takie wyrazy czytamy we wstępnym głosie „do czytelnika“ (str. 5). Autor, czy też zagajający w jego imieniu tę małą epopeję życia wewnętrznego, jak widzieliśmy, wyrzeka się wszelkiej wspólności z ową smutną frakcją, co to nie mając odwagi, czy też nie umiejąc stanąć w pośrodku między zgięciem się a złamaniem, wybiera sobie do odwrotu drogę stoicyzmu rzymskiego.

Przeciw wzmiankowanemu wyrzeczeniu się nikt zaiste z czytelników głosować nie myśli; zachodzi tu jedynie pewna subtelność dyalektyczna, nie faktu lecz teorii dotycząca: *Dum brevis esse volo, obscurus fis.* Co naszego bohatera wyróżnia wśród tłumu pesymistów,

to — samo godło wyjęte z *Dziadów* Mickiewicza: „Na własnej piersi skowałem me ręce, przeciw niebu ich nie wzniosłem.“

Jeśli tak, tedy nic tu niema wspólnego z Alastorami, Manfredami lub Faustami, i poemat wchodzi w dziedzinę typów bliższych, bardziej określonych: jestto walka nie z bogami, nie z metafizycznym porządkiem wszechświata, lecz z porządkiem ludzkim. Na takich też znamionach polega wdzięk téj powieści.

Zapowiedź poematu rozpoczyna się pod powagą owych słów Byrona: „Miałem sen, może i nie całkiem senny.“ W tym śnie, nie całkiem sennym, ukazują się tłumy; biegną one rączym skokiem do przepaści, gnane przez furye. Jedna z furyi chce zawabić i poetę w otchłań, wynaglić na nim wyrzeczenie się sumienia, wiary i cnoty, wdzianie szat szerszych i wygodniejszych niż te, które nosił Syn Cieśli, — przyrzeka mu na gruzach i zgłiszczu wznieść nowe Jeruzalem, siłą pary zająć dalej i przedź, niż on i jego współwędrowcy na skrzydłach fantazyi i wiary.

Ale próżne pokusy; — z tętnem dziedzicznój wiary odrzuca on sławę Herostrata, bo prądy zniszczenia nic nie rokują, jedno taką sławę i wieczne przekleństwo. Więc pieśń, którą ma zaśpiewać w ciągu, stanowi odprawę daną furyom. Pieśń ta składa się z czterech obrazów i epilogu.

I. Oto w krainie bujnej w płony i pamiątki, wśród pól obszer-nych wznosi się wzgórze. Na wzgórzu sterczy krzyż dawny, kwiaty wieńczą pagórek i podnóże krzyża. Pod krzyżem kłęczą starzec w żałobie, a przy nim dziewczica, domawiająca pacierzy: starzec boleje nad utratą syna, dziewczica nad utratą lubego.

Jesienne szumią wichry—na wzgórek do krzyża,
Orszak cichy, żalobny powoli się zbliża.
Czarna chorągiew w przodzie....

Był to pogrzeb starca—zabiła go tęsknota po synu.

Przez łąny zbóż szumiących idzie lirnik wioskowy; przechodząc koło wzgórza, dostrzega świeży grób; westchnął i zanucił najsmutniejszą piosenkę. Była to pieśń żalobna nad uspioną w świeżym grobie dziewczicą. Do niéj to odzywa się lirnik:

W błogiéj, świętój dziś postaci,
Módl się czysta, wniebowzięta,
Za najniłszym z twoich braci,
Dusza jego odepchnięta
Od jasności wrót.
Módl się za nim, o aniele:
Jeśli zgrzeszył, to z rozpaczy;
Kochał wiele, cierpiał wiele:
Może Pan Bóg mu przebaczy!

Nastrój wzmaga się w obrazie II gim; rozpoczynamy go słowami poety:

Znam loch podziemny, z warownemi mury,
 Nad którym leży półkrągłe sklepienie;
 Światło tam gościem, bo oknem u góry
 Słabo się dzienne weiskają promienie...

Było to odwieczne więzienie, a nateraz przybytek epopei. Powiernikiem długiego niestety monologu mieszkańca tych podziemi jest mur, a napis tu i owdzie wryty jedynym heroldem samotnika ku potomności. Tu on składa dzieje życia duszy swojej, zapału młodzieńczego, miłości ku całemu człowieczeństwu, i tej miłości bezgranicznej, od której serce wędnieje jako kwiat od promieni słońca, a nakoniec składa nadzieję, że to, co było kwiatem w ideale, może da owoc w przyszłości.

W obrazie III-cim poeta przenosi nas w głąb lasu; od poranku słychać setnym echem odbite psów i strzelców głosy.

Od wesołego tła odchyła się smętna, zagadkowa postać: był to myśliwiec, któremu duszno wśród ludzi; odbiega on od rzeźwego grona w miejsce odludne, na urwisko skały, i tam wsparty na strzelbie, tonąc się zdaje w bezmierzach. Nie, nie w otchłaniach widomego świata—w otchłaniach duszy własnej nurza się myśl odludka, w uśpięne struny przeszłości uderza....

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, zagrzały rogi myśliwskie: to hasło powrotu. Schodzą się, obliczają: jednego zabrakło. Musiał się zbłąkać.... trzeba dać sygnały. Echo tylko odpowiada na sygnały, ale od myśliwca zbłąkanego niema odpowiedzi.

IV. Już dawno słońce błysło i pogasły zorza.
 Księżyc błądzi samotny jak okręt wśród morza.
 Wśród skał rozlecił się wystrzał i odbił o skały...

To strzał zapowiedziany w tytule poematu. W trzecim ustępie IV obrazu nasuwa się czytelnikowi przed oczy owoc ostatniego czynu samotnika, w straszliwej przedstawiony plastyce; zarzucimy całun na niego. Ludzie, jak to ludzie, zbiegli się, zdziwili,—przezdziwili się i rozeszli. Jeden tylko człowiek pozostał, i ręką braterską oddał ostatnią przysługę nieszczęśliwemu. Znalazł się przy samobójcy i obrazek kobiety w całym blasku wdzięków i piosenki; tak, to wszystko było, co go w ciernistym życiu do życia wabiło. W piosence streszczała się cała jakoby Męka Pańska duszy bohatera; koniec pieśni był zatarty. Czyżby ta anielska piękność tknęła go obłąkaniem, czy rozpaczą? Tego nikt nie wytlómaczy. „Być albo nie być“—on to zadanie rozwiązał.

Oto wątek poematu, którego nici, wyznajemy szczerze, nieraz wymykały nam się z ręki. Ocena wyboru na poemat samej treści, do tego stopnia wwikłanej w tajniki psychologii, na gruncie czysto estetycznym nie łatwo postawić się daje. Czuł to sam wieszcz, odbiegając prawie co chwila od powieści do liryzmu. Wmieszanie się „boskiego lica“ w wątek sprężyn straszliwych, powiedziałbym nad-estetycznych, zdaje się nieco przeszkadzać, tak właśnie, jak rzewna melodyjka prze-

latująca ponad grobowym akompaniamentem. Poeta jednak nie przypuszcza, aby ona być mogła przyczyną zguby. „Bóg nie mógł zostać wad w tak cudnym utworze.“

Ale pewniej ta postać anielska kobiety,
 Nie była dziełem ziemi, ale snem poety,
 Potrzebą duszy, pięknym życia ideałem,
 Myślą, wydartą niebu młodzieńczym zapalem.
 On, jak drugi Pigmalion, z natury powicia
 Dobył piękność—ukochał—lecz nie mógł wlać życia!

Takiego obrotu istotnie warto pozazdrościć naszemu poecie. Doprowadziwszy rzecz do tak przerażającego naprężenia, miał on przed sobą same tylko zagadkowe drogi, jak to bywa w każdym dysonansie, a wybrał drogę najniechybniejszą. Najpiękniej może pomyślanym pociągami pędzą jest owa kropelka krwi samobójcy, którą „chyba tylko siła trafu rzuciła na obrazek kobiety.“

Powiedzieliśmy na wstępie i powtarzamy: poemat ten nie w jednem miejscu świadczy o sile atletycznej. Takim jest np. przebieg wspomnień młodzieńca po kartach żywota ludzkości, w którym czytelnik zatrzyma się niewątpliwie na narodzie, który,

Gdy krwią ludzką wezbrane popłynęły rzeki,
 Wśród mordów i tryumfów wyrósł nieśmiertelny,
 Na którego wydanie siły się wicki.

oraz na ulubieńcu szczęścia, który

. . . w szalonym zapale,
 Chciał świat objąć rękoma od żądzy drżącemi,
 Chciał zostać Bogiem na ziemi,
 Skończył jak człowiek—na skale.

Pyszna również jest Grecya w swoim Maratonie, Salaminie, w swoich Olimpach, zdrojach kastalskich, na mównicach i pod klonem Platona (II, 4).

Niektóre rysy przypominają, może bezwiednie, *Foskarych* i *Czyl-lon* Byrona, *Dziady*; pierwsze znowu odgłosy głównej katastrofy przypominają śmiertelną komnatę *Maryi* Malczeskiego; w drugim ustępie ostatniego obrazu poeta przypomina wiekiasty monolog *Hamleta*.

Co do samego obrobienia myśli na zewnątrz, nie wiele miejsc wskazać można, któreby pokazywały, jak to koloryt po upływie pewnego czasu, potrzebuje niekiedy odświeżenia. Poeta nasz niekiedy za długo zatrzymuje się na podjętej metaforze, szczególnie jeżeli ją zaczerpie z natury; ale równy, harmonijny spadek zaciera podobne wrażenia. Pomimo dopiero co nadmienionej subtelności, sam język poematu jest tak świeży, tak dzisiejszy, jakoby poeta odgadywał stylowe i fonetyczne wymagania przyszłej połowy wieku.

Czytelnik pojmuje, że pozostawałoby nam jeszcze słów kilka sądu nad zwłokami bohatera; lecz i tu poeta przewidział, że w imieniu

piękna moralnego, ci i owi o sąd się upomną. Otóż na takim sądzie zamyka się powieść:

...On cicho przeżył młode lata:

Mało zrobił dla siebie, mniej jeszcze dla świata;
Miał myśli—te się jeszcze z obłon nie wyprzedły,
Ledwie w pęk zawiązano, zesochły i uwiędły.
Ale nie miał téj twórczej, której skrzydłem wzbity,
Mógłby się kiedyś wynieść nad gmin pospolity.
Znikł w oceanie wieków, jak dźwięk wśród przestrzeni,
Jak kwiat dopiero w późnej kwitnący jesieni:
Nie spojrział w piękne niebo, listków nie rozwinął,
I zapachu nie wydał i w wieczności zginął.

F. Jezierski.

Fragment nach der Glosse der heiligen Theresia von Siegmund Krasiński aus dem polnischen frei übertragen von Siegfried Lipiner (Urywek podług glossy S. Teresy, Zygm., Krasińskiego; wolny przekład p. Z. Lipiner'a). Wiedeń, w drukarni *Wiener Zeitung*, 1878 r.

Nie jestto *wolny*, lecz wierny przekład znanego arcydzieła poezyi ascetycznej, dokonany wierszem miarowo-rymowym. Tłómacz wsłuchał się w ducha pierwowortu i mowę naszą, jak widać, zna pojęciowo, aż do najgłębszych jęj skrytości. Zwracamy uwagę czytelnika np. na ustęp, w którym S. Teresa porównywa siebie z Magdaleną: „Niewięcej, niż ja, ona Ciebie nie kochała! Raz tylko z płaczącém obliczem leżała w obec mąk Twoich, w pyle Golgoty. Raz jeden tylko, a ja tyle razy, bo co noc staje przedemną ten obraz: straszliwe przestworze Kalwaryjskie.”

Wierniej przetłómaczyć niepodobna, albowiem w pierwowortze czytamy:

„Nie, Ciebie więcj nie kochała ona:
Raz tylko w życiu, na golgoekim pyle,
Leżała w płaczu krwią Twoją zroszona;
Raz jeden tylko, a ja razy tyle,
Bo co noc prawie dla mnie się odtwarza
Kalwaryjskiego przytomność cmentarza.

Również udatnie powiodła się tłómaczowi rozpaczliwa rytornela przed uciekającą śmiercią.

Tłómacz mówi: „Życie, a nie śmierć, budzi we mnie trwogę, bo takie pyszne światy widzę ja owdzie, że ten świat wydaje mi się grobem wygnania; umieram na to, że umrzeć nie mogę.”

Sam wiekopomny Zygmunt nie wyparłby się tych eligijnych akordów, tak szczerlnie one przystają wszystkimi tonami do owych wstępnych wierszy glosy:

„Przed życiem czuję, nie przed śmiercią, trwozę,
Bo takie światy widzę tam przed sobą,
Że mi ta ziemia grobową żalobą
I tém umieram, że umrzeć nie mogę.”

Pan Zygfryd Lipiner, jak widzimy, miłuje rzeczy piękne i wzniosłe, więc téż muza mu błogosławi. Polecać mu troskę o formę niemiecką i jej subtelności, nie naszą jest rzeczą, ale naszą: wezwać gorąco do dalszych studyów, nad jednym z najwyższych apostołów naszej pieśni.

F. J.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE,

NAUKOWE, LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

WARSZAWA.

Kwiecień 1879 r. — Dnia 24 kwietnia r. b. odbył się koncert wydany w celu zebrania funduszu na wystawienie pomnika grobowego w kościele Ś-go Krzyża w Warszawie, w którym przechowane znajduje się serce Fryderyka Szopena. Myśl tę piękną powziął, doprowadził do skutku i wykonał, nie żałując pracy i trudu niemałego, dyrektor Towarzystwa muzycznego Władysław Żeleński. Pomnik już wykonany, z popiersiem wielkiego muzyka, ozdobi wkrótce naszą świątynią.

— Opuścił prasę tom IV-ty *Zbioru Praw*, który, jak wiadomo, ma zastępować dalszy ciąg dawnego *Dziennika praw Królestwu Polskiego*. Wydane poprzednio trzy tomy rzeczonoego *Zbioru Praw*, obejmowały wszystkie obowiązujące w Królestwie Polskiem przepisy i rozporządzenia rządu, ogłoszone w właściwej prawodawczej drodze w ciągu roku: 1871, 1872 i 1873. Ukończony obecnie tom IV zawiera prawodawstwo za pierwsze półrocze 1874 roku jedynie, a mimo to jest on znacznie od poprzednich obszerniejszy, mieści bowiem w sobie 47 arkuszy druku, a w nich wiele bardzo ważnych przepisów prawodawczych. Redakcyja *Niwy*, której nakładem *Zbiór Praw* wychodzi, ogłasza na okładce IV tomu, że tom V, który obejmie prawa obowiązujące w Królestwie Polskiem, wydane w ciągu drugiego półrocza 1874 roku, wyjdzie z druku niebawem.

— Są ludzie cichéj pracy a wielce użyteczni, którzy myślą o pokarmie duchowym dla Bożéj czeladki, ażeby im przynosić ziarna zdrowéj nauki i wiadomości. Do rzędu takich zaliczyć musimy Bożydara Pasiecznika, który wydał: *Pogadanki o mądrych ludziach, dobrych książkach i pożytecznych wiadomościach*. Nakładem Teodora Osieckiego, 1879 r. Warszawa (w 8-ce, str. 15). Jestto pierwsza pogadanka, zapowiadająca szereg dalszych, napisana językiem czystym, stylem jasnym. Cena kopiejek 3, czyli 6 groszy polskich, ułatwia nabycie dla niezamożnéj czeladki. Praca to zacna i w poczciwéj myśli przedsięwzięta, ażeby pożyteczne wiadomości podać braci ubogiej w duchu. Tu szanowny autor daje jakby zarys literatury polskiej, wymieniając imiona zasłużonych pisarzy, których dzieła są najdostępniejsze dla ludu. W dalszych, gdy autor rozwinie plan zakresłony, będziemy mieli rozwój literatury ojczystéj. Z Janem Gawińskim powtórzyć możemy: „Szczęść Boże poczciwéj pracy.”

— Wyszło z druku: „Ósme zwyczajne ogólne zebranie warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia” i „Sprawozdanie dyrekcyi warszawskiego Towarzystwa ubezpieczeń od ognia, za rok ósmy działalności.” Od dnia 20 grudnia (1 stycznia) 1877/8 do włącznie dnia 19/31 grudnia 1878 r. (w 4-ce).

— Folwark Mereczowszczyzna, w którym się w r. 1746 urodził Tadeusz Kościuszko, a dwór ten o podwójnym dachu, zachowany mamy w *Album wileńskim* Wilczyńskiego, należał właściwie do Fleminga, wojewody pomorskiego i został oddany ojcu Tadeusza, Ludwikowi Kościuszce w zastaw za sumę 54,500 złp., która to suma spłaconą została w roku 1761. Metryka chrztu Kościuszki znajduje się w aktach kościoła Kossowskiego, do którego parafii Mereczowszczyzna należy.

— Profesor uniwersytetu Warszawskiego Aleksandrowicz zaproszony został na członka korespondenta Towarzystwa nauk przyrodniczych w Cherbourgu; profesor nadzwyczajny tegoż uniwersytetu Wrześniowski na członka Towarzystwa zoologicznego w Paryżu; konserwator gabinetu zoologicznego w Warszawie Taczanowski, na członka Towarzystwa ornitologicznego w Berlinie, Towarzystwa zoologicznego w Wiedniu; wreszcie na członka Towarzystwa zoologicznego londyńskiego i akademii „Hippony.” Referent kancelaryi okręgu naukowego warszawskiego Siennicki, zaproszony na korespondenta Akademii królewskiej w Madrycie, na członka Towarzystwa geograficznego i członka-korespondenta statystyków w Paryżu.

— Drukowana w czasopiśmie *Israelity* powieść Meyersonowéj *Z ciasnej sfery*, której treścią są postacie polskich żydów, wyszła w oddzielnéj odbitce (Warszawa, 1878 r.).

— Gazeta rosyjska *Golos* pisze w kwestyi języka ojczystego:

„Kwestya nauczania w języku miejscowym, jest kwestyą państwowego znaczenia. Język, również jak i religia, to własność narodu, z której wyzuc go niemożna. Zmusić do zapomnienia mowy ojczystéj niepodobna. Mamy tego dowody na Kaukazie.

W ostatnich czasach wiele okoliczności przyczyniło się do zmiany poglądu na kwestyą wychowawczą w okręgu kaukaskim. W skutek zmiany tej nastąpiło rozporządzenie, ażeby język gruziński był wykładany w średnich zakładach naukowych i ażeby do nauczania elementarnego używano téjże mowy. Ale między tém rozporządzeniem a wykonaniem jego, leży cała przepaść.

Dotąd, tylko szkoły dyrekcji tyfliskiej wprowadziły u siebie język gruziński do nauczania elementarnego; wszystkie zaś inne zakłady, średnie i niższe, również jak instytut nauczycielski aleksandrowski i seminarjum duchowne, nietylko nie wykonywają rozporządzenia, ale nawet je sobie otwarcie lekceważą.

Pomieniony instytut nauczycielski, jedyny w kraju, dążność niektórych nauczycieli do wystudyowania mowy ojczystej uważa za coś nielegalnego, ba! nawet rewolucyjnego. Takież poglądami rządzi się i seminarjum duchowne.

Gazeta tyfliska *Droeba*, mówiąc o faktach prześladowania mowy gruzińskiej, wskazuje na dwa gimnazyja: tyfliskie i kutaiskie. Ażeby wytepić w dzieciach miłość mowy ojczystej, drwią z niej nielitościwie i dobierają takich nauczycieli języka gruzińskiego, których ciemnota i ubóstwo umysłowe, przed wzrokiem nawet dzieci ukryć się nie mogą. Nauczyciel języka gruzińskiego w gimnazyum tyfliskim p. Ter-Gamo, o tyle posiada znajomości swego przedmiotu, że po każdym niemal wyrazie, przez tego pedagoga wymówionym, dzieci na głos i to homerycznie się śmieją. Nauczycielem języka gruzińskiego w gimnazyum kutaiskim był starzec stuletni, pozbawiony już wzroku i pamięci i nigdy nieposiadający żadnych wiadomości z dziedziny piśmiennictwa gruzińskiego; po nim nastąpił takież starzec, z również obfitym zasobem wiedzy.

Nie zdołamy pojąć, mówi *Golos*, jakimi kombinacjami kierują się ludzie, gdy tak nietaktycznie lekceważą sobie ufność i sympatye ogółu. Mowa ojczysta, to klejnot najdroższy narodu w duchowej skarbnicy jego przechowywany. Poniewieranie tego klejnotu rani najboleśniej serce narodu.

Gruzini tureccy, jak świadczy *Droeba*, zwrócili już uwagę na tę okoliczność, że w Gruzji całej niema ani jednej szkoły, gdzieby wykład języka gruzińskiego nie napotykał jakichkolwiek tam i przeszkód, podczas, gdy w Konstantynopolu istnieje szkoła wzorowa dla dzieci gruzińskich."

— Akademia Umiejętności w Krakowie, nadesłała nową wiązkę swoich szacownych wydań: wyliczmy cały poczet. 1) Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału historyczno-filozoficznego, tom IX. 2) Rozprawy i sprawozdania z posiedzeń wydziału filologicznego, tom VI. 3) Akta historyczne do objaśnienia rzeczy polskich służące, tom I, zawiera korespondencyą Andrzeja Zebrzydowskiego z lat 1546—1553. 4) Starodawne prawa polskiego pomniki, tom V część pierwsza, opracowane przez Michała Bobrzyńskiego. 5) Pamiętnik Akademii Umieję-

tności w Krakowie, tom IV in 4-o. 6) Po ucieczce Henryka. Dzieje bezkrólewia 1574—1575 przez Wincentego Zakrzewskiego.

— Kopiec Krakusa, na gruntach gminy Podgórze usypany, jako grunt był własnością gminy miasta Podgórze. Kiedy zaś Podgórze w ściśle obręb fortyfikacyjny miasta Krakowa wciągnięte zostało, władza wojskowa zajęła kopiec Krakusa w posiadanie i urządziła na nim redutę fortyfikacyjną; ówczesny zaś burmistrz Podgórze pan Seemann, wcale się temu nie sprzeciwił, owszem, nie szanując pamiątki narodowej, żadnych zastrzeżeń nie poczynił. Odtąd o sprawie kopca Krakusa nie myślano, aż w roku 1876 przy urządzaniu ksiąg gruntowych w Podgórzu, kopiec Krakusa na własność skarbu wojskowego zapisany został, przez co skarb wojskowy jako właściciel gruntu, przy zniesieniu kiedyś fortyfikacji, kopiec Krakusa, tę odwieczną pamiątkę narodową, a w szczególności dawniej własność miasta Krakowa, którego Podgórze było przedmieściem, mógłby znieść lub pozbyć w ręce prywatne. Terazniejszy burmistrz podgórski p. Floryan Nowacki, zajął się gorliwie odzyskaniem tego pomnika, a badając czy wszystkie parcelle gruntowe Podgórze należycie są w księgach nowej hipoteki zapisane, spostrzegł, że kopiec Krakusa na własność skarbu wojskowego został zapisany. Broniąc więc praw gminy Podgórze do własności gruntu, aby tym sposobem i pamiątkę narodową uratować, wezwał adwokata dra Hajdukiewicza w Krakowie, obrońcę gminy Podgórze w sprawach prawnych, aby potrzebne kroki sądowe do odzyskania kopca Krakusa poczynił. W tych dniach sprawa ta ostatecznie załatwioną została w ten sposób, że własność kopca Krakusa gminie miasta Podgórze przyznana została, a skarb wojskowy obowiązał się kopiec Krakusa jako „pamiątkę narodową“ przez cały czas trwania fortyfikacji, w dobrym utrzymywać stanie; w razie zaś zniesienia fortyfikacji, kopiec ten gminie miasta Podgórze jako jej własność zwrócić.

— Wspaniale wydane dzieło Maryana hr. Czapskiego przez J. K. Żupańskiego, w 3-ch tomach: *Historja konia*, ukaze się wkrótce w przekładzie niemieckim.

— W Krakowie wyszedł tom III-ci *Pamiętnika Towarzystwa Tarzańskiego*, w którym część literacka składa się z wielce zajmujących artykułów, dotyczących głównie tej krainy górskiej.

— Członek Akademii Umiejętności w Krakowie prof. Władysław Łuszczkiewicz, w początkach miesiąca sierpnia r. z. zwiedzał starożytne zabytki świątyń w Królestwie Polskiem. Najprzód odwiedził katedrę w Płocku, w której znalazł dowody pierwotnego stylu romańskiego. Odwiedził też wysokiej wartości zabytek średniowieczny w Tumie pod Łęczycą, do którego murów przywiązaniem jest też podanie o słynnym Borucie, co miał zamieszkiwać obszerne błota pod tym starożytnym grodem.

— Wyszło z pod prasy *Sprawozdanie Dyrekcji Gimnazjum Tarnowskiego* (w Galicyi) za rok szkolny 1878. Na czele znajdujemy zajmujący

„Rys dziejów Gimnazjum Tarnowskiego“ przez Bronisława Trzaskowskiego.

— *Ziemiańin*, tygodnik przemysłowo-rolniczy, organ centralnego Towarzystwa Gospodarczego w W. Ks. Poznańskiem, lat już 24 istniejący, wychodzi i w r. b. pod redakcją Kazimierza Koszutkiego. Pismo to liczy wielu zwolenników dla rzeczywistej swój wartości i nader starannej redakcyi.

— W Poznaniu, jak donosi *Wiek*, dana była uczta w sali bazarowej na cześć profesorów: St. hr. Tarnowskiego i M. Bobrzyńskiego; zgromadziła ona przeszło 200 osób płci obojęd. Szereg toastów na cześć gości rozpoczął p. Adam Żółtowski w następujących słowach:

„Pewny jestem, że odpowiem ogólnemu poczuciu, jeżeli wniósę toast na cześć naszych gości prelegentów, wynurzając im radość i wdzięczność naszą, że raczyli odwiedzić nasz gród starożytny. Przybyliście do nas, Panowie, do téj kolebki narodu naszego, nad którą zabrzmiała pierwsza pieśń polska, pieśń Bogarodzica; słuszném więc było, że Wy, mistrze słowa, przybyliście tutaj oddać ten hołd narodowi. Było to zadanie godne Was i godne narodu. Ale obok tego zapewnć Was mogę, że względem nas spełniliście tém samym dobry, prawdziwie braterski uczynek. — Skazani na to, aby żyć tylko przeszłością, uczuliśmy podniesionego ducha naszego, boście nam przywieźli dowód naszej łączności, przywieźliście nam niejako pozdrowienie od naszej staréj Alma Mater krakowskiej, dając nam sposobność poznania naszych wielkich powag naukowych.

„Powiedziałem, żeście względem nas spełnili dobry uczynek, ale dodać winienem, żeście go spełnili w sposób tak szlachetny a dla nas tak pochlebny, że pamięć o nim stać będzie pomnikiem w sercach naszych. Wydobyliście bowiem ze skarbów naszej literatury wszystkie perły, wszystkie klejnoty, które tam wielkopolska dorzuciła ręka, a jeżeli między niemi znalazła się jaka strona ujemna, to Waszym owiana duchem, przybrała nowego światła, nowego blasku, i świecić będzie jako słońce na naszym horyzoncie. Możemy teraz być spokojni o pogrobową chwałę naszych protoplastów. Jeżeli jednak słońca te mimowolnie już nieco przyćmione zostały blaskiem tych satelitów, które około nich krążyły, no! to niech i tak będzie, wszak to wszystko na większą chwałę narodu. Spełnijmy więc z całego serca ten toast wdzięczności: niech żyją hr. Tarnowski i p. prof. Bobrzyński!“

Pan St. hr. Tarnowski dziękując zań, podniósł zasługi kół polskich, dalej zaś duchowieństwa, następnie znaczenie ludu, a wreszcie życzenie, by młodzież w tory starszych wstępowała, i wznosił zdrowie tych wszystkich. Potém ks. prałat Linowski wznosił toast, kreśląc przeszłość i znaczenie Wszechnicy Jagiellońskiej i Akademii Umiejętności, na cześć tych dwu naszych ognisk umysłowych. Na toast ten odpowiedział dr. Bobrzyński toastem na cześć tutejszego Towarzystwa Przyjaciół Nauk. Następnie wznosił p. hr. Cieszkowski toast na cześć pani Stanisławowej hr. Tarnowskiej jako profesorowej, która tytuł ten

najwyżej sobie ceni, a potem dr. Szuman, prezes koła polskiego na sejmie pruskim, dziękował za toast wzniesiony na cześć kół polskich i wznosił toast na cześć Polski; zaś dr. Niegolewski wynosząc potęgę słowa i wiedzy, wznosił toast na cześć tych, którzy potęgą słowa i wiedzy nam przodują. P. Cegielski wreszcie złożył podziękowanie w imieniu młodzieży. Po uczcie jeszcze długi czas spędzono na serdecznej pogadance. Podczas całej uczy muzyka przygrywała.

— W wiedeńskim arsenale urządono osobną salę, w której mieszczą się trofea rozlicznych wojen, jakie Austria kiedykolwiek prowadziła. Są tam działa, sztandary, bronie, zbroje i t. p., rozmaitych narodów, i między niemi jest jedna armata bezpośrednio nas obchodząca. Jestto szesciofuntowe działko pruskie, ze znanym monogramem *F. R.* i dewizą: *ultima ratio regis*. Otóż na dziale tém znajduje się następujący napis:

„Legion 3-ci Polski
Pod komendą Gen.
Dąbrowskiego Zdo-
był tę Armatę Na
Prusakach Pod Tcze-
wem Dnia 23 Lutego
1807 Roku.“

Nad napisem tym wznosi się orzeł wśród słońca, i dewiza: *nec soli cedit*.

— Tygodnik illustrowany czeski *Svetozor* podał obszerny życiorys Adama Asnyka, jednego z pierwszych poetów naszego okresu. Autor tej biografii p. Kwapil, z sympatycznym uznaniem ocenia jego poezye i utwory dramatyczne, wykazując właściwe stanowisko, jakie młody poeta, w literaturze naszej zajmuje. Poprzednio *Narodne Listy* w felietonie ogłosiły artykuł o Asnyku, zawierający szczegółowy rozbiór *Kiejstuta*. Ottokar Mokry, niektóre poezye Słowackiego przetłumaczył i próby tego wydrukował w *Bibliotece poezyi światowej*. P. Pokorny tłumaczy poezye J. B. Zaleskiego i w tejże publikacji pomieszcza. Żywe zajęcia Czesi okazują, w poznaniu i badaniu skarbów literatury polskiej, szczególniej poezyi; ale najtrudniejsze zadanie wzięli na siebie, bo przekład największych mistrzów słowa polskiego, jakimi są bezsprzecznie J. B. Zaleski i Juliusz Słowacki.

— W Pradze Czeskiej wyszedł tom II ważnego dzieła p. t. *Słowanská poezie, vybor z narodního a umeleckého básnictva slovanského w českých prekladach*. Zaczawszy od Jana Kochanowskiego, z najznakomitszych poetów polskich, w tej autologii znajdujemy przekłady, wiernie i poetycznie dokonane, przez Czepakowskiego, J. Koubek'a, Wacława Sztulca i w. i., którzy doskonale język polski znali a literaturę naszą gorąco miłowali.

— Nowe wydanie: *Historji narodu Czeskiego*, przez Franciszka Palackiego zostało ukończone.

— Pod napisem: *Le France et les Polonais: aperçu historique* (Strasbourg 1875 r.) wyszła broszura, obejmująca wiadomości o stosunkach dawniej Polski z Francją, poczynając od Henryka Walezjusza. Szerszy ustęp zajmuje panowanie Jana III i kreśli dosadnie postać Maryi Kazimiery, owęj „ślicznej Marysieńki,” jak ją Jan III, król małżonek w swoich listach nazywa. Wiele w tém dziełku znajdujemy szczegółów o królu Stanisławie Leszczyńskim i jego córce Maryi królowej francuzkiej.

— W Rzymie nowy obraz H. Siemiradzkiego: *Cernua czyli starożytna tancerzica, tańcząca wśród mieczów w gronie dawnych Rzymian*, jest celem podziwu i uwielbienia dla naszego mistrza. Znawcy, a w gronie ich poważny Minghetti, stawia ten nowy utwór wyżej od *pochodni Nerona*. Obraz ten zakupił Aleksander hr. Orłowski i po wystawie w Paryżu, pomieszczonym zostanie w pałacu Jarmolińcach na Podolu.

— W Bononii w sprawie zawiązania stowarzyszenia, mającego się zająć badaniem dziejów narodu polskiego, odbyło się w dniu 23 marca zgromadzenie akademickie, które na ręce pośta Wolskiego przesłało następujący telegram:

„Słuchacze uniwersytetu bonońskiego, zgromadzeni dziś w wielkiej auli dla wysłuchania odczytu prof. Santagata o historii i literaturze polskiej: wdzięczni za otrzymane życzliwe odezwy, zatwierdzają swoje odezwę w czerwcu wydaną i przesyłają pełne zapału pozdrowienie szlachetnej ojczyźnie Kopernika, Jana Sobieskiego, Kościuszki i Mickiewicza. Za zgromadzenie: prof. Dominik Santagata; studenci Mario Rinaldini, Antonio Acceti, Alfonso Ghillini, Luigi Pagini Cesi, Dario Sarti.”

— Miłośnicy komizmu Szekspira z zapałem przyjąć powinni świeżo ponowione wydanie dzieła Jamesa White'a: *Listy Falstafa (Falstaff's Letters*, Londyn). Jestto szereg korespondencji Falstafa z towarzyszem hulackich przygód, Halem (przyszłym Henrykiem V), zaimprovizowanych na podstawie typu Szekspirowskiego.

— Do dziejów *Wielkiej armii* przybywa ciekawy przyczynek z dziełem barona Ernoufa: *Pamiętniki oficera polskiego*, obrazy z wojennego życia w Hiszpanii i Rosyi od r. 1808—1812. Autorem tego dzieła był oficer 2-go pułku nadwiślańskiego Henryk Brandt, urodzony w tej części kraju, która przeszła pod panowanie pruskie. Przypisał on je swojemu generałowi Moltke. Wszakże z wysokim uwielbieniem opisuje on heroizm ziomków podczas całej epopei Napoleońskiej. Nadzwyczaj zajmującą jest historia wojny hiszpańskiej. Tu autor z goryczą mówi o roli ziomków, których waleczność zużytkowano, jako narzędzie operacji militarnej, depreczującej świętokradzko instynkta narodu.

— Tu złośliwie ciekawą czytamy anegdotę o przyszłej znakomitości: „Kiedy w r. 1833 stary Napoleonista zwiedzał obóz francuzki w Wattignies, zauważano tam młodego porucznika, jadącego na koniu angielskim, pięknym, ale nadzwyczaj narowistym, który, podczas rewii, dwa razy zrzucił swojego jeźdźca. Mówiono o nim, że jest oficerem służbis-

tym, ale ma tę słabość, że często odrywa się od swego konia. Później przesiadł się on na innego konia, zwykle kornego, ale umiejącego także na swój sposób pokazać grymasy, ile razy bez potrzeby drażniono go żelazem od uździennicy. Brandt zapytał o nazwisko porucznika.... nazywał się on de Mac Mahon.

— Głośny od niedawna twórca systemu *Absolutnej bezświadomości* Hartman, przystępuje do *uwieńczenia gmachu*, bo za to rzeczywiście uważaoby należało zastosowanie wszelkiej uprzedniej machiny dyalektycznej do spraw moralnie społecznych. Obszerne jego dzieło w tym kierunku świeżo wydane, około dziewięćset stron liczące (a stanowiące dopiero pierwszą część), nosi tytuł: *Fenomenologii samowiedztwa etycznego* (*Phaenomenologie des sittlichen Bewusstseins*; Berlin, 1879. Carl Duncker's Verlag). Cokolwiek krytyka wypowie o tém zaokrągłaniu systemu, nie źle będzie uprzedzić czytelnika, aby przycgotował ucho na łoskot ostatniego już, t. j. stanowczego ciosu, wymierzonego na wszelką autonomię indywidualności ludzkiej. Dostojny pesymista nasz do tego stopnia pozostaje tu wiernym dogmatowi, że np. podług niego „tylko człowiek o wysokości potędze miłosierdzia, zdolnym jest poczuć potężną rozkosz okrucieństwa.” W cóż to się obrócił mistrzowski traktat Szopenhauera o Litości! Jądrem systematu i tu naturalnie jest wola. Pomimo danej z góry zapowiedzi, że dzieło to, bez poprzednich nawet studyów filozoficznych, każdy wykształcony człowiek czytać może, nie odznacza się wszakże ono zbytnią popularnością.

— Ważném dla dziejów piśmiennictwa włoskiego jest dzieło Adolfa Bartoli: *Historja literatury włoskiej* (*Storia della Letteratura Italiana*. Florencyja, 1878). Dotąd wyszedł tom I-szy, zawierający wstęp: Zasadnicze znamiona piśmiennictwa średniowiecznego. Przepaść, oddzielającą epokę odrodzenia (włoskiego) od okresu średniowiecznego, Bartoli już poprzednio wypełnił dołami pośrednimi w swoim przed kilku laty wydaném piśmie: *Precursori del Rinascimento* (Poprzedziciele odrodzenia). Otóż nic téj ciągłości autor podaje nam i w niniejszym wstępie obszerniej, upatrując już w IX wieku klujące się zarody humanizmu i wskazując, jak stopniowo nawet w dramacie (w misterya, czysto klerowe) wdzierały się żywioły świeckości i protestu. Mocno też zaznacza autor wpływ koczującej poezji trubadurów; nie pominał przytém i Arabów.

— Publicystyka amerykańska. Ernest Steiger, w piśmie swoim p. n.: *Literatura peryodyczna w Stanach Zjednoczonych* (*The periodical Literature of the United States of America*. New-York), podaje ciekawy wykaz ruchu wydawnictwa peryodycznego w Nowym Świecie, wraz z jego historją. Spotykamy tu zdumiewające zjawiska. Najpierwszą gazetą amerykańską były *Wypadki publiczne* (*Publick Occurrences*), podług ówczesnej pisowni; pierwszy numer wyszedł w r. 1690, w Bostonie. Wydawca Benjamin Harris, takie daje w nim zagajenie: „Zamierzam zawiadamiać publiczność raz na miesiąc o wszelkich ważniejszych zdarzeniach. Gdyby w przedziałach pomiędzy miesiącami za-

szło coś szczególnego, wtedy przygotuję numer nadzwyczajny. Proszę wszystkich uczciwych mężów Bostonu, aby mię w tej czynności poprzeć raczyli. Ponieważ zaś koniecznością jest opierać się duchowi kłamstwa, przeto nie wydrukuję nic takiego, o rzeczywistości czego sam nie przekonabym się poprzednio; a jeślibym popełnił mimowolną pomyłkę, to ją w następnym numerze sprostuję.“

Program, zdawałoby się, prosty i niewinny, opisywać zdarzenia ważne i opisywać prawdziwie! Inaczej jednak rzecz tę widział rząd Metropolii, skoro *uprosił* Harrisa, aby się czémś pożyteczniejszém zajął, aniżeli wydawaniem gazety w Ameryce! Harris przeto odpłynął do Anglii i założył tam do dziś istniejącą gazetę *Post*. A tak pierwszy numer *Wypadków publicznych* był zarazem i—ostatnim. Przez kilkanaście lat dostojna matka starała się o to, aby w Ameryce nie było gazety. „Chwalić Boga, mówi Berkeley gubernator angielski, nie mamy tu w Wirginii ani szkoły, ani drukarni, i spodziewam się, że tak potrwa całe wieki.“ Zobaczmyż o ile sprawdziły się pobożne życzenia Berkeley'a. W roku np. 1873 w Stanach Zjednoczonych wychodziło pism peryodycznych 8,500. Obok politycznych, rozchodzi się tam najwięcej pism religijnych. W r. 1873 religijnych gazet i pism czasowych było 420 o 9-ciu milionach egzemplarzy i półtora miliarda numerów.

— *Plemiona Beduinów z nad Eufratu* (Bedouin tribes of Eufrates), przez lady Annę Blunt, tom 2. Londyn, 1879. Książka obszerna, napisana pouczająco, z życiem i humorem. Żywa wyobraźnia autorki (opisuje bowiem swoją własną podróż, odbytą w r. 1877), potężny jej zmysł spostrzegawczy, świetny koloryt w opisach, tu i owdzie rzucone aforyzmy społeczne, nadają książce wiele powabu i interesu. Autorka kreśli nie tylko obrazy miejsc, lecz i typy ludzi i plemion nader udatnie. Zdaje się, jak gdyby wolała widzieć Beduinów zatrzymujących się nieruchomie na fazie patryarchalnej, bo wszędzie, gdzie tylko następuje się sposobność, przedstawia próby kultury europejskiej, przesadzane owdzie, w rysach sarkastycznych. Tak np. o Midhacie mówi, że powziął niefortunną myśl uszczęśliwienia Mezopotamii ogromnym kanałem, a tymczasem cała okolica, zamiast użyźnienia się, otrzymała popiół, a Bagdad stał się wyspą otoczoną wyziewnemi bagnami. Rehabilituje go jednak tém, że opuszczając posadę, wyjechał bez grosza w kieszeni, i dla wynajęcia sobie konia, zastawił zegarek. Do dzieła dołączoną jest mapa i ryciny.

— Redakcyja *Książki Jubileuszowej J. I. Kraszewskiego* podaje do powszechnj wiadomości, że już rozpoczyna druk tego wydawnictwa, które mniéj więcéj na czterdziestu arkuszach wielkiej ósemki zawierać będzie, oprócz obszernego życiorysu Jubilata, obraz wszechstronny jego działalności literackiej, przedstawiony w studyach i sprawozdaniach, traktujących o utworach jego w każdej gałęzi piśmiennictwa, a złożonych przez trzydziestu przeszło pisarzy, którzy pomiędzy siebie rozdzielili tę pracę, za olbrzymią na siły pojedyncze.

Pisarze ci są następujący: Piotr Chmielowski (który dał studyum o pierwszém dziesięcioleciu zawodu pisarskiego Kraszewskiego), Maryan Gawalewicz, Stanisław Grudziński, Dyonizy Henkiel, Edward Lubowski, Walerya Marrené, Eliza Orzeszkowa (o powieściach obyczajowych), Kazimierz Kaszewski (o powieściach ludowych), Tadeusz Korzon (o powieściach z dziejów rzymskich), Władysław Nehring (o powieściach historycznych z XVI i XVII wieku), Kazimierz Jarochoński (o powieściach z epoki saskiej), Władysław Smoleński (o powieściach z epoki Stanisławowskiej), Michał Bobrzyński (o cyklu powieści historycznych), Wincenty Korotyński (o utworach poetycznych), Władysław Bogusławski (o utworach dramatycznych), Jan Karkowicz i Konstancya Skirmuntówna (o dziejach Litwy i Litwie za Witolda), Adam Kirkor (o historii miasta Wilna), Jan Kazimierz Plebański (o pamiątkach historycznych), Henryk Struve (o poglądach filozoficznych Kraszewskiego), Roman Pleniewicz (o studiach literackich i krytyce), Wojciech Gerson (o pracach Kraszewskiego, odnoszących się do historii i teorii sztuk pięknych), Antoni Bądzkiewicz (o podróżach po kraju), Józef Łepkowski (o pracach archeologicznych), Kazimierz Wójcicki (o projekcie Encyklopedyi starożytności polskich), Włodzimierz Spasowicz (o redaktorstwie Athenaeum), Edward Sulicki (o redaktorstwie Gazety Polskiej), Jan Zacharyasiewicz (o typach kobiecych w powieściach Kraszewskiego), Aleksander Kraushar (o zapatrywaniu się Kraszewskiego na kwestyę żydowską), Aleksander Tyszyński (Kraszewski w Warszawie r. 1846), Jan Gloger (czasy szkolne w Białej), Hipolit Skimborowicz (bibliografia wszystkich pism Kraszewskiego), Adam Pług (zyciorys jubilata).

Książka ta ozdobiona będzie dwudziestu drzeworytami, przedstawiającymi Jubilata w czterech epokach jego życia, prababkę jego Nowowiejską i babkę Malską, które pielegnowały go w leciech dzieciennych, jako też portrety jego rodziców; nadto zaś następujące widoki: domu przy ulicy Aleksandryi w Warszawie, w którym się Kraszewski urodził, oraz różnych miejscowości, z życiem jego związanych, mianowicie: Romanowa, Dołhego, zamku Radziwiłłowskiego w Białej, gmachu uniwersyteckiego w Wilnie, Horodca, Omelna, Gródku, Hubina, Kisiel, willi w Dreźnie i wnętrza gabinetu. W końcu zaś dołączone będą trzy facsimilia pisma Jubilata: z lat dziecinnych, młodzieńczych i dojrzałych.

Przedpłata na to wydawnictwo pamiątkowe, nad którego znaczeniem i wartością rozwodzić się byłoby z naszej strony rzeczą niewłaściwą, — w stosunku już do samych rozmiarów dzieła i obfitości rycin, jest nadzwyczaj niska, gdyż wynosi tylko za egzemplarz broszurowany w Warszawie rubli 3, na prowincyi rubli 3 kop. 50; za oprawę zaś w ciemne płótno angielskie dopłaca się (w razie żądania) kop. 75, w jasne rub. 1.

Cena tak przystępna ustanowiona została dla jak najszerzego rozpowszechnienia *Książki Jubileuszowej*, której celem jest: nie tylko upamiętnić rocznicę półwiekową jednego z najprzedniejszych i najzasłużeńszych naszych pisarzy, ale też i dać poznać ogółowi, w pełnym,

choć treściwym obrazie działalności tego pisarza, cały ogrom jego pracy, znakomitość talentu i doniosłość zasługi, o których niewątpliwie mało kto z czytelników zwyczajnych sam przez się mieć dokładne może pojęcie; bo ileż na to czasu i jak wszechstronnego ukształcenia potrzeba, aby przeczytać i ocenić to wszystko, co ten umysł potężny w ciągu lat 50 wytworzył!

Wiedzieć wszakże należy, iż ta przystępność ceny, niepraktykowana przy zwykłych wydawniczych warunkach, tu się stała możliwą, dzięki tylko chwalebnej ofiarności naszych wydawców, drukarzy i księgarzy, z których pan Gracyan Unger wziął na siebie bezinteresownie druk książki, inni zaś złożyli fundusz na papier, drzeworyty i t. p.; zbytecznie zaś powiadać, że między pisarzami, którzy udział w tej pracy wzięli, nie było ani mowy o honorarium.

Ublżylibyśmy więc naszej publiczności, gdybyśmy przypuszczali, że nie zyska u niej sympatyi książka, w taki sposób zebrana i wydana, tak cenna a niedroga, mająca zaś na celu, obok uczenia Jubilata, przysporzenia mu środków do opędzenia się troskom powszednim i do zaspokojenia niejednego z tych wzniosłych pragnień, w których dobro powszechnie łączy się z błogiem zadowoleniem duszy.

Nie nawołujemy przeto i nie zachęcamy prenumeratorów, których sporą liczbę już mamy, a wśród których gubernia Łomżyńska z ofiarą swą, dochodzącą do dwu tysięcy rubli, jaśnieje najpiękniejszym przykładem; ostrzegamy tylko, że za kilka tygodni przedpłata już będzie zamknięta, a zatem, kto się spóźni, ten samemu sobie winę przypisze, iż nie będzie już mógł posiadać tej szacownej pamiątki, która się nie znajdzie w handlu księgarskim.

Przedpłatę można składać w redakcyach pism i w znaczniejszych księgarniach warszawskich.

Upraszają się wszystkie czasopisma, aby raczyły powtórzyć niniejsze ogłoszenie.

† Dnia 20 marca r. b., w dziedzicznej swój wiosce Kunce, w powiecie Hajsyńskim na Podolu, zmarł ś. p. **Karol Drzewiecki**, syn znanego szefa Józefa w naszej literaturze z wydanych *Pamiętników*. Zmarły Karol, po wyjściu z b. wojska polskiego, osiadł na wsi oddany gospodarstwu i pracy literackiej. Jest autorem kilku dramatów, z których najcelniejszy: *Jeremi Wiśniowiecki*. Z podróży na Wschód, którą odbył w młodym wieku, zajmujące ustępy drukował J. I. Kraszewski, w redagowanym przez siebie *Ateneum*.

— Dnia 26 marca r. b. zakończył życie **Dezydery Chłapowski** b. generał b. wojsk polskich, w dobrach swoich Zaranu w Wielkim Księstwie Poznańskim. Znakomity ten mąż w r. 1807 porzucił dobrze zagospodarowany majątek i wstąpił do wojska: prędko dał się poznać Napoleonowi I, był jego oficerem ordynansowym, następnie dowodził szwadronem gwardyi. W r. 1813 wziął dymisją i poświęcił się

gospodarstwu wiejskiemu, które po kilkunastu latach stało się wzorem dla sąsiadów i szkołą dla młodzieży ziemiańskiej. Dzieło jego: *O rolnictwie* należy do najwyborniejszych w naszym języku, bo oparte na długim doświadczeniu własnym. Każdy rolnik polegać może śmiało na podanych radach i wskazówkach, jakie podaje w pomienioném dziele: praca ta szacowna miała kilka wydań. Ś. p. Chłapowski pisał pamiętniki, obejmujące okres od pierwszych dni jego młodości do naszych czasów. Żył lat dziewięćdziesiąt kilka. Cześć pamięci tego zacnego obywatela i wojownika.

— Dnia 9 kwietnia r. b. umarł w Warszawie po długiej chorobie **Feliks Beneveni** b. naczelnik kancelaryi XI okręgu zarządu komunikacyi. Znanym jest z kilku prac, które ogłosił drukiem. Jako nauczyciel matematyki w jednym z gimnazyum w Warszawie, napisał algabrę dla klas wyższych, zaleconą przez ministra oświecenia dla szkół Okręgu naukowego warszawskiego. W roku 1863 wydał: *Dzieje alchemii*. W r. 1867, wróciwszy z wystawy paryzkiej, miewał odczyty o pomienionej wystawie, które drukował w r. 1868. Zasiłał i pisma czasowe swemi pracami.

— Dnia 13 kwietnia r. b. we Lwowie zakończył życie ś. p. ksiądz **Dominek Barącz** kanonik i proboszcz kapituły ormiańskiej tegoż miasta, mąż wielce zasłużony literaturze naszej. Ormianin z rodu, pobratymcom swoim, którzy oddawna stali się wielce użytecznymi obywatelami Polski, poświęcił wiele prac, jużto objaśniając dzieje Ormian polskich, już wymieniając zasłużone ich rodziny, godne wspomnienia potomnych. Na polu etnografii krajowej zostawił niemało prac cennych, jako téż i monografii historycznych. W chwili skonu liczył rok 71 życia.

Od Redakcyi.

Autorowi listu ze stacyi pocztowej Lipno. Po upływie terminu oznaczonego o nadesłanie rozpraw treści w konkursie za rok 1878 ogłoszonej, postanowienie swoje Redakcyi Biblioteki Warszawskiej w następnych zeszytach poda do wiadomości publicznej.

Redakcyi Biblioteki Warszawskiej.

Redaktor odpowiedzialny K. Wł. Wójcicki.

Wydawca Józef Berger.

LISTA

DOTYCHCZASOWYCH PRENUMERATORÓW

BIBLIOTEKI WARSZAWSKIÉJ

za rok 1879 ¹⁾.

Akademia Umiejętności w Krakowie.	Boren w Równie.
Akademickie Polskie Towarzystwo „Ognisko” w Wiedniu.	Brodowski dr.
Akademickie Muzeum w Dorpacie.	Bronikowski.
Antoniewicz w Jasnogórze.	Brzeżek.
Arct ksg. w Lublinie. *	Buczyński. *
Ascher et Com. ksg. w Berlinie. *	Budkiewicz ksg. w Żytomierzu. *
Bakowski Jan w Ożarowie.	Bułakowski ksg. w Sandomierzu. *
Banarski Władysław ksg. *	Cassius B. ksg. *
Bardzki adwk.	Cesarские Towarzystwo geograficzne w Petersburgu.
Belejowska.	Centnerszwer ksg. *
Bersohn Matjas.	Chęciński.
Bersohn Jan.	Chmielewski.
Biblioteka Umiejętności w Berlinie.	Chodźko ksg. w Piotrkowie. *
Biblioteka Cesarskiego Uniwersytetu w Petersburgu.	Chojnowski.
Biblioteka hr. Zamoyskich.	Chwalibóg.
Biblioteka Ossolińskich we Lwowie.	Ciborowski Al. w Wylycznie.
Biblioteka hr. Krasieńskich.	Cygański.
Biblioteka Jagiellońska w Krakowie.	Czarnecki W. w Wezdenkach.
Bielicki w Drażgowicach.	Czarnowski i Spół. ksg. *
Bielinowicz Teofil w Reczycy.	Czarniecki.
Bielinski dr.	Czernichowska L. w Orszy.
Bióro posłańców.	Czerniewski Jan w Tyflisie.
Bloch Jan.	Czerwiński L. w Husiatynie.
Bogucki Feliks w Odessie.	Czempiński w Puławach.
Bogucki A. ksg. *	Czempiński w Odessie.
Bogk.	Czytelnia instytutu inżynierów komunikacyi w Petersburgu.
Bońkoński.	Czytelnia Akademicka we Lwowie.
Boniecki w Swidnie.	Czytelnia Akademicka w Krakowie.

¹⁾ Wykaz prenumeratorów księgarni oznaczonych gwiazdkami, w których po kilkunastu lub kilkudziesięciu się znajduje, podany będzie imiennie w przyszłej liście ogólnej.

Przyp. Red.

- Dąbski F.
 Dobrzańska Zofia w Ożarowie.
 Domański Wł. w Pludwinach.
 Dom kalek.
 Dowgierd inż. w Katkunach.
 Duchńska w Paryżu.
 Dubiecki M. w Ekaterynosławiu.
 Dutkiewicz.
 Dymsza.
 Dyrekcyja klubu Suwalskiego w Suwalkach.
 Dzieduszycki Wojciech w Olszanicy.
 Dziewanowski.
 Enyler w Wieluniu.
 Epstein Stanisław.
 Epstein Mieczysław.
 Fałęcki ksg. *
 Friedlein ksg. w Krakowie. *
 Fundakowski w Dziadowszczyźnie.
 Galdsztein w Paryżu.
 Garliński Jul. w Rostowie nad Donem.
 Gawroński Franciszek w Sewerynowce.
 Gawroński Wiktor.
 Gazda ksg. w Tarnowie. *
 Gebethner ksg. w Krakowie. *
 Gerson Wojciech.
 Gerold ksg. w Wiedniu. *
 Glindzic M. w Nowosadach.
 Gliszczyński dr.
 Gloger Z. w Jeżewie.
 Głębocki J. w Szaryniu.
 Goldhar ksg. w Kielcach. *
 Górski Ludwik.
 Górski Jan.
 Gostomska Marya.
 Grabowski A. w Winnicy.
 Grabowski Adam.
 Grabowski ksg. w Kaliszu. *
 Grabowski Edward.
 Graveur ksg. w Neisse. *
 Gregorowiczowa w Słownie.
 Grodzicki Piotr w Popowcach.
 Grudziński Al. w Płoniu.
 Grulewski Fl. w Dębowej Górze.
 Grundher i Małecki w Kijowie. *
 Grzcsiński w Majewce.
 Gumbrynowicz i Schmidt ksg. we Lwowie. *
 Haberman M. w Sapliskach.
 Hałaczkiwicz L. w Brzemiu.
 Hartmann L. w Agram.
 Heissmann K. w Odessie.
 Heinrich dr.
 Helszyński.
 Hempel J. w Dąbrowie Górniczej.
 Henkiel.
 Hösick ksg. *
 Holewiński.
 Hube w Petersburgu.
 Jabłoński Eug. w Petersburgu.
 Jabłonowska.
 Jachowski F. w Wodziecnej.
 Jachowski M.
 Jakubowski ksd.
 Janasz.
 Jantzer.
 Janczewska w Olszowie.
 Janisławski M. w Kierku.
 Jasiński C. w Jerczy.
 Jazwińska.
 Jeleniowie ksg. w Przemyślu. *
 Jełowicki A. w Tarnopolu.
 Jełowicki E. w Szpanowie.
 Jenicz L. w Kulisówce.
 Jerina H. w Dworcu.
 Jezierski.
 Jodko J. w Bębnowie.
 Jodko T. w Słucku.
 Idzikowski L. ksg. w Kijowie. *
 Ignatowicz J. w Wożnesieńsku.
 Instytut głuchoniemych.
 Izba sądowa.
 Izdebski M. w Nierubajce.
 Izdebski pr.
 Iżycki W. w Borsukowcach.
 Kadler dr.
 Kamocki.
 Kamiński ksg. w Poznaniu. *
 Karnicki T. w Lipówce.
 Karnicki W. w Rogaczach.
 Karnkowski.
 Karłowicz J. w Wiszniewie.

- Karsznicki L. w Sienkowicach.
 Kaszewski E. w Bartowskiéj.
 Kaszewski K.
 Kempner ksg. w Płocku. *
 Kiciński T. w Dryszczewie.
 Kleczkowski.
 Kobyliński J. w Elisawetgradzie.
 Koczorowski W. w Baroku.
 Kociubiński.
 Kokeli.
 Kolnarski.
 Komitet Towarzystwa Kredytowego
 Ziemińskiego.
 Komornicki A. w Grabowie.
 Koralkiewicz J. w Nowocerkasku.
 Korsuń Br. w Poti.
 Korybut Daszkiewicz.
 Koreywo ksg. w Kijowie. *
 Kościarkowski St. w Fiedoryszkach.
 Koskowski M.
 Kosakowski Jar. w Marszczyniszkach.
 Kosakowski St. w Wejtkuszkach.
 Kosacki.
 Kostramitinow.
 Kowalski Ant.
 Kowalski ksg. *
 Kozarska.
 Kozłowski N. w Żytomierzu.
 Kraszewski J. I. w Dreznie.
 Kraszewski K. w Romanowie.
 Krasicki J. w Książéj Krynicy.
 Krauze Fr. w Łuce Barskiéj.
 Krampoli St. w Częstochowie.
 Krajewski Al.
 Kręski w Masłowicach.
 Krochmalski w Dołsku.
 Królikowski.
 Kronenberg L.
 Kronenberg St.
 Krysiński Leon.
 Krysiński Zygm.
 Krzyżanowski ksg. w Krakowie. *
 Księgarnia Polska we Lwowie. *
 Kuczyńska.
 Kudrewicz J. w Suryszkach.
 Kulski dr.
 Kulikowski K. w Pawłowce.
 Kurnatowski G. w Łuskach.
 Kurtz A.
 Kwilocka w Malińcu.
 Lang ksg. w Moskwie. *
 Lange i B. ksg. w Gnieźnie. *
 Latoskiewicz J. w Nerczyńsku.
 Laurysiewicz Br. w Łęczycy.
 Ledóchowski M. w Burzanach.
 Ledóchowski L. w Wołoczysku.
 Leitgeber ksg. w Poznaniu. *
 Lelewel Prot.
 Lemański Kazimierz.
 Leszczyński Ant. w Petersburgu.
 Lewicki C. i spół. ksg. *
 Linowski St. w Jaronowicach.
 Lipkowski B. w Horodyszczy.
 Lipkowski P. w Honorowce.
 Lipski St. w Stalinowie.
 Lipiński w Odessie.
 Liwski Ed. w Charkowie.
 Liwski w Krasnopolu.
 Lockmann w Podlesiu.
 Lubomirski Tadeusz.
 Lubomirski Władysław.
 Lubowidzki w Drzewicy.
 Lubowidzka Dorota w Morozówce.
 Lucy.
 Łabański.
 Łaniewski.
 Łapczyński Kazimierz.
 Ławrynowicz.
 Łempicki R. w Słubicach.
 Łomżyńskie ogólne zebranie.
 Łoziński Wł. we Lwowie.
 Łuszcz.
 Madaliński B. w Juliampolu.
 Majewski St. w Krasicach.
 Majewski M.
 Majewski J.
 Majewski M. ks. w Bobrownikach.
 Makowiecka w Rachnówcu.
 Maleszewski H. w Tuczyńku.
 Małachowski A. w Petersburgu.
 Marczewski.
 Masłowski.

- Mazaraki Ob. w Wielkiej-Wolicy.
 Mecherzyński w Bobrownikach.
 Mellerowicz.
 Mencil w Białej-Cerkwi.
 Meyer Herman.
 Meleniewska Al. w Narajówce.
 Mieleniewska J. w Lipowcu.
 Mielszko-Maliszkiewicz w Żytomierzu.
 Minkiewicz Dr. w Tyflisie.
 Mitowicz St. w Brześciu.
 Modliński F. w Skorocicach.
 Modzelewski Leon w Kijowie.
 Modzelewska.
 Molski J. w Łysiance.
 Mogielnicki K.
 Moniuszko M. w Mikicinie.
 Morawski Z. w Izbicy.
 Morawska.
 Moycho K.
 Naimski.
 Naimski.
 Nargielewicz w Wojnówce.
 Natanson Dr.
 Natanson J.
 Nieżyński.
 Nowiński St. w Wiedniu.
 Nowicki.
 Oczapowska Kl. w Sieburgu.
 Odyniec A. E.
 Ohuszko K. w Norzycy.
 Okoński J. ksg. *
 Okęcki w Dorohusku.
 Opoczyński L. w Syczówce.
 Orgelbrand ksg. *
 Orłowski ks. w Tyflisie.
 Oshner M. w Staszowie.
 Ośniałowski Ig. w Przęczynie.
 Ostrowskie ogólne zebranie.
 Ostrowski Stanisław.
 Ostrowski Aleksander.
 Otocka w Spędzoszynie.
 Pawłowski Kl. w Łodzi.
 Pawłowski Er. w Wiazmie.
 Pągowski.
 Peplowski.
 Perłowski M. w Wapniewie.
- Piętka R. w Wiazmie.
 Piwnicka J. w Kijowie.
 Piwnicki Z.
 Planet ksg. *
 Plater Idalia w Belmoncie.
 Pług Adam.
 Podbereński And. w Jalcie.
 Polczycki.
 Popławski R. w Bębnówce.
 Popiel Waclaw.
 Potocka Augustowa.
 Potocki Maurycy.
 Preyss.
 Pruszyński G. w Iłkocach.
 Pruszyńska K. w Czajkówce.
 Pributsch w Ostrowie.
 Prokuratorya.
 Przesmycki Tomasz.
 Przestrzelski R. w Kamieńcu Podolsk.
 Przedziecki Konstanty.
 Przystański.
 Pułaski Kaź. w Zawadyńcach.
 Pusłowski St. w Islandzy.
 Pusłowski.
 Pyłowski w Drzewicy.
 Raczyński Br. w Ciecchocinku.
 Radomski.
 Rakowski w Żytomierzu.
 Rakowski F. w Robajówce.
 Rakowski Józ. w Mytkach.
 Rakowska Z. w Starój-Wsi.
 Rakowicz w Tomiu.
 Rautenstrauch w Cienistój.
 Rembertowski.
 Resursa Kupiecka.
 Rodzyn.
 Rohoziński Wł. w Cybulowie.
 Rohoziński w Woli-Karwickiej.
 Rotwand.
 Różycki K. w Totjewie.
 Rucz w Popławcach.
 Rudowski w Głuszku.
 Ruskie zebranie kupieckie w Peters-
 burgu.
 Ruśkiewicz ks.
 Rybka Teofil ks.

- Ryłło M. w Petersburgu.
 Rzązewski A. w Komornie.
 Sanguszko R. w Sławucie.
 Sawicka ksg. w Mińsku.
 Sennewald ksg. *
 Seifert i Czajkowski ksg. we Lwowie. *
 Sikorski Józef.
 Skirmund K. w Albrychtowie.
 Skirmund M. w Wilczówce.
 Skrzynecka w Olszówce.
 Sławiński ks. w Peczarach.
 Sławiński W. w Tołaczynie.
 Sobański F.
 Sołtan Wł. w Priaźmie.
 Sołtyków M. w Śmiecie.
 Stachowski.
 Stankiewicz dr. w Litynie.
 Stawiski Edmund.
 Stecka El. w Buczynie.
 Stefanowska w Wojstanie.
 Stefanowicz dr. w Kejdanach.
 Stpiczyński An. w Kaliszu.
 Suchocka w Pskowie.
 Sudowska Eu. w Krasnostawach.
 Sulikowski Kr.
 Surmacki w Radomiu.
 Suwalski zarząd gubernii.
 Swieżawski Fr. w Kadłubiskach.
 Szczepankiewicz w Kaliszu ksg. *
 Szablewski ks. w Nieświeżu.
 Szatrzycki Er. w Kijowie.
 Szemiót J. w Rydze.
 Szkułtecki w Riazaniu.
 Szulc ks. w Kamionce.
 Szulc St. w Iżondzu.
 Szwancenberga.
 Szwykowski W. w Prużanach.
 Szwede.
 Szyborski M. w Białej Cerkwi.
 Szyszkowski An. w Trybuckach.
 Szydłowski w Komarówce.
 Tarnowski w Tarnówce.
 Taube.
 Temler Al.
 Tomicki.
 Tołhacz w Kujawach.
 Towarzystwo bratniej pomocy słuchaczyów politechniki we Lwowie.
 Towarzystwo kredytowe.
 Trenkler ksg. *
 Tuchanowska Z. w Tichanowicach.
 Tworzyjański w Hebelowie.
 Tybuchowski.
 Tyszyński w Miasocie.
 Tytz J. ksg. *
 Uruski.
 Urzędnicy Tow. kred. miejskiego.
 Walewski Wł. w Miłonicach.
 Walewski.
 Walecki.
 Wasilewski Jg. w Kazimierzy.
 Wdowikowski w Odessie.
 Wende ksg. *
 Wereszczyński P. w Petersburgu.
 Werner T. w Nowej Aleksandryi.
 Wessel Z. w Żyżynie.
 Wertheim J.
 Weinert.
 Węgleński.
 Wierzbicki Br. w Barbarowie.
 Wierzchlejski.
 Wilczyński.
 Wilczewski L. w Jastrzembiu.
 Wild ksg. we Lwowie. *
 Winiarski St. ksg. *
 Wodziński T. w Suchej.
 Wodziński Wł.
 Wojakowski w Władkawkazie.
 Wojoiechowski T. w Poturzynie.
 Wojniłowicz Ed. w Sawiczach.
 Wojczyński Stf. w Porytem.
 Wójcicki Wł. w Słobodzku.
 Wolff.
 Wołkowiński R. w Brzostowicach.
 Wołowski.
 Wołk-Laniewski w Broniczach.
 Woźniakowski w Rudzie.
 Wrotnowski Ant.
 Wysiekierski B.
 Wydawnictwo i redakcyja:
 Ateneum.
 Bluszczu.

- Dziennika Warszawskiego.
 Echa.
 Gazety Handlowej.
 Gazety Polskiej.
 Gazety Warszawskiej.
 Gazety Sądowej.
 Izraelity.
 Kłosów.
 Kroniki Rodzinnj.
 Kuryera Codziennego.
 Kuryera Warszawskiego.
 Kuryera Świątecznego.
 Niwy.
 Pamiętnika Tow. lekarskiego.
 Przeglądu Katolickiego.
 Przeglądu Tygodniowego.
 Przyrody i Przemysłu.
 Tygodnika Illustrowanego.
 Tygodnika Mód.
 Tygodnika Powszechnego.
 Wędrowca.
 Wieku.
 Zaborowski w Siemiatkowie.
 Zaborowska.
 Zabłocka Mr.
 Zabiello.
 Zalewski dr. w Mohilewie.
 Zalewski M. w Korostyszewie.
 Zamoyska Ab. w Lubarze.
 Zamoyski K. w Kozłowie.
 Zamoyski August.
 Zagórowski D.
 Zaremba Leon w Witowie.
 Zarzycki H. w Nasławicach.
 Zarząd Cesarski Noworosyjski w Odes-
 sie.
 Zasadzki J. w Burzance.
 Zawisza.
 Zawadzki ksg. w Wilnie. *
 Zawadzki we Lwowie.
 Zbyszewski Tadeusz.
 Zieleniewski w Odessie.
 Zieliński w Łonżynie.
 Zielonka L. w Dąbiu.
 Zieliński Eug.
 Zieliński Gustaw.
 Zuberbier.
 Zwierkowski w Drochlinie.
 Zyberg-Plater F. w Schlossburgu.
 Źdzarski w Sławęcinie.
 Żurakowski J. w Żuczkwowie.
 Żupański ksg. w Poznaniu. *
 Żychliński w Zalesiu.
-